ILUZJE RZĄDZENIA
Dlaczego polityka staje się nieistotna

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE
Straszą nas szatanem, a teologia ma z nim kłopot

MARZENIA Z KSIĘŻYCA
Pół wieku po misji Apollo: czas wracać na Srebrny Glob

RYCERZE, SMOKI I MY
Średniowiecze jest dziś aktualne jak nigdy

Kraków 21 lipca 2019 nr 29 (3654) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Za późno na atom, czas na słońce i wiatr

Polska pod prąd

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Niedostrzeżone z Księżyca*

Dokładnie 50 lat temu, w lipcu 1969 r., Jerzy Turowicz pisze krótki tekst o lądowaniu człowieka na Księżycu. Zatytułuje go „Widziane z Księżyca": „A więc udała się ta rzecz fantastyczna, nieprawdopodobna, niewiarygodna, niemal niemożliwa. (...) Armstrong, Aldrin i Collins polecieli na księżyc jako ambasadorzy gatunku *Homo sapiens*. Towarzyszyło im w tej podróży poczucie solidarności i braterstwa ze strony wszystkich ludzi. (...) Bo jak oczyma trzech astronautów patrzyliśmy z bliska na Księżyc, tak trzeba także, byśmy spojrzeli z ich perspektywy na Ziemię, ojczyznę ludzi rozbitą konfliktami. (...) Najważniejszą stroną wyprawy na Księżyc są skutki moralne, pogłębienie się świadomości, że ludzkość jest jednością. Że w obliczu kosmosu maleńka Ziemia jest może jedyną planetą zamieszkaną przez istoty zdolne myśleć, kochać, powołane do tego, by wspólnym, solidarnym wysiłkiem budować dzieło cywilizacji i poddawać sobie tę Ziemię. Że wszystko, co ową jedność i solidarność ludzi rozdziera, jest szaleństwem i absurdem. Że ludzie są braćmi związanymi na zawsze jednym losem..." (czytaj na powszech.net/ksiezyc).

W tekście można wyczuć rzadką u Jerzego Turowicza euforię. Marzył, że teraz solidarność jej mieszkańców zjawi się jako oczywistość. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Mieszkańców „maleńkiej Ziemi" – jakby im się nie chciało popatrzyć na nią z perspektywy kosmosu – nadal wyniszcza „szaleństwo absurdalnych antagonizmów". Nawet w sprawach tak oczywistych, jak troska o czystość powietrza, nie są w stanie się porozumieć, nie mówiąc już o zaprzestaniu wojen.

Spoglądając z Turowiczem, Armstrongiem, Aldrinem i Collinsem z Księżyca na „maleńką Ziemię", zadaję sobie pytanie: co, jeśli nie widok naszej planety w przestrzeniach kosmosu, mogłoby zjednoczyć jej mieszkańców, zainspirować planetarną solidarność w imię wspólnego losu? Coś się w tej sprawie dzieje. Szósty raport Międzynarodowego Panelu Klimatycznego przy ONZ (IPCC) i inne, dość przerażające prognozy zmian klimatycznych zrobiły spore wrażenie. Ale czy nawet gdyby (nie daj Boże) nastąpiły zapowiedziane w raporcie globalne katastrofy, obudziłoby to w mieszkańcach Ziemi solidarność? Czy raczej każdy dysponujący jakimiś środkami ratowałby własną skórę? Czy ocaleni, jeśliby tacy byli, stworzyliby solidarne społeczeństwo, czy znów, jak zwykle, biliby się między sobą, zabijali, owładnięci strachem wobec Innego?

Nie, strach i nieszczęścia nie zawsze sprzyjają solidarności. Jako dobry chrześcijanin myślę, że sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby wszyscy mieszkańcy Ziemi zaryzykowali na jeden dzień uwierzyć Ewangelii. Sołżenicyn głosił, że gdyby w Związku Radzieckim w jednym dniu nikt nie kłamał, ZSRR by się zawalił. Tego nie dało się sprawdzić, bo taki dzień nie nastąpił. Podobnie jest z moją tezą. Katastrofę Sodomy mogło powstrzymać dziesięciu sprawiedliwych, Ziemię mogą uratować tylko wszyscy wspólnie.

Widok Ziemi z kosmosu nie pomógł. Raporty IPCC też nie. Co teraz nastąpi? Nie wiemy. Jeżeli koniec świata, to w „Tygodniku" będziemy mieli tę wątpliwą satysfakcję, żeśmy przecież ostrzegali. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

32 Diabelski kłopot
ARTUR SPORNIAK
W nowoczesnej teologii miejsca dla diabła jest coraz mniej.

42 Bieda i duma Wirginii Zachodniej
JAN SMOLEŃSKI Z RIPLEY (USA)
To także Ameryka: prowincjonalna, żyjąca w innym rytmie niż metropolie, pielęgnująca swój patriotyzm. Miejsce zwykłe, choć niezwyczajne.

54 Himalaiści we mgle
BARTEK DOBROCH
W opowieści o pierwszej polskiej wyprawie w Himalaje, latem 1939 r., jest wszystko, co zawierać powinna opowieść o 80 latach polskiego himalaizmu.

58 Sygnał zetknięcia
PIOTR STANKIEWICZ
Pięćdziesiąt lat temu człowiek po raz pierwszy stanął na Księżycu. To było najważniejsze zadanie całego programu Apollo. Choć nie jedyne.

78 Porzucony w Douro
MAREK BIEŃCZYK
Powiedz, jakie porto lubisz, powiem ci, kim jesteś.

64 Wiosna średniowiecza
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Wieki średnie zrobiły się ostatnio nadzwyczaj aktualne. Zarzut „cofania do średniowiecza” podnosi się przeciw politykom, duchownym i wielkim korporacjom.

INTERFOTO / FORUM // CRAIG HUDSON / CHARLESTON GAZETTE-MAIL / AP / EAST NEWS // NASA // PATRYK SROCZYŃSKI // REUTERS / FORUM // ARCHIWUM RODZINNE MAGDALENY BUJAK-LENCZOWSKIEJ

6 Czy rodzice się obudzą
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Iluzje rządzenia
PAWEŁ BRAVO: *Obserwujemy kryzys oczekiwań względem demokracji*

25 Sto siedemdziesiąt pięć szans
MARCIN CHODUŃ: *Na warszawskim Powiślu działa grupa, która pomaga młodym ludziom w kryzysach*

28 Albo przyroda, albo asfalt
ROZMOWA Z MARIANEM STÓJEM, ORNITOLOGIEM, BYŁYM DYREKTOREM MAGURSKIEGO PARKU NARODOWEGO: *Miejscowi się skarżą, że dla parku narodowego się nie liczą. Ale od pomagania im są inne instytucje*

WIARA

32 Diabelski kłopot
ARTUR SPORNIAK

36 Papież patrzy na morze
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Franciszek i uchodźcy*

38 Ksiądz z polowego szpitala
KAROL KLECZKA: *Ogłoszono właśnie heroiczność cnót księdza Władysława Korniłowicza. Kim był duszpasterz z Lasek?*

ŚWIAT

42 Bieda i duma Wirginii Zachodniej JAN SMOLEŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

ANDRZEJ MARCZAK / FORUM

12 Atom wyśniony, atom przespany
MAREK RABIJ
Polska elektrownia atomowa od trzech dekad pozostaje w sferze planów i nadziei na energetyczną suwerenność. Rząd PiS zapowiada, że ją zbuduje – mimo że coraz więcej przemawia za tym, by tego nie robić.

16 Nie jesteśmy tu na stałe
ROZMOWA Z PROF. EWĄ BIŃCZYK, FILOZOFKĄ:
Energetyka atomowa to relikt epoki, w której ludzkość próbowała jeszcze triumfować nad naturą. A dziś już rozumiemy, że z naturą musimy żyć w zgodzie.

FELIETONY
31 ANNA DZIEWIT-MELLER **41** SZYMON HOŁOWNIA
52 WOJCIECH BONOWICZ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MAREK ZALEJSKI // FOT. PEXELS / HENRYK NIESTRÓJ // PIXABAY
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

46 Rekonkwista na nowy wiek
PAULINA MAŚLONA: *Na czym polega fenomen nowej prawicowej partii Vox? I co mówi o Hiszpanii?*

50 Macedonia czeka pod drzwiami
PIOTR OLEKSY: *Odmowa przyjęcia krajów Bałkanów Zachodnich może mieć dla Unii fatalne konsekwencje*

HISTORIA

54 Himalaiści we mgle
BARTEK DOBROCH

NAUKA

58 Sygnał zetknięcia
PIOTR STANKIEWICZ

KULTURA

64 Wiosna średniowiecza
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

68 Babski wzrok MAGDA HEYDEL: *Joanna Helander potrafi uchwycić potężną moc życiową swoich bohaterek. Jej fotografie emanują energią afirmacji*

72 Telewizja, która podzieliła Amerykę JAKUB MAJMUREK: *Fox News jest w USA opiniotwórczą potęgą. A poglądy jej widzów zbudowane są na wspólnocie emocji*

74 Diego kontra Maradona
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Diego" w reżyserii Asifa Kapadi*

76 Twarz Marii Jaremy
LEKTOR *o biografii „Jaremianka" Agnieszki Daukszy*

WAKACJE

78 Porzucony w Douro
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży: Kobiety na banknoty
Propozycja, by Maria Konopnicka została upamiętniona na banknocie, wywołała falę śmiechu – **RAFAŁ WOŚ** *proponuje, by zawiesić na chwilę szyderstwo i zauważyć, że kobiet na banknotach naprawdę bardzo w Polsce brakuje* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Futbol kobiet [Podkast Powszechny]
Co zmieni mundial kobiet? Choć kobiecy futbol oglądamy coraz chętniej, to wiele zawodniczek wciąż zmaga się z dyskryminacją – *o grze o równe prawa rozmawiają* **MONIKA OCHĘDOWSKA I MICHAŁ OKOŃSKI** **powszech.net/futbol-kobiet**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

ROMAN BOSIACKI / AGENCJA GAZETA

CZY RODZICE SIĘ OBUDZĄ

Rekrutacyjny chaos to drobna część problemu, który przez lata trawić będzie licea.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Kandydaci do VI LO w Bydgoszczy i ich rodzice szukają swoich nazwisk na liście przyjętych. 11 lipca 2019 r.

Resortowa wersja rzeczywistości u progu rekrutacji jest prosta jak banalne matematyczne działanie. „Dla 726 751 absolwentów szkół podstawowych i gimnazjów przygotowano 830 234 miejsca w szkołach ponadgimnazjalnych i ponadpodstawowych", wobec czego „każdy absolwent (...) znajdzie miejsce w szkole średniej" – ogłosił MEN, i trudno podawać te wyliczenia w wątpliwość, podobnie jak trudno polemizować z opinią, że zawsze istnieli rozczarowani uczniowie, którzy lądowali w innej szkole niż ta, którą sobie wymarzyli.

Problem w tym, że – jak zwykle bywa z komunikatami MEN – to tylko starannie dobrana część prawdy. Skala rozczarowania będzie w tym roku większa, i trudno tego naddatku nie wiązać z reformą PiS. Przypomnijmy: jednym ze skutków wprowadzonych zmian jest kumulacja ostatniego rocznika „wygaszonych" gimnazjów, i tego z powiększonych podstawówek. Jaka będzie dokładnie skala tego rozczarowania, trudno dziś powiedzieć. Trwa pierwszy etap rekrutacji. System informatyczny (wyposażony w dane o egzaminacyjnych wynikach uczniów oraz ich deklaracje wyboru wymarzonej szkoły) pokazał, że tysiące zostało bez przydziału – np. w Krakowie to 2,5 tys., a w Gdańsku i Rzeszowie 1,2 tys. (Warszawa, Wrocław czy Katowice miały ogłosić dane już po zamknięciu tego numeru „TP"). Nie oznacza to, że wszyscy nieprzyjęci zostaną na lodzie. Niektórzy mogą się dostać do szkoły swojego

„pierwszego wyboru” (np. gdy miejsce zwolni kandydat, który wybierze placówkę prywatną), inni trafią do liceum, ale nie takiego, do jakiego – jako dobrzy uczniowie – chcieliby się dostać. Znajdą się pewnie i tacy, którzy wylądują – wbrew swojej woli oraz predyspozycjom – np. w szkołach branżowych.

Z medialnych doniesień można by sądzić, że chaos podwójnego rocznika to przejściowe turbulencje, które zostawią za sobą raptem kilka tysięcy lekko poobijanych ofiar (cóż to jest na tle kilkusettysięcznej uczniowskiej masy, cóż w obliczu dziejowej reformatorskiej konieczności...), i że poddana terapii wstrząsowej szkoła wróci za kilka miesięcy w swoje stare koleiny. Nie wróci. Podwójny rocznik to skutki na lata: przepełnione placówki; większe – częściej niż do tej pory przekraczające 30 osób – klasy. Plus to, o czym mówi się rzadziej: polska szkoła to za sprawą reformy dziwaczny twór łączący w sobie dwa – stary i nowy – systemy nie tylko strukturalne, ale i programowe. „We wrześniu za dwa lata dostanę (...) ucznia, który ukończy jakąś edukacyjną hybrydę – mówiła nam w 2017 r. Agnieszka Foryś, polonistka z krakowskiego VII LO, mając na myśli tych, którzy sześć lat uczyli się wedle starych podstaw programowych, a dwa wedle nowych. – Dostajemy kolejny bubel, zmieniający zasady gry »w trakcie meczu« i skutkujący zagubieniem oraz osłabieniem poczucia bezpieczeństwa młodych ludzi”. Dodajmy do tego morale nauczycieli. Owszem, absolwenci gimnazjów i podstawówek pójdą do osobnych klas, ale to na pedagogów spadnie nauczanie w jednej szkole wedle dwóch różnych programów.

A rodzice? Historia uczy, że ta uśpiona w swojej masie grupa budzi się do zbiorowego buntu wtedy, gdy uda się ją przekonać – jak protestującym przeciw wysyłaniu sześciolatków do szkół – iż te wyładowania dotkną do żywego ich dzieci. Strukturalne czy programowe zmiany, pomiatanie nauczycielami czy pogardliwe wypowiedzi wobec samych uczniów (liderka w obu tych konkurencjach, niezawodna krakowska kurator Nowak zdążyła już obarczyć odpowiedzialnością za chaos... absolwentów podstawówek oraz gimnazjów) mogą się jawić jako kolejne odsłony abstrakcyjnych „wojen na górze”, lecz brak miejsca dla dziecka w liceum od 1 września to już konkret. Konkret, który słabemu do tej pory antyreformatorskiemu ruchowi może nadać na jesieni nową dynamikę. ©℗

TOMASZ WIECH / SIOSTRY RZEKI

W NIEDZIELNE POPOŁUDNIE dziesiątki tysięcy ludzi wskoczyły w strugach deszczu do rzek i jezior. Tak wyglądał międzynarodowy Big Jump: akcja, której celem jest przekonanie polityków i przedsiębiorców, że w czasie zmian klimatycznych warto chronić rzeki. W Polsce do tego wydarzenia włączył się m.in. krakowski kolektyw Siostry Rzeki, będący właśnie w trakcie wyprawy wodnej galarem w dół Wisły (na zdjęciu na wysokości elektrowni Kozienice). Siostry Rzeki protestują przeciw betonowaniu i regulowaniu rzek, a także rządowemu projektowi budowy drogi wodnej, która ma połączyć Bałtyk z Morzem Czarnym. ©℗ MOC

Jak na lekarstwo

TYMCZASOWE BRAKI DOSTĘPNOŚCI LEKÓW zdarzały się już w Polsce, ale nigdy dotąd problem nie przybrał takiej skali, jak na początku lipca, kiedy polskim aptekom skończyły się zapasy około 300 preparatów (tak szacował resort zdrowia).

Zdaniem Marka Tomkowa, wiceprezesa Naczelnej Izby Aptekarskiej, ministerialna lista jest jednak niekompletna: w rzeczywistości brakuje już około 500 preparatów, w tym często kupowanych leków na cukrzycę, nadciśnienie i astmę oraz szczepionek przeciwko błonicy, tężcowi, krztuścowi, odrze, śwince, różyczce i grypie. Dla niektórych z nich nie ma też zamienników.

Ministerstwo Zdrowia uspokaja, że problemy były przejściowe i leki są już w hurtowniach. Farmaceuci: dostępność, o której mówi rząd, oznacza czasem jedno-dwa pudełka; popyt jest znacznie większy.

Producenci twierdzą z kolei, że winę za braki ponoszą chińskie fabryki, które ograniczyły im dostawy kluczowych składników leków.

Gdzie w tym wszystkim pacjenci? W kolejce. ©℗ MR

Umieranie: nasze tabu

NIEMAL CO TRZECI Z NAS nie myśli o śmierci; 38 proc. unika tego tematu; dwie trzecie na pytanie, czy wiedzieliby, jak zaopiekować się bliskim w terminalnym stanie, odpowiada „nie” bądź „nie wiem”; tyle samo nie podjęło żadnych działań w związku z rozmyślaniami o własnej śmierci (np. kupno miejsca na cmentarzu, testament czy przekazanie bliskim wytycznych co do opieki w przypadku ciężkiej choroby). Taki obraz podejścia Polaków do odchodzenia wyłania się z przygotowanego przez Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio „Raportu o dobrym umieraniu” (jego częścią są badania przeprowadzone przez Instytut Badawczy Zymetria). Autorzy podają, że ponad połowa osób cierpiących w Polsce na nowotwory umiera w szpitalach. Równocześnie na pytanie, gdzie chcieliby spędzić ostatnie chwile, tylko 2 proc. respondentów wskazuje na szpital, a 62 – na dom. „My, chorzy, wcale nie potrzebujemy pocieszactwa – głosi motto raportu, wypowiedziane przez twórcę puckiego hospicjum, nieżyjącego już ks. Jana Kaczkowskiego. – Potrzebujemy bliskości. Potrzebujemy przekazu: nie bój się, jestem przy Tobie, kocham Cię, nigdy Cię nie zostawię”.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Jak (nie) działa OSP

16,5 TYSIĘCY – TYLE OCHOTNICZYCH STRAŻY POŻARNYCH działa w Polsce. Większość z nich nie jest wysyłana do pożarów czy wypadków, ponieważ nie spełnia wymaganych kryteriów: ich członkowie nie posiadają wyposażenia i przeszkolenia, nie mają ubezpieczeń ani koniecznych badań lekarskich. 70 proc. OSP w latach 2014-17 nie uczestniczyło w żadnej akcji ratowniczo-gaśniczej lub ich udział był sporadyczny. Są i takie OSP, których działalność kończy się na udziale w zawodach sportowych lub organizowaniu imprez dla lokalnych społeczności. Taka rzeczywistość wyłania się z nowego raportu Najwyższej Izby Kontroli.

Ale jest też druga strona medalu: 30 proc. OSP jest w pełni przygotowanych do udziału w akcjach ratowniczych – takie jednostki należą do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego i są jego istotną częścią. To do nich trafia 70 proc. środków przeznaczonych na finansowanie OSP i są one efektywnie wykorzystane (w latach 2014-17 środki na działanie wszystkich jednostek wynosiły prawie miliard złotych rocznie).

NIK podkreśla, że należy „ściślej uzależnić finansowanie jednostek OSP od ich możliwości i potrzeb systemu ochrony przeciwpożarowej". Bo Ochotnicze Straże Pożarne są potrzebne. Pytanie tylko, czy na pewno wszystkie, które istnieją. ©℗ EWELINA BURDA

RDC POLSKIE RADIO **BARTEK DOBROCH** będzie gościem Grzegorza Chlasty w czwartek 18 lipca o godzinie 8.00 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

KRAJ W SKRÓCIE

SEZON OGÓRKOWY. Jarosław Kaczyński przedstawił liderów list wyborczych przed jesiennymi wyborami, a następnie oświadczył, że: PiS nie chce wojny i szuka porozumienia; ci, którzy stosują agresywny język, nie służą ojczyźnie; za 4 lata na jego miejscu będzie stał ktoś inny, bo on ma już swój wiek; Polacy zaś nie muszą stać pod tęczową flagą i mogą stać pod biało-czerwoną.

PIOTR POLAK / PAP

SEZON OBJAWIEŃ. Tymczasem lider opozycji Grzegorz Schetyna doszedł do wniosku, że nie wystarczy być jedynie anty-PiS-em: w programowym przemówieniu obiecał wzrost płac, poprawę jakości służby zdrowia i ochrony środowiska, oraz usunięcie przy pomocy jednego zbioru ustaw „całego śmietnika bezprawia".

SEZON PRZESTRÓG. O. Tadeusz Rydzyk również uważa, że „ta dobra zmiana nie jest taka całkiem dobra", ale z innych powodów. „Jesteśmy katolikami, to i w rządzie trzeba być katolikiem, i w parlamencie, i w urzędach trzeba być katolikiem, a nie zostawiać katolicyzmu za drzwiami" – mówił, wzywając rząd do wycofania się z konwencji antyprzemocowej, a telewizję publiczną z pokazywania – uwaga, będzie tęcza – „rozwodu za rozwodem, partnera za partnerem, gejów i innych".

SEZON PLAŻOWY. Wojewoda pomorski Dariusz Drelich uroczyście otworzył nowe wejście na plażę w Jantarze. Na fotografiach widać: urzędnika w garniturze, kobietę rozciągającą przed nim biało-czerwoną wstęgę, a za ich plecami plażowiczów, korzystających z wejścia od dobrych kilku dni.

Siedem kobiet z Watykanu

EDWARD AUGUSTYN

Sześć sióstr zakonnych oraz salezjańska wolontariuszka weszło w skład Kurii Rzymskiej na prawach równych kardynałom i biskupom. Papież mianował je członkiniami Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego.

W watykańskich dykasteriach pracuje oczywiście więcej kobiet – jako konsultorki, urzędniczki, nawet w randze podsekretarzy – ale nie są pełnoprawnymi członkiniami kongregacji i nie biorą udziału w podejmowaniu decyzji i głosowaniach. Obowiązująca wciąż konstytucja „Pastor bonus" z 1988 r. dopuszcza w niektórych dykasteriach – ze względu na ich specyfikę – członkostwo zarówno kardynałów i biskupów, jak też „innych wiernych". Jednak ani Jan Paweł II, ani Benedykt XVI nie odważyli się zaliczyć do tego grona kobiet, choć tak wiele mówili o ich „geniuszu", godności i równych prawach. Dopiero Franciszek w 2014 r. wprowadził pierwszą z nich do Kongregacji ds. Ewangelizacji. Po pięciu latach padł kolejny męski monopol – w dykasterii zajmującej się zakonami.

Papież przeciera szlaki i otwiera dla kobiet kolejne ważne urzędy. A my szeroko otwieramy i przecieramy ze zdumienia oczy: kobiety, które stanowią 80 proc. wszystkich osób zakonnych, dopiero teraz dostały prawo głosu i współdecydowania o swoim życiu w Kościele. Aż trudno uwierzyć. ©℗

Brytyjskie MSZ chce bronić chrześcijan przed represjami

TERMIN „CHRYSTIANOFOBIA" powinien zostać wprowadzony do brytyjskiego prawa karnego obok istniejących już islamofobii i antysemityzmu, rząd Wielkiej Brytanii powinien zaś być przygotowany do nałożenia sankcji na kraje prześladujące chrześcijan – takie zalecenia znalazły się w raporcie o prześladowaniu chrześcijan w świecie, sporządzonym na zlecenie brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Jedna trzecia światowej populacji cierpi z powodu dyskryminacji ze względów religijnych i aż 80 proc. tej grupy stanowią chrześcijanie. Dowody wskazują, że sytuacja się pogarsza. Liczba krajów, w których chrześcijanie są prześladowani, wzrosła ze 128 w 2015 r. do 144 w następnym roku. Na Bliskim Wschodzie wątpliwe jest samo przetrwanie chrześcijaństwa jako żywej religii. Sto lat temu 20 proc. mieszkańców regionu stanowili chrześcijanie; dziś liczba ta wynosi poniżej 5 proc.

Wśród krajów najbardziej prześladujących chrześcijan wymieniane są Chiny, Nigeria, Irak, Pakistan, Indonezja, Syria i Sri Lanka. Jako przyczyny obojętności wobec prześladowań raport podaje m.in. poprawność polityczną i postkolonialne poczucie winy. Szef MSZ Jeremy Hunt zapowiedział, że jeśli zostanie premierem, przyjmie rekomendacje raportu. ©℗ ASK

Ruiny z czasów króla Dawida

BIBLIJNE MIASTO ZIKLAG zostało przypuszczalnie odnalezione na południu Izraela – ogłosił w ubiegłym tygodniu zespół izraelskich archeologów. Według Biblii, gdy młody Dawid musiał uciekać przed królem Saulem, schronił się u nieprzyjaciela – w ziemi Filistynów, którzy pozwolili mu zamieszkać w Ziklag (por. 1 Sm 27, 1-7). Księgi Jozuego i Samuela wspominają o Ziklag (w Biblii Tysiąclecia – Siklag) jako o miejscowości położonej nieopodal miasta Gat. Stało się ono bazą Dawida, w której zgromadził wojska i skąd ruszył do Hebronu, gdzie został namaszczony na króla.

Przez lata archeolodzy wskazywali 12 potencjalnych lokacji na terytorium Izraela, które mogły być biblijnym Ziklag. Dziś, po siedmiu sezonach wykopalisk, badacze są przekonani, że wreszcie je odnaleźli: w miejscu zwanym Khirbet al-Rai na Pogórzu Judzkim, nieopodal miasta Kiryat Gat (które swą nazwę czerpie od biblijnego Gat). Odkryte tam ruiny (na zdjęciu) datowane są na początek X w. p.n.e. – okres uważany za czasy króla Dawida. Badacze

ISRAEL ANTIQUITIES AUTHORITY

twierdzą, że odkryli zarówno pozostałości społeczności filistyńskiej, jak i osadnictwa z czasów Dawida. Wśród istotnych odkryć są masywne struktury kamienne i unikatowa dla Filistynów ceramika.

Archeolodzy mówią, że ich odkrycie to argument na rzecz teorii, według której Dawid był kimś więcej niż lokalnym władcą (jak twierdzą niektórzy badacze), i że w istocie rządził na obszarze Judei zjednoczonym królestwem liczącym pięć tysięcy mieszkańców.

© OFER ADERET

Przeł. MK

Dwa zloty przeciw demonom

TYSIĄCE EGZORCYSTÓW z całego świata, a także wielu chętnych do pozbycia się złych duchów spotkało się na Górze Strącenia, gdzie – według tradycji – 2 tysiące lat temu mieszkańcy pobliskiego Nazaretu chcieli zabić Jezusa. Zlot odbył się z inicjatywy nigeryjskiego pastora T.B. Joshuy, znanego ewangelizatora i egzorcysty, założyciela Synagogi Kościoła Wszystkich Narodów i właściciela internetowego kanału telewizyjnego Emanuel TV, który ma ponad milion abonentów. Przeciwko zlotowi zaprotestował egzorcysta łacińskiego Patriarchatu Ziemi Świętej, ks. Michael McDonagh, który przestrzega przed samowolnymi i amatorskimi obrzędami wypędzania demonów.

Tymczasem na Jasnej Górze odbył się siódmy zjazd Międzynarodowego Stowarzyszenia ds. Uwalniania i osób posługujących modlitwą uwalniania. W ściśle zamkniętym pięciodniowym spotkaniu uczestniczyło prawie 400 osób, w tym goście z Korei, Paragwaju i Stanów Zjednoczonych. Mowa była m.in. o zagrożeniach płynących z jogi (zobacz też artykuł „Diabelski kłopot" w dziale Wiara).

©℗ EA, ASK

Wyjątkowe schronisko dla bezdomnych

BĘDZIE TO NAJBARDZIEJ LUKSUSOWY przytułek dla bezdomnych w Europie, – śmieję się, ale chyba tak rzeczywiście jest – mówi „Tygodnikowi" s. Małgorzata Chmielewska. W Jankowicach koło Ożarowa został otwarty nowy budynek dla 35 pensjonariuszy. Siostra wyjaśnia, że osobom bezdomnym – chorym i starszym – trudno jest znaleźć miejsce do życia, gdyż schroniska zwykle są dla nich nieprzystosowane.

W domu wybudowanym przez sponsora – Macieja Formanowicza, właściciela Fabryki Mebli „Forte" – na podarowanej przez gminę działce na dwa dwuosobowe pokoje przypada jedna łazienka. Oprócz tego jest łazienka dla niepełnosprawnych leżących z podnośnikiem podarowanym przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Są gabinety medyczne, sale resocjalizacyjne, świetlica i jadalnia, a także mieszkania dla personelu, bo członkowie Wspólnoty Chleb Życia, założonej przez s. Chmielewską, żyją razem z ludźmi bezdomnymi. W środku budynku znajduje się patio z muralami krakowskiego artysty Marcina Czai. – Chciałam, by ludzie mieli tam miło i pięknie – mówi siostra.

14 lipca budynek oraz kaplicę pod wezwaniem bł. Anieli Salawy, do której relikwie przekazali krakowscy franciszkanie, poświęcił biskup sandomierski Krzysztof Nitkiewicz. S. Chmielewska zamierza podobne schronisko wybudować w Warszawie.

©℗ ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZENOSINY. Po pięciu latach założone w Krakowie seminarium dla starszych kandydatów do kapłaństwa, zwane Seminarium 35+, przenosi się do Łodzi. Jest to wspólna decyzja Konferencji Episkopatu oraz pomysłodawcy seminarium – abp. Grzegorza Rysia, metropolity łódzkiego. Obecnie do święceń przygotowuje się w tej wydzielonej instytucji 20 kandydatów, na nowy rok akademicki zgłosiło się ośmiu.

PRECEDENS. Oskarżony o obmacywanie czterech młodych mężczyzn nuncjusz apostolski we Francji abp Luigi Ventura został pozbawiony immunitetu dyplomatycznego przez Stolicę Apostolską. Jako pierwsze o tym poinformowało francuskie ministerstwo spraw zagranicznych, które wcześniej przekazało do Watykanu wniosek paryskiej prokuratury.

SPOTKANIE. Przez pięć dni (15–21 lipca) modlić się i medytować w intencji pokoju będą chrześcijanie i muzułmanie w klasztorze księży pallotynów w Kielcach. Przewidziane są sesje z udziałem m.in. nauczycieli duchowych obu tradycji: pallotyna ks. Jana Oleszko oraz Szajcha Hamida Hasana z Indii. Organizatorem piątego już spotkania jest nauczyciel mistycznego nurtu islamu, sufizmu, Andrzej Saramowicz.

LICZBA TYGODNIA

15

procent kościołów katolickich w Holandii zostało do tej pory zdesakralizowanych – podał brytyjski „The Tablet". Nie oznacza to, że wszystkie pozostałe są używane. Wiele dużych neogotyckich świątyń wybudowanych po 1850 r. stoi pustych, gdyż nie ma pomysłu na ich komercyjne wykorzystanie.

Sprawa lotu MH17, pięć lat później

SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA UKRAINY (SBU) zatrzymała niejakiego Wołodymyra Cemacha. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że stało się to w mieście Śnieżne na obszarze samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej (DRL). Cemach został ogłuszony i – na podstawie podrobionych dokumentów – przewieziony na wózku inwalidzkim, jako osoba rzekomo sparaliżowana, na tereny kontrolowane przez Ukrainę. SBU zanotowała spektakularny sukces, a ukraiński wymiar sprawiedliwości zyskał podejrzanego i zarazem cennego świadka w sprawie zestrzelenia nad Donbasem 17 lipca 2014 r. boeinga Malaysia Airlines z 298 osobami na pokładzie. Cemach był bowiem wówczas szefem obrony przeciwlotniczej DRL. Teraz jest przesłuchiwany, w nieznanym miejscu.

Do akcji SBU doszło niedługo po tym, jak międzynarodowy zespół śledczy, badający sprawę lotu MH17, przedstawił zarzuty trzem Rosjanom i Ukraińcowi. Są podejrzani o przetransportowanie z Rosji wyrzutni rakietowej Buk, z której zestrzelono boeinga. Co więcej, śledczy poinformowali, że mają dowody, iż Moskwa z premedytacją dostarczyła tę broń. Od katastrofy mija właśnie pięć lat, jednak od początku było jasne, że to Rosja ponosi za nią odpowiedzialność. Mimo że znamy coraz więcej szczegółów tego, co się stało, Kreml wbrew oczywistym faktom i zdrowemu rozsądkowi odrzuca oskarżenia, uznając je za „całkowicie gołosłowne”.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

BARTŁOMIEJ BUDNY / AMP FUTBOL POLSKA

Polacy silni w amp futbolu

„CI CHŁOPCY MOGĄ BYĆ NAPRAWDĘ JEDNĄ z największych sił na świecie” – powiedział „Tygodnikowi” Marek Dragosz, trener kadry narodowej amp futbolistów.

Amp futbol to w Polsce młoda dyscyplina (reprezentację powołano w 2012 r.), podczas gdy na świecie jest znana od przeszło 40 lat. Dziś amp futbol uprawiany jest w ok. 40 krajach, a ligi krajowe istnieją w dziewięciu, w tym w Polsce. Wśród zawodników są osoby z wadami i po amputacjach kończyny dolnej lub górnej (w przypadku bramkarzy).

W miniony weekend w angielskim Nantwich odbył się pierwszy w historii nieoficjalny turniej amp futbolu U-23 (dla piłkarzy poniżej 23. roku życia). Zmierzyły się w nim trzy najlepsze drużyny uczestniczące w mistrzostwach Europy 2017 r., które jako jedyne mają młodzieżowe reprezentacje swoich krajów. Polska zajęła drugie miejsce – po dwukrotnym remisie z Turcją i podwójnej wygranej z Anglią. Znalazła się za Turcją, która jako jedyna na świecie ma reprezentacje zawodowe (także młodzieżową).

Zajęcie drugiego miejsca w tym turnieju przez polską drużynę (na zdjęciu) daje duże nadzieje przed nadchodzącym Euro 2020 (jego organizatorem jest Kraków) i wrześniowymi rozgrywkami Amp Futbol Cup (odbędą się w Warszawie), a także przed meczami, które polska reprezentacja rozegra w październiku w Turcji. Każdy z zawodników ma inną historię, ale pokazują jedno: w tej drużynie jest siła walki, która z meczu na mecz rośnie.

©℗ ANNA DZIURDZIKOWSKA

Iran–USA: będą rozmowy?

SYGNAŁY Z TEHERANU I WASZYNGTONU sugerują, że oba kraje przygotowują grunt pod negocjacje – po tym, jak w minionych tygodniach w Zatoce Perskiej narastało napięcie. Przypomnijmy: na początku lipca prezydent Trump w ostatniej chwili odwołał atak na irańskie obiekty, w odwecie za atak Iranu na dwa tankowce w cieśninie Ormuz i zestrzelenie drona. Potem Brytyjczycy zatrzymali w Gibraltarze, na prośbę USA, irański tankowiec – było podejrzenie, że wiezie ropę dla Syrii (co jest objęte sankcjami, także UE). W odpowiedzi irańskie kutry próbowały przejąć brytyjski tankowiec w Zatoce (w roli „zakładnika”): usiłowały zmusić go, by wszedł na irańskie wody; zapobiegł temu brytyjski niszczyciel, grożąc otwarciem ognia. Po tym incydencie USA zapowiedziały utworzenie koalicji, której okręty miałyby konwojować tankowce. Z kolei Iran ogłosił, że wznawia wzbogacanie uranu ponad normę dopuszczalną umową z 2015 r.

Tymczasem w ostatnich dniach widać sygnały odprężenia. Prezydent Rohani powiedział, że Iran jest gotów „choćby teraz” do rozmów; sondować możliwości może szef irańskiego MSZ, przebywający w siedzibie ONZ. Z drugiej strony rząd USA zrezygnował z nowych sankcji, choć wcześniej groził nimi Trump. Brytyjczycy zaś uwolnili (za kaucją) oficerów tankowca i sygnalizują, że zwolnią statek, jeśli dostaną zapewnienie, że ropa nie trafi do Syrii. ©℗ WP / REUTERS, DPA, FAZ

Grecki łącznik

PONAD 200 TYSIĘCY LAT temu *Homo sapiens* żył na terenach dzisiejszej Grecji – przekonują Katerina Harvati z Uniwersytetu w Tybindze i współpracownicy w artykule w „Nature”. Badacze wykonali komputerową rekonstrukcję i precyzyjne datowanie skamieniałości dwóch niekompletnych czaszek, znalezionych w latach 70. w jaskini Apidima. Młodsza, sprzed 170 tys. lat, przypomina czaszkę neandertalczyków, którzy w tym czasie powszechnie występowali w Europie. Starsza, sprzed 210 tys. lat, należała najprawdopodobniej do wczesnego przedstawiciela naszego własnego gatunku.

Oznacza to, że *Homo sapiens* opuszczał Afrykę w wielu fazach migracji i docierał także na Bałkany. Tu mógł zetknąć się z neandertalczykami, ale prawdopodobnie nie przetrwał zbyt długo lub zmieszał się z naszymi kuzynami. Dopiero późniejsze migracje *Homo sapiens* z Afryki, sprzed 120-60 tys. lat, doprowadziły do trwałego zasiedlenia przez naszych przodków Azji, Europy i pozostałych kontynentów. ©℗ ŁK

KATARZYNA MIRCZAK DLA „TP"

Slot Art Festival: bilet na cały rok

PRAWIE OSIEM TYSIĘCY LUDZI, którzy co lipiec przyjeżdżają do Lubiąża, nie zawsze myślą, wierzą i czują tak samo. Lecz dla uczestników Slot Art Festival zagadka tego, co ich łączy (poza samą chęcią szukania rzeczy wspólnych; to motto imprezy), powinna wręcz zostać nierozwiązana. Mało kto tutaj życzy sobie bowiem światopoglądowego ujednolicenia. Slot – największy w Polsce festiwal kultury alternatywnej, organizowany na terenie byłego opactwa cystersów niemal wyłącznie siłami wolontariuszy – to miejsce twórczych poszukiwań, spotkań i konfrontacji bez agresji; utopijne miasteczko, które, inaczej niż polskie zloty ludzi z tej czy innej „bańki", wyposaża w „bilet" ważny cały rok. „Sloty robię" – hasło, z którym wraca się z Lubiąża do domu – to wezwanie do dzielenia się swoimi umiejętnościami z innymi, powstrzymania się od kategoryzowania ludzi, bycia razem. Jak we wstępie do festiwalowego informatora: „Siedzimy, patrzymy na siebie, nie wszyscy się znamy, zastanawiamy się: kim są ci inni? Patrzymy raczej przyjaźnie".

Trzeci już raz „Tygodnik" był na Slocie. Na spotkaniach w wypełnionej po brzegi Strefie Dialogu gościliśmy m.in. Karolinę Cichą (na zdjęciu; obok Marta Filipiuk-Michniewicz i Marcin Żyła z „Tygodnika"), Justynę Dąbrowską, Adama Bodnara, Ryszarda Koziołka, Dariusza Rosiaka i Piotra Mucharskiego. Gospodarzem porannych medytacji i rozważań o Biblii był Piotr Sikora – jego relacje z festiwalowu na naszej stronie internetowej: powszech.net/slot2019. A dla uczestników tej i poprzednich edycji Slot Art Festival – tylko do 31 lipca specjalna oferta prenumeraty! Sprawdź na: powszech.net/prenumeruj. ©℗ ŻYM

Żelazny uścisk

NADCHODZĄ SZTUCZNE MIĘŚNIE, dziesiątki razy bardziej wydajne i wytrzymałe od ludzkich. W numerze „Science" z 12 lipca trzy różne zespoły badawcze przedstawiły swoje projekty takich konstrukcji. W dwóch przypadkach włókno sztucznego mięśnia składa się ze specjalnej otoczki, reagującej na temperaturę, elektryczność albo określone substancje (pod ich wpływem dokonuje się „skurcz"), oraz cieniutkich „nitek", odpowiednio skręconych lub owiniętych, wykonanych z różnych materiałów – od drogich w produkcji węglowych nanorurek po szeroko dostępne materiały, takie jak bambus czy jedwab. Jeden z zespołów zaprezentował nieco inne rozwiązanie – połączenie dwóch polimerów, reagujących zmianą długości pod wpływem różnych temperatur. Badacze pokazali, że ich włókno bez trudu może wykonać ponad 10 tys. następujących po sobie skurczów.

Wśród potencjalnych zastosowań testowanej technologii wymienia się m.in. konstrukcje robotów oraz urządzenia i materiały biomedyczne (wliczając rozmaite protezy). ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

ZBIÓRKA.
Aż 603 tys. książek zebrano podczas tegorocznej Wielkiej Zbiórki Książek, do której włączyło się ponad 70 miast i miasteczek w całej Polsce. Trafią one do szpitali, domów dziecka i domów samotnej matki oraz hospicjów – łącznie zasilą ponad tysiąc takich miejsc w kraju. Organizatorem akcji jest Fundacja Zaczytani.org.

WPIS.
Opatowskie Krzemionki wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Położony na północno-wschodnim skraju Gór Świętokrzyskich region górniczy (ok. 3900–1600 lat p.n.e. wydobywano tam krzemień pasiasty; na zdjęciu) to jeden z największych znanych elementów przemysłowego dziedzictwa archeologicznego i pierwsze polskie stanowisko archeologiczne na liście UNESCO.

PE PAWEŁ / PD

ZWIASTUN.
W sieci ukazał się zwiastun filmu Václava Marhoula „Malowany ptak". Ekranizacja książki Jerzego Kosińskiego to długo wyczekiwana produkcja – powstaje już od blisko dekady. Marhoul nabył prawa do filmowej adaptacji powieści w 2010 r., zdjęcia rozpoczęto dwa lata temu, a premierę zaplanowano na wrzesień. Film jest koprodukcją czesko-słowacko-ukraińską; PISF odmówił twórcom przyznania środków na projekt, uznając scenariusz za przeciętny i staromodny.

POŻEGNANIE.
Zmarł brazylijski kompozytor, gitarzysta i piosenkarz João Gilberto, uznawany za jednego z ojców bossa novy – stylu w muzyce brazylijskiej. Świat usłyszał o nim na początku lat 60., po legendarnym koncercie w nowojorskim Carnegie Hall. Pierwszy album, nagrany wspólnie z saksofonistą Stanem Getzem, Gilberto sprzedał w milionowym nakładzie; przyniósł mu on światową sławę.

ATOM WYŚNIONY, ATOM PRZESPANY

Polska elektrownia atomowa od trzech dekad pozostaje w sferze planów. Rząd PiS zapowiada, że ją zbuduje – mimo że coraz więcej przemawia za tym, by tego nie robić.

MAREK RABIJ

Posiłek w cenie biletu składa się z lokalnych morskich specjalności. Po szybkim objeździe terenu zakładu goście trafiają do muzeum, gdzie mogą obejrzeć pręty kontrolne, za pomocą których steruje się aktywnością reaktora, oraz tuby, w których zużyte paliwo jądrowe będzie przechowywane w zabezpieczonych komorach 450 metrów pod ziemią. Złośliwi komentatorzy w mediach twierdzą jednak, że główną atrakcją wystawy na terenie elektrowni atomowej w fińskim Olkiluoto powinny być kolejne harmonogramy budowy jej trzeciego reaktora, rozpoczętej w 2005 r. z budżetem 3,2 mld euro. Dziś – 14 lat później – pewne jest, że ostateczne koszty inwestycji przekroczą 8,5 mld euro. Nie wiadomo za to, kiedy popłynie z niej wreszcie prąd: dostawca instalacji, konsorcjum Areva-Siemens, kolejny raz przesunął termin załadunku paliwa do reaktora, a w komunikatach stać go jedynie na wyrażenie „ostrożnej nadziei", że wiosną przyszłego roku blok numer 3 w Olkiluoto rozpocznie produkcję energii elektrycznej.

Ta elektrownia jest nam nadal potrzebna – powtarzają politycy w Helsinkach, pokazując kolejne dane o wzroście importu brakującej energii z politycznie nieprzewidywalnej Rosji. Problem w tym, że od rozpoczęcia budowy Olkiluoto 3 łączna moc turbin wiatrowych zainstalowanych w krajach Unii Europejskiej wzrosła czterokrotnie, do ok. 180 gigawatów (GW). W przypadku systemów fotowoltaicznych nominalne moce produkcyjne na terenie UE wzrosły kilkadziesiąt razy, przekraczając już 100 gigawatów. W ślad za wzrostem mocy produkcyjnych spadły oczywiście ceny zielonej energii – i to przy jednoczesnym wzroście kosztów coraz rzadszych inwestycji w atom.

Efekt? W 2017 r. – jak podaje Sandbag, brukselsko-londyński think tank specjalizujący się w badaniach nad zmianami klimatu oraz polityce energetycznej – wiatr, słońce i biomasa po raz pierwszy dostarczyły Europie więcej prądu niż węgiel kamienny i brunatny łącznie. Tym samym w miksie energetycznym kontynentu źródła odnawialne zajęły pierwsze miejsce z udziałem na poziomie 29,8 proc. – przed energią jądrową (26,1 proc.), gazem (18,6 proc.), węglem kamiennym (12 proc.) i brunatnym (9,5 proc.) oraz innymi paliwami kopalnymi (4 proc.).

Gdyby więc dziś Finlandia miała znów podejmować decyzję o budowie nowego reaktora atomowego, niewykluczone, że zamiast niego postawiłaby na prąd z wody, wiatru i słońca.

Polska, która właśnie stoi przed taką decyzją, zdaje się tymczasem nie mieć wątpliwości.

W cieniu Bełchatowa

– Mamy ambitny program budowy energetyki jądrowej. Do 2040 r. chcemy wybudować przynajmniej sześć reaktorów jądrowych, które zapewnią 20 proc. energii konsumowanej w Polsce – zapowiadał 5 lipca podczas konwencji programowej PiS w Katowicach pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Piotr Naimski. Inni politycy partii rządzącej przypo-

ANDRZEJ MARCZAK / FORUM

minają, iż projekt Polityki Energetycznej Państwa zakłada, że pierwszy blok jądrowy o mocy 1–1,5 GW mocy ruszy w 2033 r. Potem co dwa lata, aż do 2043 r., ma być oddawany do użytku kolejny. Koszt? Około 120–130 mld zł. Dużo, ale finansowanie rozłoży się na niemal dwie dekady, poza tym atom – jak przekonują politycy – jest Polsce niezbędny. Tylko elektrownia jądrowa może wypełnić lukę powstałą w polskim systemie energetycznym po elektrowniach węglowych wyłączanych na życzenie Brukseli.

Zdaniem dr Joanny Maćkowiak-Pandery, szefowej Forum Energii, think tanku zajmującego się polityką energetyczną, pośpiech rządzących bierze się ze świadomości, że nad polską energetyką wisi widmo zawału: – Z naszych analiz wynika, że za dziewięć lat Polska wyłączy większość elektrowni na węgiel brunatny. W okolicach Bełchatowa skończą się dostępne złoża tego surowca, a wzrost kosztów zakupu certyfikatów emisji CO_2 sprawi, że otwieranie nowych będzie nieopłacalne. Z polskiego systemu energetycznego wypadnie w ten sposób około 9 GW, czyli niemal 30 proc. mocy produkcyjnych. Szanse na to, że do tej pory uda się uruchomić przynajmniej jeden blok atomowy, są według mnie bliskie zeru.

Po wstrzymaniu projektu w Żarnowcu w 1989 r. atom w Polsce trafił – jak mówi Maćkowiak-Pandera – na indeks, jako scenariusz grożący powtórką Czarnobyla. Gospodarka jednak rosła, podobnie jak konsumpcja gospodarstw domowych. W rezultacie już w połowie ubiegłej dekady stało się jasne, że polska energetyka, oparta na blokach węglowych liczących średnio ponad 20 lat, wkrótce przestanie wytwarzać tyle prądu, ile potrzebuje 38-milionowy kraj na dorobku. W 2009 r. do pomysłu budowy elektrowni atomowej wrócił ówczesny gabinet PO-PSL. Uchwalono nawet Program Polskiej Energetyki Jądrowej, a grupa PGE dostała od państwowego właściciela nakaz wcielenia strategii w życie (wraz z nią prominentny działacz PO, Aleksander Grad, otrzymał lukratywną posadę menedżerską w jednej ze spółek grupy). A potem zaczął się typowy urzędniczo-polityczny kontredans, w którym rzekomo lepsze strategie zastępowały dobre. – Zgodnie z planem przyjętym dziesięć lat temu pierwszy blok powinien zacząć działalność w przyszłym roku. Tymczasem wciąż nie mamy nawet ↦

Budowa elektrowni atomowej w Żarnowcu, lata 80.

wybranego miejsca pod tę inwestycję – kwituje szefowa Forum Energii.

Dekarbonizacja na serio

Kiedy Polska markowała unowocześnianie swojej energetyki, by tylko uniknąć tarć społecznych na Śląsku, kraje Europy Zachodniej przystąpiły do niej na poważnie. W ostatnich latach priorytetem stała się dekarbonizacja, czyli ograniczenie paliw kopalnych w produkcji energii na rzecz źródeł odnawialnych.

Z danych Eurostatu wynika, że w Niemczech w 2017 r. 30 proc. energii elektrycznej pochodziło z wiatru, słońca i biomasy, a w Wielkiej Brytanii – 28 proc. Najsilniejszy wzrost odnotowano w Danii, gdzie w 2017 r. już 74 proc. wyprodukowanej energii elektrycznej pochodziło z wiatru, słońca i biomasy. Tymczasem w Polsce za aż 47 proc. produkcji odpowiadały nadal bloki opalane węglem kamiennym, a za 31 proc. – brunatnym. Wiatr dostarczył zaledwie 8 proc. energii. Hydroelektrownie tylko 1 proc.

Niska efektywność technologii opartych na źródłach odnawialnych wraz z wysoką ceną wytwarzanej przez nie energii przez lata była kluczowym argumentem za hamowaniem ich rozwoju w Polsce. Były jednak kraje, które poszły inną drogą, próbując po prostu usunąć te bariery. W 2011 r. Niemcy, na fali obaw po katastrofie w elektrowni w Fukushimie, zdecydowały o wygaszeniu swoich elektrowni atomowych do 2022 r., by ich miejsce mogły zająć odnawialne źródła energii. Dla realizacji celów klimatycznych decyzja Berlina miała fatalne konsekwencje (Niemcy nie wywiążą się z nałożonych na nie limitów ograniczenia emisji CO_2, bo wyłączane reaktory tymczasowo muszą zastąpić elektrownie gazowe i węglowe), pomogła jednak gospodarce Niemiec w opracowywaniu nowych technologii opartych na OZE, które tamtejsze firmy będą oferować Europie jako alternatywę dla francuskich reaktorów.

Aby zilustrować tempo, w jakim technologie bazujące na źródłach odnawialnych zyskują na rentowności, najlepiej porównać koszt produkcji prądu z nowych turbin wiatrowych w 2015 i 2018 r. z kosztami wytworzenia energii w nowo oddanych blokach węglowych. Jeszcze w 2015 r. obie technologie, przy średnim poziomie wykorzystania mocy produkcyjnych, zapewniały w Polsce prąd w zbliżonej cenie rzędu 320 zł za megawatogodzinę (MWh) – w ostatecznym bilansie na rzecz wiatraków przemawiały jedynie koszty zakupu certyfikatów emisji CO_2, które do ceny każdej megawatogodziny brudnej energii dokładały wówczas około 17–20 zł. Pod koniec 2018 r., turbiny wiatrowe były w stanie wytworzyć już prąd średnio o 100 zł tańszy od produkowanego w elektrowniach węglowych. Gdyby doliczyć do rachunku koszty certyfikatów emisji, energia z węgla drożała o kolejne 80 zł, czyli aż o 46 proc. w stosunku do energii wiatrowej (dane Centrum Informacji o Rynku Energii). Nic dziwnego, że gdy pod koniec ubiegłego roku, podczas pierwszej w Polsce aukcji OZE, w której rząd zakontraktował 15-letni zakup energii z nowych farm wiatrowych, zwycięzcy zgodzili się na sprzedaż prądu z nowych turbin wiatrowych po stawkach od niespełna 158 do maksymalnie 217 zł za MWh – przy średniej na poziomie 196 zł za MWh. Dla porównania: przeciętna cena energii na warszawskiej Towarowej Giełdzie Energii w dniu ogłoszenia wyni-

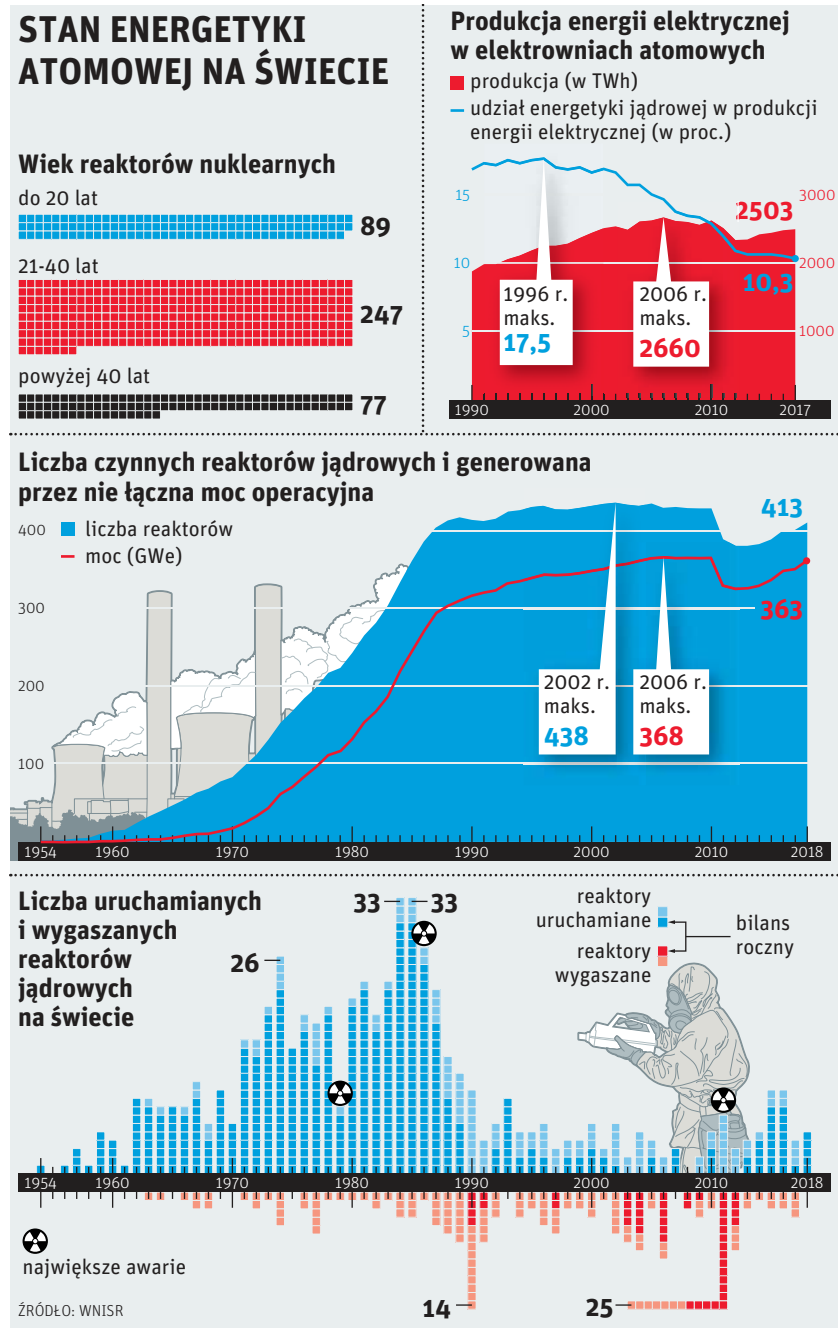

ków sięgnęła 300 zł za MWh, a w całym miesiącu przekroczyła 248 zł za MWh.

Jak w podobnym porównaniu wypadłaby dziś energia atomowa? Danych wprost z polskiego podwórka rzecz jasna brak, pozostają więc przykłady zagraniczne. Dziennik „Financial Times" poddał niedawno krytycznej analizie kontrakt Chińczyków na rozbudowę brytyjskiej elektrowni atomowej Hinkley Point, w którym strona chińska zastrzegła sobie cenę 92,50 funtów za MWh, podczas gdy dwie inne firmy zaoferowały Londynowi budowę morskich farm wiatrowych z gwarantowaną ceną 57,50 funtów za MWh na lata 2022-23.

Joanna Maćkowiak-Pandera: – Opinię publiczną w Polsce bombarduje się teraz informacjami, jakoby atom był najtańszą technologią produkcji energii elektrycznej. Jednak w tego typu obliczeniach podaje się cenę także z elektrowni zbudowanych przed 30–40 laty, które dawno zdążyły się zamortyzować. W przypadku nowo wybudowanych reaktorów sytuacja wygląda odmiennie: prąd z atomu, w średniej cenie około 480 zł za MWh, jest najdroższym rodzajem energii, jaki można sobie zafundować. Bez wsparcia publicznego trudno o gwarancję, że koszty budowy kiedyś się zwrócą.

Pokochajcie atom

Tymczasem poparcie dla energetyki atomowej w Polsce w ostatnich czterech latach wzrosło aż o 10 punktów procentowych, sięgając rekordowego pułapu 61 proc. zwolenników. Można by uznać to za sukces kolejnych polskich kampanii promujących atom, gdyby nie fakt, że realizowano je metodami, delikatnie mówiąc, nieadekwatnymi do wymogów współczesnej inżynierii społecznej. Piotr Stankiewicz, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, analizie polskiego dyskursu wokół energii atomowej poświęcił osobny artykuł, w którym stawia tezę, że próby oswojenia Polaków z atomem przypominają bardziej kołysankę śpiewaną przez ekspertów niż dialog, w którym oczekiwania, obawy i wątpliwości społeczeństwa traktuje się jako jeszcze jeden z kluczowych aspektów takiej inwestycji. Polską rozmowę o energetyce jądrowej na początku skaziło, jak dowodzi toruński socjolog, anachroniczne założenie, że elektrownia atomowa to jedyna technologia na najwyższym poziomie, i ekonomia wielkich liczb. Innymi słowy – obszary niedostępne dla aparatu pojęciowego przeciętnego obywatela, który z tego powodu nie powinien być dla ekspertów partnerem w dyskusji.

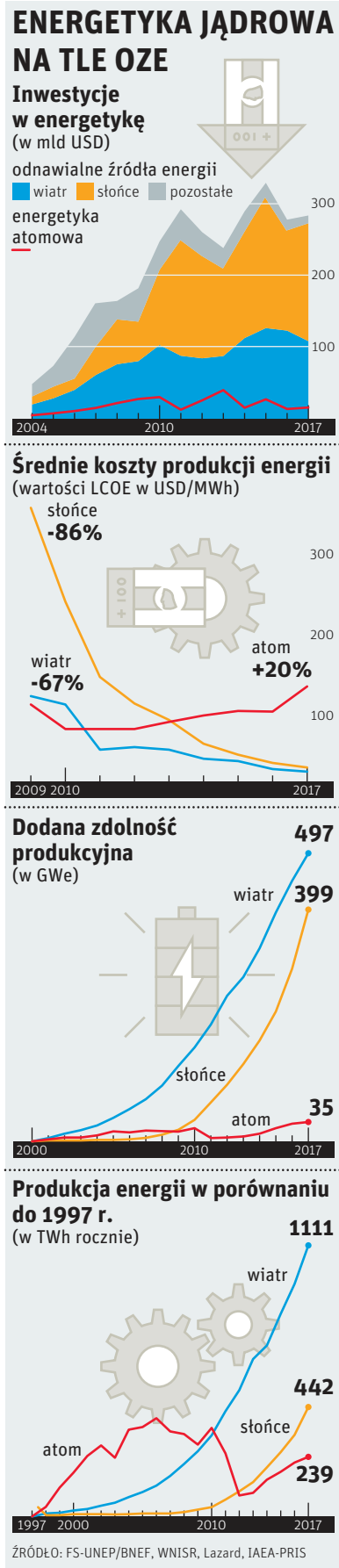

W rezultacie, pisze Stankiewicz, debatę o polskim atomie zredukowano do kilku prostych haseł, które miały przekonać podatników, że energia atomowa to najczęściej stosowana i obecnie najtańsza metoda produkcji energii elektrycznej, dla której brak alternatywy. Autorzy strategii z dwóch wynajętych agencji PR radzili oprzeć kampanię na przekazach kluczowych, które przedstawiałyby atom jako „bezpieczny, tani, przyjazny środowisku, sprawdzony i wydajny". W planach była nawet próba namówienia scenarzystów znanych polskich seriali, by ich postaci na ekranie mówiły ciepło o polskiej elektrowni atomowej, oraz podobne zlecenia dla liderów opinii z branż niezwiązanych z energetyką (tzw. strategia trzeciej strony używana często w *public relations*).

Konsultacje społeczne z prawdziwego zdarzenia zredukowano natomiast właściwie do zera. „Prognozę Oddziaływania na Środowisko Programu Polskiej Energetyki Jądrowej", dokument liczący wraz z załącznikami 1080 stron, skierowano do konsultacji 30 grudnia 2010 r. – i to z minimalnym przewidzianym ustawowo terminem 21 dni. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że dokument udostępniono do wglądu w czwartek poprzedzający noworoczny weekend, po którym następowała kolejna przerwa w pracy w związku z uchwalonym Świętem Trzech Króli. Równie absurdalnie wyglądała komunikacja ze środowiskiem naukowym. Doświadczył tego sam Stankiewicz: w przywołanym artykule cytuje odpowiedź urzędnika z Departamentu Energetyki Jądrowej w Ministerstwie Gospodarki, do którego zwrócił się o najnowsze wyniki badań poparcia dla budowy elektrowni atomowej w Polsce. „Ostatni sondaż wykazał spadek poparcia w stosunku do wcześniejszego badania o 4 punkty procentowe. Ministerstwo nie chciałoby dawać przeciwnikom EJ [energii jądrowej – red.] argumentu, że społeczeństwo nie chce EJ" – odpisał urzędnik.

Sen o normalności

Może więc zamiast głowić się nad rzeczywistą skalą poparcia dla energetyki atomowej w Polsce, lepiej odpowiedzieć na inne pytanie – o czym naprawdę myślą Polacy, gdy mówią o atomie? ↦

Tak jak w wymiarze czysto inżynieryjnym elektrownia atomowa stanowi swoistą *summa technologiae*, tak w wymiarze publicznym jej obecność jest koronnym dowodem na sprawność państwa, zdolnego sprostać tak skomplikowanemu, kosztownemu i potencjalnie niebezpiecznemu zadaniu. Inwestycja w atom nie sprowadza się przecież do wyboru reaktorów i obudowania ich stosownymi instalacjami. To także egzamin dojrzałości dla administracji publicznej, która na etapie przetargu podlegać będzie gigantycznej presji lobbystów i dyplomatów reprezentujących kraje oferujące technologię nuklearną, a podczas budowy będzie dźwigać ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo realizacji inwestycji. Po zakończeniu budowy podobny test przejdą resorty siłowe i służby bezpieczeństwa (dziś także te cyfrowe) odpowiedzialne za ochronę instalacji przed aktami sabotażu lub atakami terrorystycznymi.

Inwestycja w atom zweryfikuje też „kompetencje miękkie" władz centralnych i samorządowych, które w takich sytuacjach muszą wspiąć się na mediacyjne wyżyny. Odsłoni nawet prawdziwą – nie wyimaginowaną – pozycję kraju na arenie międzynarodowej, która bądź pozwoli mu samodzielnie produkować paliwo nuklearne, bądź zapewni stałe dostawy od któregoś z nielicznych wytwórców. W tym kontekście wysokie poparcie dla energii atomowej w Polsce zapewne odzwierciedla więc także typowe polskie marzenie ostatnich trzech dekad o „normalnym" państwie. Normalnym, czyli zdolnym w końcu do tego, do czego Francja, Niemcy, Wielka Brytania, a nawet Czechy zdolne są od dziesięcioleci.

Jak każde niespełnione marzenie, i to jest anachroniczne. Rząd PiS – partii, która na gospodarkę lubi spoglądać przez pryzmat centralnego sterowania i wielkich inwestycji – przekonuje wprawdzie, że atom nadal stanowi energetyczny produkt pierwszego wyboru w większości rozwiniętych gospodarek świata, ale prawda jest inna. Energia nuklearna, koncept rodem z epoki zimnej wojny (mówi o tym na kolejnych stronach filozofka Ewa Bińczyk), jest dziś jeśli nie w odwrocie, to na pewno na zakręcie. Od roku 1996, kiedy to atom stanowił rekordowe 17,5 proc. w globalnym miksie energetycznym, jego udział skurczył się do 10,3 proc. Moce produkcyjne wszystkich elektrowni atomowych świata wzrosły w 2017 r. o zaledwie 1 proc. Pracę rozpoczęły w tym czasie tylko cztery reaktory, z czego trzy zbudowane w Chinach, a jeden – skonstruowany i sfinansowany przez chińską spółkę – w Pakistanie. Gdyby jednak z atomowego bilansu globu wyłączyć Państwo Środka, okaże się, że już trzeci rok z rzędu łączne moce produkcyjne siłowni jądrowych na świecie ulegają zmniejszeniu. Jordania, Malezja i USA zrezygnowały z budowy reaktorów, a Argentyna, Indonezja i Kazachstan wstrzymały swoje inwestycje. W Chinach od 2016 r. nie ogłoszono budowy nowej elektrowni, Pekin w 2017 r. zwiększył za to nakłady na OZE do rekordowego poziomu 126 mld dolarów. W Europie fiński Olkiluoto 3 będzie w przyszłym roku pierwszym reaktorem oddanym do użytku od 30 lat.

Jedynym twardym argumentem za polską inwestycją w atom jest zatem jej brak w przeszłości. Stabilne, mocne źródło prądu na pewno dodałoby polskiej energetyce mocy w tzw. podstawie, czyli zapewniłoby jej mniejsze wahania potencjału produkcyjnego, typowe dla OZE. Ale czy to wystarczy za uzasadnienie dla inwestycji, która polskie środowisko naturalne zmieni już na zawsze?

Spośród 50 komercyjnych reaktorów budowanych obecnie na świecie tylko 12 powstaje w krajach o utrwalonej demokracji i respektujących prawa człowieka. Numerem jeden w globalnym wyścigu po prąd z atomu są oczywiście Chiny, budujące obecnie 16 reaktorów o łącznej mocy 15 450 MW, przed Indiami (7 reaktorów dysponujących mocą 4 824 MW) i Rosją, w której trwa budowa 5 reaktorów (3 378 MW). Tę wielką trójkę łączy także słabość do nacjonalistycznej retoryki oraz marsz w stronę ustrojów autorytarnych, w których wolność obywateli przegrywa z tym, co narzuca władza. Rzecz jasna, nie znaczy to, że w warunkach prawidłowo działającej demokracji, nie da się już zbudować elektrowni atomowej. Nadaktywność Chin czy Rosji w jądrowym światku może jednak być dowodem na to, że tam, gdzie władza wnikliwiej wsłuchuje się w głos obywateli, coraz rzadziej słychać również szum reaktorów atomowych.

©℗ MAREK RABIJ

Wszystkie dane w tekście, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z raportu „The World Nuclear Industry Report 2018".

Nie jesteśmy tu na stałe

PROF. EWA BIŃCZYK, FILOZOFKA:

Energetyka atomowa to relikt epoki, w której ludzkość próbowała jeszcze triumfować nad naturą. A dziś już rozumiemy, że z naturą musimy żyć w zgodzie.

EWA BIŃCZYK: Proszę mi obiecać, że ilekroć nazwę w tej rozmowie samochód „blachosmrodem", to mi to pan zostawi w ostatecznej wersji tekstu.

MAREK RABIJ: Zgoda. Pod warunkiem, że wyjaśni Pani, o co chodzi.

Proszę bardzo. Czy samochód jest przedmiotem użytkowym? Oczywiście. Problem w tym, że dla wielu stał się przede wszystkim wyznacznikiem statusu społecznego, a gdy zaczynamy mówić o tym ostatnim, wchodzimy od razu w dyskurs indywidualistyczny, w którym wartość jednostki zależy przede wszystkim od tego, jak bardzo różni się od innych.

Indywidualizm to przecież składowa kultury europejskiej.

Zgoda. Tylko że uchronienie tej naszej ukochanej Europy od katastrofy klimatycznej wymaga zrozumienia, że dla wspólnego dobra musimy ograniczyć akcentowanie „ja" w sferze nawyków konsumpcyjnych. Tu indywidualizm moim zdaniem zmienił się wręcz we własną karykaturę, w jeszcze jedno narzędzie do kształtowania dokładnie takich postaw, na jakich zależy wielkiemu biznesowi. Bądź sobą, wyraź siebie. A tak naprawdę – kup to, co ci oferujemy. Nawet korzystanie z ko-

munikacji miejskiej stało się w Polsce obciachem, bo sygnalizuje, że nie stać cię na własny „blachosmród".

Rozumiem, że nie ma Pani samochodu.

Musieliśmy go niestety kupić, kiedy mama zachorowała. Ale nie zamierzam go wymieniać tak długo, jak długo będzie nim można bezpiecznie jeździć. Nie chodzi mi o status, jaki mogłabym nim podkreślić. Bo status społeczny oznacza dziś przede wszystkim status posiadania. „Mniej" znaczy nadal „gorzej", a dopóki tak będzie, dopóty wszelkie decyzje proklimatyczne na poziomie umów międzynarodowych będą każdego dnia sabotowane przez kilka miliardów konsumentów z państw rozwiniętych, przyzwyczajonych do tego, że „ja" najprzyjemniej demonstruje się na zakupach.

Mieliśmy rozmawiać o atomie.

Ależ rozmawiamy, mimo że to słowo na razie nie padło. Proszę zwrócić uwagę, że strategia klimatyczna polskiego rządu, która mówi o potrzebie inwestycji w niskoemisyjne źródła energii elektrycznej, automatycznie zakłada także dalszy wzrost produktu krajowego brutto. A co napędza PKB? Konsumpcja, której nie da się zaspokoić bez produkcji, do której z kolei niezbędny jest prąd.

Agencja Bloomberg opublikowała niedawno dane, z których wynika, że w ciągu niespełna 40 lat, od roku 1980, zużycie energii elektrycznej na świecie uległo podwojeniu.

A teraz przyłóżmy statystyki, o których pan mówi, do głównego problemu, jakim jest katastrofa klimatyczna zagrażająca naszej planecie. Zobaczymy, że polska strategia klimatyczna, podobnie jak plany wielu innych krajów, sprowadza się do stopniowej zmiany struktury krajowego miksu energetycznego na mniej szkodliwy dla środowiska. Czyli jedynie do próby uśmierzenia objawów choroby, a nie ograniczania jej przyczyny, którą jest chorobliwie rozdęta konsumpcja.

Od czegoś trzeba zacząć.

Otóż właśnie nie! Gdy mowa o emisji dwutlenku węgla do atmosfery, technologię i konsumpcję traktujemy jak dwa osobne byty. A to błąd. W ten sposób technologia staje się tematem zastępczym albo podsuwa łatwe usprawiedliwienie dla naszych zaniedbań. Jedną z ikon rewolucji ekologicznej stała się elektryczna tesla, ścigacz szosowy, który wprawdzie sam nie emituje do atmosfery dwutlenku węgla, ale podczas ładowania pożera z gniazdka mnóstwo prądu. I już nikt się nie zastanawia nad tym, że skoro w Polsce prąd nadal pochodzi głównie z elektrowni węglowych, to jeżdżenie po Warszawie czy Krakowie czterystukonnym potworem na prąd, zwłaszcza w pojedynkę, nie ma nic wspólnego z walką z katastrofą klimatyczną. Jeździsz teslą? Jesteś eko.

UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA

DR HAB. EWA BIŃCZYK jest filozofką związaną z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się na socjologii wiedzy, filozofii i historii nauki oraz filozofii języka. W ubiegłym roku wydała książkę „Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu".

Zmiany klimatyczne...

Przepraszam, ale muszę panu przerwać. Mówmy o katastrofie klimatycznej, nie o zmianach, które się we współczesnym świecie kojarzą z czymś pozytywnym.

Dobrze. Zatem katastrofa klimatyczna nie ma nic wspólnego z technologią atomową. Przeciwnie, wielu specjalistów właśnie w niej widzi najlepszego partnera dla energii ze źródeł odnawialnych. Eksperci, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że rosnące koszty certyfikatów emisji CO_2 zabiją polskie elektrownie na węgiel brunatny jeszcze przed 2030 r. Tę potężną lukę w mocach produkcyjnych mógłby wypełnić atom, ale nie wypełni, bo od prawie dekady jedynie opowiadamy sobie, jakie ładne elektrownie zbudujemy.

A nie wydaje się panu, że cały ten atomowy pakiet, od momentu prezentacji, bodaj w roku 2009, stanowi przede wszystkim element polityki wizerunkowej kolejnych rządów? Gdyby traktować poważnie tamte założenia, pierwszy blok jądrowy w Polsce ruszałby za kilka miesięcy. Energia atomowa dobrze wygląda w programie wyborczym. W realizacji jest już piekielnie trudna, wymaga sprawnych instytucji i umiejętności prowadzenia dialogu ze społeczeństwem.

Doroczne badania pokazują wzrost akceptacji dla atomu w Polsce. W zeszłym roku aż 61 proc. ankietowanych opowiedziało się za budową takiej elektrowni. Rząd mówi z kolei, że na atom nas stać, i faktycznie: jeśli porównamy koszt takiej inwestycji do produktu krajowego obecnie i dziesięć lat temu, polski atom wydaje się być w zasięgu ręki. Przecież te 100–130 mld zł to równowartość jakichś dwóch, trzech lat wypłat 500 plus.

Tylko że kryterium kosztowe moim zdaniem wiedzie nas na manowce. Spytałabym raczej, czy naprawdę „stać nas" na dalsze zanieczyszczanie planety, którą zamieszkujemy jedynie tymczasowo, odpadami radioaktywnymi, z którymi zmagać się będą jeszcze praprawnuki naszych praprawnuków? Oczywiście, że elektrownie atomowe produkują niewiele odpadów radioaktywnych. Problem stanowi jednak nie ich ilość, lecz czas rozpadu: sto tysięcy lat, ta perspektywa właściwie wyklucza kontrolę. Na razie nie dysponujemy technologią zdolną unieszkodliwić je tu i teraz, zwalamy więc beztrosko problem na głowy przyszłych pokoleń, licząc na to, że składowiska, które są bezpieczne ↦

dzisiaj, pozostaną obojętne dla środowiska również za kilkaset lat.

Duże wrażenie zrobił na mnie dokument „Containment" Petera Galisona, w którym reżyser zmierzył się z bardzo ciekawym zagadnieniem: jak oznakować składowiska odpadów radioaktywnych, żeby za sto tysięcy lat te symbole nie były niezrozumiałymi hieroglifami? Cywilizacja europejska liczy przecież zaledwie dwa i pół tysiąca lat. Tymczasem odpady radioaktywne pozostają groźne jeszcze przez dziesiątki tysięcy lat. W takiej perspektywie cała nasza ikonografia, sfera estetyki i skojarzeń wydają się mrugnięciem okiem. Dlatego zwolennicy energii atomowej mijają się z prawdą, kiedy mówią, że w koszty budowy takich elektrowni wliczone są też koszty składowania odpadów. W jaki sposób, do cholery, można oszacować koszty jakiegoś przedsięwzięcia na sto tysięcy lat do przodu? Gdyby Mieszko I zbudował na poznańskim Ostrowie Tumskim elektrownię atomową, jej odpady stanowiłyby dziś zagrożenie dla całego Poznania.

Za kolejny tysiąc lat byłyby równie niebezpieczne. Nie wiadomo tylko, co z Poznaniem.

Dlatego zgadzam się z Dieterem Birnbacherem, niemieckim filozofem techniki, który mówi: nasza wolność do zmiany technologicznej kończy się tam, gdzie kończy się odwracalność zmian, które niesie ze sobą dana technologia. Nie jesteśmy tutaj, na Ziemi, na stałe.

Bardzo to posthumanistyczne.

Bo każda technologia jest swoistą fotografią rzeczywistości utrwaloną w określonym momencie. Przyjmując takie założenie, łatwiej pojąć, że energetyka atomowa to relikt epoki, w której ludzkość próbowała jeszcze triumfować nad naturą.

Mówi Pani o zimnej wojnie?

Oczywiście. Pierwsze elektrownie atomowe rozpoczęły działalność na przełomie lat 50. i 60. XX w., czyli w dobie silnych państw, które kontrolowały niemal każdy wycinek rzeczywistości i realizowały projekty cywilizacyjne lub naukowe na gigantyczną, niespotykaną dziś skalę.

Energia atomowa dobrze wygląda w programie wyborczym. W realizacji jest już piekielnie trudna, wymaga sprawnych instytucji i umiejętności prowadzenia dialogu ze społeczeństwem.

Roiliśmy sobie nawet, że dzięki atomowi zmienimy klimat w termostat, którym będziemy mogli sobie kręcić tak, jak nam będzie pasować. Teraz już rozumiemy, że to śmiertelna pułapka, bo zamiast triumfować nad naturą, żyjemy dziś w epoce chaosu pogodowego i nieodwracalnych zmian: tracimy stabilną pokrywę lodową Arktyki i pory roku, rafy koralowe, bioróżnorodność.

Silnych państw też już właściwe nie ma. Może poza Chinami, które teraz jako jedyne ostro inwestują w atom.

Rzeczywiście, pod koniec lat 80. po jednej stronie żelaznej kurtyny skończył się komunistyczny totalitaryzm, a po drugiej państwo postanowiło przerzucić wiele swoich prerogatyw na sektor prywatny, wierząc w niewidzialną rękę rynku.

Skończyło się to, jak wiemy, anemią państwa, które w imię neoliberalnej doktryny dobrowolnie pozbawiło się części wpływów podatkowych. I proszę spojrzeć, jak dziś funkcjonuje amerykański program kosmiczny, niegdyś wizytówka amerykańskiej potęgi militarnej i naukowej? NASA kupuje usługi w Rosji i u Elona Muska. Na swój program lotów kosmicznych agencji już nie stać.

Chce Pani powiedzieć, że współczesnych państw może nie być stać również na zapewnienie odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa w elektrowniach nuklearnych?

Wiele – jeśli nie większość – z nich znajduje się dziś w rękach prywatnych, biznes zaś zawsze rządzi się kryteriami kosztowymi i w zasadzie nie można mieć o to do niego pretensji. Po drugiej stronie mamy zaś słabnące państwo w roli regulatora. A na dodatek technologia atomowa staje się coraz bardziej skomplikowana.

I nawet krytycy atomu, wskazujący na wysokie koszty tego typu inwestycji, przyznają jednocześnie, że zaawansowanie technologiczne – pochodna tychże kosztów – zapewnia bezpieczeństwo na niespotykanym dotychczas poziomie.

Ale żadna technologia nie gwarantuje stu procent bezawaryjności. Badacze studiów nad nauką i technologią piszą, że technologie są „bałaganiarskie". Gdy rośnie ich złożoność, a różne systemy technologiczne wchodzą ze sobą w interakcje, wzrasta prawdopodobieństwo wystąpienia permutacji, która w tym technologicznym zbiorze doprowadzi w końcu do krytycznej awarii. Analiza większości katastrof przemysłowych pokazuje, że przyczyną rzadko bywa jeden błąd człowieka lub poważna usterka. Najczęściej dochodzi do efektu domina: przewracamy jedną maluteńką kostkę, a reszta dzieje się automatycznie. Dlatego trudno mi uwierzyć w zapewnienia, że „panujemy" nad atomem.

Także dlatego nikt nie odważył się obejmować elektrowni jądrowych ubezpieczeniem. Koszty ewentualnych awarii, choć nie było ich wiele – bo na razie mamy też stosunkowo mało elektrowni atomowych – były spektakularne, żadne towarzystwo nie podejmie się ubezpieczenia na taką skalę. Za Czarnobyl i Fukushimę ostatecznie zapłacili podatnicy.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Wreszcie – nawet jeśli ryzyko jest niewielkie, dlaczego mielibyśmy je podejmować, skoro mamy pod ręką lepszą opcję? Energia ze źródeł odnawialnych nie tylko nie grozi skażeniem. Jest też bardziej egalitarystyczna.

Egalitarystyczna?

Wybór atomu to także symboliczny wybór wizji państwa silnie scentralizowanego, w którym kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt procent energii elektrycznej pochodzi z zaledwie kilku reaktorów, a sprawne państwo potrafi skoncentrować w tych miejscach ogromne zasoby dla zapewnienia bezpieczeństwa. Olbrzymia władza i równie wielka odpowiedzialność spoczywają zatem w rękach garstki ekspertów, urzędników i inwestorów, którzy nie dają obywatelom możliwości współdecydowania o kształcie technologii – bo przecież nie wybierzemy lokalizacji ani typu reaktora w referendum.

W zdecentralizowanym modelu opartym na źródłach odnawialnych zamiast kilku megafabryk prądu, w których fachowcy wraz z politykami będą się bawić w kapłanów technologii, możemy mieć tysiące małych wytwórni solarnych i wiatrowych, działających w większej harmonii ze środowiskiem i lokalnymi wspólnotami. Liczne farmy wiatrowe lub słoneczne to szansa dla naszych rolników (od których potrzebowalibyśmy gruntów) i przedsiębiorców na *boom* gospodarczy. Powinniśmy być tą szansą zachwyceni i skwapliwie z niej korzystać, a nie sięgać dziś po atom.

Nasza wolność do zmiany technologicznej kończy się tam, gdzie kończy się **odwracalność zmian**, które niesie ze sobą dana technologia.

System zdecentralizowany ma też inne zalety. Jest elastyczny, bo latem, kiedy gwałtownie rośnie zapotrzebowane na prąd, wzrasta także efektywność działania paneli solarnych. Jest również bardziej odporny na katastrofy naturalne czy ataki terrorystyczne, a poza tym zarządzanie nim nie spoczywa w rękach garstki wybrańców. OZE pozwalają nie tylko na odbieranie energii, ale także na jej produkcję, bo można mieć na dachu instalacje solarne zasilające część domowych urządzeń.

Ale to wciąż model, który bez wsparcia energetyki atomowej lub konwencjonalnej nie jest w stanie zapewnić suwerenności energetycznej żadnemu krajowi. Być może zmieni się to za kilka lat, bo technologie bazujące na OZE rozwijają się błyskawicznie. W Polsce jednak nie rozmawiamy o tym, czym zastąpić atom, lecz o tym, co zamiast węgla.

Pytanie, które pan teraz stawia, jest tak ważne, że powinno być przedmiotem polskiej debaty publicznej i politycznej od lat. Bo technologia to my. Jej wybór zaważy na naszym życiu, dając nam pewne szanse, ale również przynosząc pewne ograniczenia. Atom to większa stabilność energetyczna, ale też odpady atomowe i większe koszty środowiskowe wielkich inwestycji. A z perspektywy czysto ekonomicznej – stracone kilkadziesiąt miliardów dolarów, które trafią do USA, Francji albo Japonii, którym zlecimy budowę. Nie mamy w Polsce własnych technologii nuklearnych i już ich nie stworzymy. Tymczasem nadal mamy szanse, żeby – późno, ale jednak – włączyć się do wyścigu technologicznego w energetyce opartej na źródłach odnawialnych. Idealnie wpisuje się to w kompetencje polskich firm, powinniśmy więc jak najszybciej przestawić nasz przemysł na innowacyjność w sektorze OZE.

Tylko rząd nadal twierdzi, że w centrum polskiej energetyki jeszcze długo pozostanie węgiel.

Czasem zastanawiam się, co gorsze: czy to tylko cyniczna gra pod sondaże, czy jakaś wyimaginowana licytacja z UE? Nie mogę uwierzyć, że w obliczu zalewu danych naukowych na temat zbliżającej się katastrofy klimatycznej i środowiskowej ktoś naprawdę tak myśli.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Jonasz w Niniwie

Jonasz po raz wtóry usłyszał nakaz Boga, by wzbudzić w Niniwie skruchę i czekać na wybaczenie. Poszedł do metropolii ówczesnego świata, stolicy największego naówczas bliskowschodniego imperium – asyryjskiego. Miasto leżało na lewym brzegu rzeki Tygrys. Założył je – jak oznajmia Pismo – sam Nimrod, budowniczy wieży Babel. Autor kodeksu Hammurabi (ok. 1750 roku p.n.e) wspomina, że znajdowała się tam świątynia Innuny. Niniwa stała się stolicą państwa w VIII w., a dwa wieki później została zburzona przez Medów i Babilończyków. Ruiny oglądał Xenofon, uczeń Sokratesa, i pisał o wielkim, opuszczonym i leżącym w ruinach mieście.

Niniwę poznajemy też przez proroków. Utalentowany poeta i prorok Sofoniasz pisał: „I wyciągnie On rękę na północ, / i zniszczy Asyrię, / i obróci Niniwę w pustkowie, / w suchy step, jak pustynię. / I będą się wylegiwać w jej obrębie stada, / wszelkie rodzaje zwierząt: / tak pelikan, jak jeż / zanocują na głowicach jej kolumn. / Sowa zaświszcze w otworze okna, / a kruk będzie na progu, / bo cedrowe obicie zostanie zerwane. / Oto wrzaskliwe miasto, / które bezpiecznie mieszkało, / które mówiło w swym sercu: »Ja, / i nikt więcej!« / Jakże stało się pustkowiem, / legowiskiem dzikich zwierząt?”.

Pisał tak na kilkanaście lat przed zniszczeniem miasta. Takie wyobrażenie o nim mógł mieć Jonasz zadając sobie pytanie: dlaczego mam się troszczyć o występną Niniwę, dlaczego Bóg troszczy się o sto dwadzieścia tysięcy jej mieszkańców?

Jeszcze surowsze są słowa proroka Nahuma (VII wiek):

„Biada miastu krwawemu! / Całe kłamliwe i grabieży pełne, / a nie ustaje rabunek. / Skutkiem mnóstwa nierządów ladacznicy pełnej wdzięku, / władczyni czarów, / która uwodziła narody swymi nierządami, / a plemiona swoimi czarami; / »Oto Ja przeciw tobie! – wyrocznia Pana Zastępów! – / i podniosę twe szaty na oblicze twoje, / i ukażę narodom twą nagość, / a królestwom – twą sromotę. / I rzucę na ciebie obrzydliwości, / i zelżę ciebie, i wystawię cię na widowisko«. / I każdy, kto cię ujrzy, oddali się od ciebie, / i zawoła: »Spustoszona Niniwa!« / Któż ulituje się nad nią?”.

Trudno było oczekiwać od Jonasza wielkiej gorliwości w wypełnieniu misji, gdy przeczytamy proroków. Komu zawierzyć: Bogu czy słowom Jego wysłanników? Nie wiemy też, dlaczego Niniwa miała być taka straszna. Odnoszę wrażenie, że wówczas kultura miejska i to, co nazwiemy nowoczesnością, wywoływało zgorszenie pośród ludzi ze wsi o prostych i skromnych obyczajach. A kimś takim był Jonasz, mieszkaniec wioski położonej nieopodal jeziora Genezaret.
W każdym razie Jonasz trzy dni przemierza miasto i oznajmia mieszkańcom: zginą za dni czterdzieści, jeśli nie okażą skruchy. Wysłuchał go król, mieszkańcy i ich trzody. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Dobra część

Do zalatanej Marty Jezus mówi: „Marto, Marto, martwisz się i niepokoisz o wiele, a jedno jest potrzebne. Maria wybrała dobrą część, która nie będzie jej odebrana”. Te słowa Chrystusa najczęściej przytaczano na uzasadnienie wyższości życia zakonnego nad życiem świeckim. Co więcej, nawet w klasztorach mieliśmy dwa chóry, czyli zakonników równych i równiejszych. Tak pisze o tym siostra Faustyna w „Dzienniczku”: „Pomiędzy sobą [zakonnice] nie będą się dzielić na żadne chóry ani na żadne matki i mateczki, ani na wielebne, ani na przewielebne, wszystkie będą sobie równe, chociażby je różniło pochodzenie bardzo wielkie. Wiem, kim był Jezus, a jak się uniżył i z kim przestawał. (...) Przełożona będzie często zmieniać obowiązki sióstr, a w ten sposób dopomoże im do oderwania się od tych drobiazgów, do których niewiasty mają wielką skłonność. Naprawdę, nieraz mnie to śmieszy, jak widzę na własne oczy, że dusze opuściły rzeczy naprawdę wielkie, a przywiązują się do fatałaszków, czyli drobiazgów. (...) Niech się nie ważą przełożone wchodzić w dziedzinę sumień sióstr. (...) Przełożona niech nie prawi siostrom morałów, ale niech da przykład głębokiej pokory i zaparcia siebie, to będzie najskuteczniejszą nauką dla podwładnych”. Tak sobie św. Faustyna wyobrażała zakon, który zamierzała założyć.

Dzisiaj takie wywyższenie jednego sposobu chrześcijańskiego życia nad drugi, przecież też chrześcijański, nazywamy klerykalizmem i jak widać, nie jest to wcale najnowszy wynalazek. Parę dziesiątków lat temu o tej chorobie do Jana Pawła II pisał jego przyjaciel prof. Stefan Swieżawski. Gdzie indziej pisał też, że podział społeczności kościelnej na duchowną i świecką jest podziałem nieuprawnionym, gdyż on sam i pozostali świeccy też są duchownymi, gdyż zajmują się sprawami duchowymi. To dlatego Franciszek często mówi o rozeznawaniu jako odnajdywaniu w wydarzeniach jak najbardziej świeckich ich Bożego charakteru. Popatrzmy pod tym kątem na Marię i Martę.

Siostry trafnie oceniły sytuację. Przyszedł gość, przyjaciel domu, trzeba się nim jak najserdeczniej zająć. Marta rzuca się w wir przygotowań poczęstunku, Maria podobnie, z wielką uwagą słucha Przyjaciela. Trudno im cokolwiek zarzucić. A jednak to Maria lepiej rozeznała, czego Gość od nich oczekuje. Owszem, posiłku. Jezus nie byłby najszczęśliwszy, gdyby na głodnego musiał iść spać. Przede wszystkim jednak oczekiwał On ich obecności przy Nim, pragnął ich uważności, czasu na rozmowę. Kolacja mogła poczekać. Przyniósł im siebie, jako że każde spotkanie jest wzajemnym posilaniem się swoim słowem, ciałem i krwią. A więc „to należało czynić i tamtego nie zaniedbywać”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Pierwsze jest pierwsze

To nie Bóg trzyma się z dala od nas, to my jesteśmy czasem nieobecni.

BRAT ROGER

Niechże w tobie, nieskończenie wielkim oceanie, fala świata, z naturą swą zgodnie, podnosi się i opada – dla ciebie to ani zysk, ani strata.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

Wróciłem ostatnio do lektury Listu do Tytusa – być może zrodzi ona kilka kolejnych „okruchów". Dziś sam początek-adres (Tt 1, 1-4). Na początku Paweł pisze o tym, co najważniejsze. Trudno się dziwić – przecież Tytus, który ma przedłużyć misję Apostoła Narodów, musi wiedzieć, o co w tej misji chodzi. Czego nie wolno pominąć?

Misja jest posługiwaniem Objawieniu, a ono jest „Słowem Boga w przepowiadaniu", dosłownie: „w Kerygmacie" (grec. *ton logon autou en kerygmati*). Jak widać, Kerygmat nie jest słowem o Bogu; jest Słowem Boga w wydarzeniu apostolskiego przepowiadania. A jeśli tak, to niesie on w sobie nie tylko Boży przekaz, ale Bożą siłę: Słowo Boga jest stwórcze. Jest dynamiczne. Nie jest informacją obok innych. Nie ma oznajmiać, lecz sprawiać.

Co ma sprawiać Kerygmat? Paweł odpowiada: nadzieję Życia Wiecznego, obiecanego nam odwiecznie, lecz w tym momencie (*kairos*) przekazywanego. Kerygmat nie jest pełnym i kompletnym wykładem katolickich dogmatów; nie jest drobiazgowym nauczaniem głoszonych przez Kościół zasad moralnych – nie, nie jest autorytatywnym komentarzem ani do 10 przykazań, ani do 8 błogosławieństw. Kerygmat nie omawia kościelnego prawa ani nie wzywa do konkretnej troski o kościelną instytucję.

Kerygmat daje nadzieję Życia Wiecznego. Teraz. Może trzeba powiedzieć jeszcze więcej: Kerygmat jest aktualnym przekazem Życia Wiecznego. Pewnie dlatego Paweł w adresie listu nazywa Tytusa swoim „własnym dzieckiem" (grec. *gnesios teknon*). Nie uczniem, nie naśladowcą, nie następcą, nie współpracownikiem... tylko dzieckiem. Prawdziwie zrodzonym – prawym synem. Tu tkwi istota sprawy: Kerygmat jest przekazem życia. Ogłasza nadzieję, już dostępną – w zalążku wypełnioną i ofiarowaną człowiekowi jak ziarno, które będzie w nim rosło – jak kwas, który ostatecznie wszystko w nim zakwasi.

Kiedy ostatnio ogłaszaliśmy chrześcijaństwo jako nadzieję? Kiedy ostatnio wierni uczestniczący w sprawowanej przez nas Eucharystii wyszli z niej z nadzieją i radością wypisanymi na twarzach? Kiedy ostatnio słyszeliśmy Kerygmat? Kiedy ostatnio zmierzyliśmy się z Nim jako aktualnym i mocnym Wydarzeniem?

Franciszek w adhortacji „Evangelii gaudium" podkreśla, że Kerygmat jest pierwszy. Nie jednokrotnie pierwszy – czyli usłyszany na początku naszego świadomego życia z Bogiem objawionym w Jezusie Chrystusie. Zawsze pierwszy. Aktualnie pierwszy.

Wybierasz szkołę albo studia – potrzebujesz Kerygmatu (nie tego, który usłyszałeś 5 lat temu, ale właśnie teraz ogłoszonego). Szukasz pracy albo ją zmieniasz? Poznałeś kogoś, z kim chcesz zbudować wyjątkową relację – kto wie, może małżeństwo, a potem rodzinę? Potrzebujesz Kerygmatu. Bo inaczej na czym zbudujesz tę najważniejszą w twoim życiu rzeczywistość? Idziesz do seminarium? Przyjmujesz święcenia? Dostałeś skierowanie do nowej parafii? Zostałeś proboszczem? Biskupem? Potrzebujesz Kerygmatu. Inaczej wszystko to, co zbudujesz – nawet najbardziej niesłychanym wysiłkiem i pracą – nie będzie Kościołem.

Pięć lat mija od ogłoszenia „Evangelii gaudium". Od napisania Listu do Tytusa – dobrze ponad dziewiętnaście wieków. Czy pierwsze jest pierwsze? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 VII)

16. niedziela zwykła: Rdz 18, 1-10a; Ps 15; Kol 1, 24-28; Łk 10, 38-42;
Poniedziałek: Pnp 8, 6-7; Ps 63; J 20, 1. 11-18;
Wtorek: Ga 2, 19-20; Ps 34; J 15, 1-8;
Środa: Wj 16, 1-5. 9-15; Ps 78; Mt 13, 1-9;
Czwartek: 2 Kor 4, 7-15; Ps 126; Mt 20, 20-28;
Piątek: Wj 20, 1-17; Ps 19; Mt 13, 18-23;
Sobota: Wj 24, 3-8; Ps 50; Mt 13, 24-30;
17. niedziela zwykła: Rdz 18, 20-32; Ps 138; Kol 2, 12-14; Łk 11, 1-13.

ILUZJE RZĄDZENIA

Obserwujemy kryzys oczekiwań względem demokracji. W szczególności co do tego, że sprzyja ona wybieraniu ludzi chcących wspólnego dobra.

PAWEŁ BRAVO

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Niewiarygodne, że do wyborów pozostało sto dni, a opozycja jest w stanie organizacyjnej i programowej destrukcji" – pisał na tych łamach tydzień temu Andrzej Stankiewicz. Od tamtej pory presja uciekającego czasu powinna była zadziałać motywująco, ale diagnozę można w całości powtórzyć, odejmując tylko siedem dni. Kiedy piszę te słowa, trwa wielkie forum programowe Koalicji Obywatelskiej – im bardziej impreza stara się być demonstracją koncepcyjnej spójności i woli walki, tym bardziej skrzeczy kontrast z faktycznym rozbiciem, rozmydleniem przekazu i sztucznością kategorycznych deklaracji na pokaz.

Grzegorz Schetyna zapewniał, inaugurując forum, że „naszym zadaniem jest godzenie Polaków i tworzenie prawdziwej wspólnoty. Nawet osoby z politycznych biegunów, jak Kazimierz Ujazdowski i Barbara Nowacka, znajdą wspólny język, żeby budować nową Polskę". Ale zaraz potem musi przyznać, że decyzja, z kim jego Platforma – jakby kto zapomniał: niekwestionowany hegemon opozycji – utworzy koalicję, zostaje odłożona do środy. Co w konsekwencji zawiesza na kolejne kilka dni kluczowe decyzje innych opozycyjnych graczy, którzy w razie nieprzyjęcia do tej „prawdziwej wspólnoty" muszą szybko poszukać alternatywnych układów.

Gra na przegraną

Niemal w tej samej godzinie PiS zapowiada na następny dzień ogłoszenie kompletu „jedynek" na listach we wszystkich okręgach. To krok perfekcyjnie wyliczony w czasie, bo pozwoli skutecznie przykryć w medialnym szumie ważne zdarzenia podczas opozycyjnego kiermaszu idei (o ile ktoś na takie liczył). Ale przede wszystkim dowód, że cała wewnętrzna walka o te nominacje, samo sedno politycznej jatki, najważniejszy ze wszystkich – a więc najbrutalniejszy – fragment gry partyjnych frakcji i liderów, już się w łonie partii rządzącej odbyły. Po cichu, sprawnie, bez zbytniego wynoszenia na zewnątrz brudów i manipulacji przeciekami, którymi tak lubią karmić się media obsługujące niszową grupę miłośników owej swoistej politycznej pornografii.

Tym razem nie mieli wiele rozrywki. Prezes dopilnował, żeby jego baronowie i wasale gryźli się dyskretnie w ścianach budynku przy Nowogrodzkiej, po czym wyważył siły, narzucił decyzje, godząc rozmaite sprzeczne ambicje, mając na względzie strategię pozyskiwania kolejnych segmentów elektoratu i regionów, w których PiS lokuje swoje nadzieje na umocnienie bazy wyborczej (na przykład Śląsk – wyznaczony jako teren do podbicia Mateuszowi Morawieckiemu).

Tymczasem po drugiej stronie pożywki dla miłośników roztrząsania przedwyborczych przymiarek było do woli. Uczestnicy zaś spektaklu pod tytułem „Na niczym nam nie zależy tak bardzo, jak żeby wspólnie odsunąć PiS od władzy" nie krępowali się rozniecać płomieni spekulacji. W kolejnych wersjach powracały wywody, że PSL-owi przeszkadza ewentualny wspólny start z lewicą (tak jakby sama Platforma nie miała w swojej czołówce postaci drażniących tradycjonalistów, np. Rafała Trzaskowskiego), ale boi się, że samodzielnie nie przeskoczy progu, więc próbuje wymusić na Platformie wyproszenie SLD i niedopraszanie masy upadłościowej po Wiośnie. Albo mnożyły się domysły, czy Robertowi Biedroniowi już całkiem wywietrzały z głowy ambicje rozbijania duopolu, czy jednak spróbuje zagrać wspólnie z Czarzastym i Zandbergiem o te kilkanaście procent wyborców, którzy z kolei nie ścierpieliby głosowania na koalicję bardziej „polską" niż „obywatelską".

Wszystko to nabrało w pewnym momencie takiej jałowości, zwłaszcza w kontekście sprawnie ruszającego z kampanią PiS-u, że w końcu, w odruchu obronnym, rozum zaczął podsuwać podejrzenia, czy

Politycy KO na Podlasiu. Od lewej: Grzegorz Schetyna, Barbara Nowacka i Robert Tyszkiewicz na bazarze w Białymstoku, 6 lipca 2019 r.

aby za zasłoną pozorów szukania najlepszej formuły na wygraną nie kryje się oportunizm polityków, przekonanych, że wybory są i tak już przegrane. I że liczy się już tylko to, na kogo da się zrzucić winę, i w jakim towarzystwie najlepiej będzie przetrwać kolejne cztery lata bez władzy.

Zbyt proste liczydła

Niezależnie od końcowych ustaleń i kształtu wyborczych propozycji można z pewnością skonstatować, że klęskę ponosi formuła prostego anty-PiS-u, która pozwalała nie tylko dyscyplinować tzw. symetrystów, ale w ogóle ucinać dyskusje nad różnymi niebłahymi sprawami w imię hasła „Najpierw wygramy, potem się zaczniemy spierać". Pozornie tylko argumentem na obronę tej formuły jest fakt, że PiS zbiera właśnie premię za swój wodzowski charakter, gdy tymczasem pospolite ruszenie demokratów jest rozdyskutowane z natury i cały proces decyzyjny z tejże natury musi przemęczyć jawnie i żmudnie. Pozornie – wszak podstawową racją stojącą za zakazem akcentowania różnic poglądów i brakiem pluralizmu w anty-PiS-ie była rzekoma zdolność drugiego wodza – czyli Schetyny – do sprawnego osiągnięcia wygranej. Być może w DNA Platformy, tak długo prowadzonej przez Donalda Tuska przy użyciu środków bezwzględnych, ale zawsze dyskretnych, jest jakiś rodzaj niezdolności do przekształcenia się w zaciężne wojsko. Być może skłóceni i niegdyś bardzo butni wasale Kaczyńskiego mają lepiej wdrukowaną lekcję pokory, której partnerzy Schetyny przez krótkie cztery lata spędzone z dala od fruktów władzy jeszcze nie odrobili.

Mniejsza o to. Szukanie winnego i zewnętrznych przyczyn porażki zostawmy na czas, kiedy ta porażka ewentualnie nadejdzie – co wcale przecież nie jest przesądzone, pomimo dość apokaliptycznego tonu, w jakim część zaplecza opozycji próbuje mobilizować wyborców. Majowe szybkie zyski PiS-u niekoniecznie muszą oznaczać, że w równym stopniu wzrośnie jego poparcie w październiku, kiedy – wedle wszelkich rozsądnych symulacji – do urn pójdzie znacznie więcej wyborców. Próby racjonalnego uzasadnienia kolejnych wariantów koalicji pozostawiają nieodparte wrażenie, jakby politycy albo ich medialni suflerzy dysponowali kalkulatorem wyposażonym wyłącznie w funkcję dodawania. Co prawda powtarzają oni mantrę, że w wyborach czasami dwa plus dwa daje trzy albo pięć – czyli że elektoratów nie da się dowolnie przesypywać jak kartofli między pryzmami – ale niewiele wskazuje na to, żeby w to naprawdę wierzyli.

A tymczasem, kiedy się porzuci proste liczydła na rzecz narzędzi nieco bliższych rzeczywistości społecznej, wtedy okaże się, że na większość pytań o skuteczność ↦

strategii partyjnych odpowiedź brzmi: trudno powiedzieć. I nie jest to wiedza tajemna. Na tych choćby łamach Jarosław Flis nieraz dowodził, jak plastyczne i zmienne są przepływy między partiami, i jak wiele się na to składa czynników. Na przykład grubym uproszczeniem jest twierdzenie, że PiS w maju po prostu „zjadł" poparcie PSL-owi na wsi. Choć faktycznie notował znaczną zwyżkę w okręgach, gdzie w kilku poprzednich wyborach PSL był zazwyczaj mocny, to jeszcze nie znaczy, że to ci sami ludzie przepłynęli od jednej partii do drugiej. Jeśli więc PSL zdecyduje się iść do wyborów samodzielnie, to nie oznacza jeszcze, że będzie walczył o te same 4,5 proc. ludzi, którzy zagłosowali nań w maju.

A tym większą zagadką jest całkiem spora grupa obrotowych wyborców ugrupowań centrowych.

Bitwa o miejsca siedzące

W tej chwili sfrustrowany wyborca opozycji ma szansę doświadczyć zbawiennego procesu oczyszczenia z paru złudzeń, bez względu na to, jaki kształt przyjmą w nadchodzących dniach listy ubiegających się o jego głos. Zapatrzenie polityków w mechanicznie sumowane elektoraty i powtarzanie jak groźnego zaklęcia słowa „D'Hondt" – czyli nazwiska twórcy systemu podziału mandatów premiującego dużych graczy – skłania do przyjęcia pewnej prostej prawdy: tak, Schetynie, Kosiniakowi-Kamyszowi czy Czarzastemu chodzi dokładnie o to, jak stworzyć wehikuł, który pozwoli dojechać do Sejmu z największą liczbą mandatów przy poparciu, którego każdy się spodziewa. I jak w tym wehikule zająć odpowiednią liczbę miejsc siedzących. Jak dając mniej, dostać więcej. Zaklepać dość, żeby zaspokoić minimum kadrowych potrzeb partii. I ewidentnie są w tym znacznie sprawniejsi niż w szukaniu sposobów dotarcia do demosu, który nie chce reagować entuzjazmem proporcjonalnym do poczucia racji, czy wręcz dziejowej konieczności, jaka emanuje z ich retoryki.

Nie chodzi im o rozszerzenie puli wyborców za pomocą nowej, niezużytej jeszcze perswazji, skoro dotychczas stosowana nie zapewnia wygodnej przewagi. Tylko o to, by zadowalając się tym, co jest, ugrać najwięcej stanowisk, przy utrzymaniu zasady ograniczonego zaufania wobec sojuszników. Czy raczej partnerów z musu – trudno czasem powiedzieć, czy ci politycy mniej ufają społeczeństwu (bo kupione i ogłupione), czy kolegom z rzekomo pokrewnej partii.

> Z perspektywy problemów Europy czy globalnego ocieplenia **naszym dzieciom nie czyni różnicy**, czy się Kosiniak-Kamysz dogada ze Schetyną, czy zostawią władzę Kaczyńskiemu.

Czy to nie jest wymowny objaw kryzysu demokracji? Byłby to wtedy fragment szerszego, ogólnoeuropejskiego zjawiska. Bo w Europie problemem – dla tych, którzy są przywiązani do liberalnego *status quo* ostatnich 70 lat – jest nie tyle ożywienie partii zwanych populistycznymi, ile właśnie uwiąd koncepcyjny i rozmijanie się ze społecznymi nastrojami przez partie, które dotychczas były zdolne do zarządzania epoką dobrobytu, a przy tym radziły sobie z takimi antysystemowymi zagrożeniami, jak choćby terroryzm polityczny.

Ale może to objaw innego kryzysu: kryzysu ideowej otoczki demokracji, moment pęknięcia inflacyjnej bańki oczekiwań względem korzyści, jakie demokracja nam zapewnia. W szczególności co do tego, że sprzyja ona wybieraniu ludzi nastawionych na rządzenie dla wspólnego dobra.

Makijaż demokracji

Frustracji w obliczu tego, że politycy, na których ewentualnie można by głosować, nie są dość szlachetni, dość skupieni na poszukiwaniu rozwiązań godzących rozliczne społeczne interesy, dość bezinteresowni, nie uśmierzy czekanie na polityków lepszych. Na przykład z nowego pokolenia – bo jeśli ktoś dziś rzeczywiście takie nowe pokolenie hoduje i szykuje do przyszłej władzy, to robi to raczej PiS. Frustrację tę uśmierzyć może natomiast powrót do prawdy, że demokracja co najwyżej zapewnia nam ochronę przed politykami jeszcze gorszymi.

W wydanej niedawno prowokującej książce pt. „O demokracji w Polsce" Robert Krasowski próbuje dowieść, że od pierwszych chwil, kiedy w Polsce zaczęła się toczyć prawdziwa polityka, była ona poddana odwiecznym (tak sądzi autor) zasadom: „Polacy sądzili, że po 1989 roku polityka ulegnie zasadniczej zmianie, że nigdy już nie zobaczą ataku wściekłości Gomułki. Zobaczyli dużo więcej. Osobiste wendety, dokonywane ostentacyjnie na oczach społeczeństwa. Zaciekłe wojny prywatne. Wściekłe niszczenie instytucji państwa. Rekordy bił Jarosław Kaczyński, ale nie był jedyny. Okrucieństwo Tuska czy brutalność Wałęsy szybowały na poziomie dzikości Kaczyńskiego. Opinia publiczna buntowała się przeciw tym praktykom. I do dziś się buntuje, widząc w nich aberracje. Ale to nie były aberracje, to nie były naruszenia praktyki, zaskakujące swoją nienormalnością. Tak właśnie wyglądała norma, tak wyglądała natura polskiej polityki. I nie tylko polskiej, i nie tylko dzisiaj. Lubimy myśleć, że dzisiejsza polityka pożegnała się z tą dzikością, jaką znamy z opisów Machiavellego. (...) Jednak patrząc na dzisiejszą demokrację, Machiavelli powiedziałby, że stłumione w jednym miejscu okrucieństwo musiało wypłynąć gdzie indziej".

Tym, co czyni szkic Krasowskiego atrakcyjnym – szczególnie w stanie uwiądu tradycyjnej (o ile 30 lat to już tradycja) liberalnej polskiej polityki – nie jest typowa dla tego autora, aż nazbyt widoczna fascynacja czasami, kiedy politycy mordowali się nie tylko symbolicznie. Uzupełnia on swój wywód o trudną do obalenia diagnozę, że dodatkowym elementem „makijażu demokracji" jest starannie pielęgnowana iluzja, iż politycy istotnie zajmują się rządzeniem, czyli odciskaniem piętna na rzeczywistości. Tymczasem codzienna sprawność państwa zatrzymuje się na poziomie jego administracji, którą cechuje długie trwanie niezależne od konkretnych rządzących. A od tych ostatnich zależy niewiele – nie tylko dlatego, że od dalekosiężnych działań odciągają ich apetyty własnej partii i kaprysy nic nierozumiejącego demosu. Przede wszystkim z powodu coraz większego „usieciowienia", presji zjawisk zbyt skomplikowanych, żeby można było rościć sobie ambicje wpływania na nie.

W przypadku dzisiejszej Polski zjawiskami tymi są choćby wielkie problemy europejskie. Słusznie powiada się, że PiS dobrowolnie zrobił z siebie oślą ławkę unijnych graczy. Ale ciężko powiedzieć,

czym innym miałoby być „wpływanie” na kształt Unii przez Platformę, jeśli pominąć większą skuteczność w zapewnianiu swoim politykom stanowisk.

Jeszcze większą nieistotność polityków widać wobec wyzwań klimatycznych. Wsłuchując się w ekspertów, nawet tych ostrożniejszych, trudno uniknąć przykrego wniosku, że w tej kwestii demokracja akurat przeszkadza skutecznym i szybkim rozwiązaniom. Powstrzymaniem niszczenia planety lepiej by się zajął oświecony despotyzm. Za dużo ważnych interesów jest tu do naruszenia, żeby władza zależna od cyklicznych wyborów była zdolna wprowadzić dość szybkie i radykalne kroki. Z tego punktu widzenia naszym dzieciom nie czyni żadnej różnicy, czy się ostatecznie Kosiniak-Kamysz dogada ze Schetyną, czy oddadzą walkowerem drugą kadencję Kaczyńskiemu.

Róbmy swoje

„Co mieszkaniec demokracji powinien robić. Czy ma głosować? Czy ma się angażować? Czy stać bezczynnie?” – pyta na zakończenie swoich wywodów Krasowski. „Odpowiedź jest prosta. Może robić, co chce. (...) Nic to nie zmieni. Nie można racjonalnie zachować się wobec polityki. Ani wobec tej małej, partyjnej, bieżącej. Ani wobec tej wielkiej, zwanej historią. Za mało rozumiemy, za mało potrafimy, za mały mamy wpływ. I – przede wszystkim – za mało ważnych rzeczy w polityce się dzieje. Polem sensownego wysiłku jednostek oraz społeczeństw pozostaje ich własna aktywność, a nie wgapianie się w aktywność kilku osób w stolicy”.

Jest w tym efektowna przesada. Krasowskiemu trudno byłoby dziś udowodnić, że działania obecnej władzy naprawdę nie mają wpływu na aktywność jednostek, czyli na przysłowiowe „róbmy swoje”. Otóż rzeczywiste posunięcia, ale także słowa rządzących – bo w polityce słowa, atmosfera, rozhuśtane emocje budują czasem mury grubsze niż te z betonu – są w stanie skutecznie uczynić życie poddanych mniej lub bardziej znośnym. Niemniej, skoro trzon obecnej opozycji jest przede wszystkim zajęty sobą, a nie swoimi potencjalnymi wyborcami, to owi wyborcy mogą przynajmniej na razie pozostawić ich w namiotach na placu Defilad i od nich odpocząć.

A co potem? Trudno powiedzieć.

©℗ PAWEŁ BRAVO

Sto siedemdziesiąt pięć szans

MARCIN CHODUŃ

Młode matki w placówkach rozdzielone z dziećmi? Młodzież w kryzysie bezdomności? Na warszawskim Powiślu pracuje grupa ludzi, która stara się poprawić ich los.

Wózek jeszcze nie wybrany, ale Emilka, drobna, 17-letnia blondynka, podopieczna jednego z warszawskich Młodzieżowych Ośrodków Wychowawczych, jest już pewna: będzie duży i głęboki, żeby dziecko miało wygodnie. Iwan, jej przyszły mąż, ciągle wysyła esemesy ze zdjęciami wózków z internetu. Gdy Emilka o tym mówi, śmieją się jej oczy. Widać, że nie może się już doczekać swojego przyszłego życia: ślub zaplanowany na październik, dziecko ma się urodzić miesiąc wcześniej.

Jedno Emilkę jednak martwi: jest bardzo prawdopodobne, że gdy już urodzi i weźmie ślub, będzie musiała wrócić do placówki resocjalizacyjnej. I to bez dziecka.

Listy

Problem rozdzielania nieletnich matek przebywających w placówkach opiekuńczo-wychowawczych i resocjalizacyjnych z ich dziećmi zauważyła kilka lat temu Agnieszka Sikora, prezeska fundacji Po Drugie. – To oczywiście jest trudne, gdy nieletnia zachodzi w ciążę – tłumaczy. – Ale gdy tak się już stało, to mleko się rozlało i rolą dorosłych jest zrobić wszystko, by ta dziewczyna i dziecko byli razem, i żeby matka otrzymała wsparcie w małżeństwie.

Jest rok 2012. Agnieszka jedzie do Cerekwicy Nowej do miejscowego Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego. I pośród licznych podopiecznych spotyka dziewczęta, które są matkami i nie mają przy sobie swoich dzieci. Myśli: „Jak to w ogóle możliwe, że dzieje się tak tylko z powodu przebywania w takiej, a nie innej placówce?”.

Były tam różne dziewczyny. Jedna miała dziecko w rodzinie zastępczej oddalonej 500 kilometrów od ośrodka – dziewczyna bez rodziny, bez środków finansowych, czyli bez możliwości odwiedzania dziecka. Inna kontaktowała się ze swoim synkiem, który miał niewiele ponad rok, przez Skype’a. Były tam również dziewczyny w ciąży, które bały się, co się stanie z dziećmi, gdy urodzą. Agnieszka pamięta, że poznała też dziewczynę, której odebrano dziecko w szpitalu zaraz po porodzie. Była z domu dziecka, miała skierowanie do MOW-u. Bez swojego dziecka przyjechała do placówki z piersiami pełnymi mleka, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego tak się stało. – Pomyślałam: „Matko święta, decydenci widocznie pominęli ten problem, tworząc przepisy. Nie zrobili tego zapewne w złej wierze, więc napiszemy list do ministerstwa i to zostanie natychmiast zmienione”. Otrzymaliśmy pierwsze odpowiedzi: że tych dziewcząt jest mało, że one są niepełnoletnie i nie mogą być prawnymi opiekunkami. Postawiliśmy sobie cel: stworzyć rozwiązania, które pozwolą im mieć dzieci przy sobie.

Misja

Kilka pokoi, długi korytarz, niewielka kuchnia – aż trudno uwierzyć, że na tak małej powierzchni fundacja Po Drugie na warszawskim Powiślu opiekuje się grupką około 40 osób. – Jakoś sobie radzimy – śmieje się Agnieszka. – Nawet nasza mała kuchenka daje radę. Od nas nikt nie może wyjść głodny.

Agnieszka – z zawodu dziennikarka, w sercu od zawsze społecznica. W latach 90. na drugim roku studiów ↦

dziennikarskich zaczyna pracę w warszawskiej rozgłośni Radio dla Ciebie. Tematy audycji: sprawy społeczne. To ją interesuje najbardziej. Wspólnie z Markiem Kotańskim robi cykl audycji o placówkach Monaru; Marek wozi ją po całym kraju. Potem jest praca w TVN 24, następnie – w TVN-owskiej „Uwadze". W 2011 r. robi dla Polsatu cykl dokumentalny „Dziewczęta z Falenicy" – o młodzieży z zakładu poprawczego. Zaczyna czuć powołanie do nowej misji. Postanawia założyć fundację.

Na początku, przez dwa-trzy lata, godzi dziennikarstwo z fundacją. Potem decyduje, że całą energię włoży w działalność społeczną. Dziś nie wyobraża sobie, by mogła robić coś innego.

Agnieszka: – Oprócz działań na rzecz poprawy sytuacji nieletnich matek rozdzielonych z dziećmi, na co dzień pracujemy głównie z ludźmi w wieku od 18. do 26. roku życia, jeżdżąc po domach dziecka, placówkach resocjalizacyjnych: młodzieżowych ośrodkach wychowawczych, zakładach poprawczych, ale także zakładach karnych i aresztach śledczych. A najczęściej pracujemy z osobami w kryzysie bezdomności. Pomagamy im się usamodzielnić. Czyli wyjść na życiową prostą. Wśród naszych podopiecznych są również młode, ale pełnoletnie matki, też najczęściej bezdomne i po pobytach w różnych instytucjach, którym z rozmaitych powodów odebrano dzieci. Pomagamy im je odzyskać.

To nie Bahamy

Podopieczni fundacji mają do dyspozycji terapeutę uzależnień oraz psychologa. – Praktycznie nie ma osoby, która nie korzystałaby z jednej z tych form pomocy – mówi Agnieszka. – Raz w tygodniu jest też grupa wsparcia. I co bardzo cenne, zapewniamy pomoc prawną. Mamy zaprzyjaźnioną kancelarię, która usługi świadczy dla nas nieodpłatnie.

Fundacja prowadzi dla swoich podopiecznych zajęcia artystyczne z rysunku i warsztaty teatralne realizowane we współpracy z dwiema zawodowymi aktorkami. Podopieczni jeżdżą też od czasu do czasu poskakać na trampolinie, do Centrum Nauki Kopernik, do teatru. – Staramy się im pokazać ten fajny świat, którego najczęściej nie znają – tłumaczy Agnieszka.

Młodym dorosłym, którzy są już na ścieżce usamodzielniania się, fundacja zapewnia ponadto możliwość zamieszkania w mieszkaniach treningowych. – Mamy trzy tego rodzaju lokale z dziesięcioma miejscami, które wynajmujemy na wolnym rynku ze środków z budżetu Warszawy – mówi Agnieszka. – Jak ktoś u nas mieszka, musi przestrzegać trzech podstawowych zasad. Musi być trzeźwy. Musi być z nami w stałym kontakcie. I najważniejsze: musi pracować. Nie oznacza to tylko pracy zawodowej, ale też działania na rzecz poprawy swojej sytuacji. U jednych będzie to terapia uzależnień, u innych systematyczne chodzenie do szkoły. U nas nikt nie leży. To nie są Bahamy.

Dziś w fundacji prawie sami chłopcy. Siedzą przy dużym stole, rysują. Temat: Budda. – Chciałem pokazać im coś spokojnego – wyjaśnia pomysłodawca zajęć, Krzysztof Linnike, antropolog.

Tak, spokój chłopakom się przyda. Wszyscy życiowo mocno zagubieni: alkohol, narkotyki, długi. Wszyscy – bez domu.

Mistrzostwo świata

– Nasza fundacja pracuje z osobami pochodzącymi z rodzin, gdzie nie ma zabezpieczenia podstawowych potrzeb, a czasem nie ma co jeść – zaznacza Agnieszka. – Ale nie ma też miłości, ojciec pije albo jest w więzieniu, a matka ma już piętnastego partnera i każde dziecko z innym mężczyzną. Kiedy oni do nas przychodzą, to są bardzo pokrzywdzeni: bardzo często mają już sprawy karne, są uzależnieni od narkotyków i alkoholu. Zawsze mówię, że ci, którzy z tego wychodzą, są mistrzami świata, bo to jest bardzo, bardzo trudne.

Choćby Antek. 20 lat, z Ostrowi Mazowieckiej. Ojca w sumie nigdy nie było, mama zmarła kilka lat temu. Owszem, są babcia i dziadek, ale dziadek pije, a nawet jak jest trzeźwy, to mieszkać się z nim nie da. Więc Antek trafia na spontanie do Warszawy, zaczynają się narkotyki. Śpi głównie w noclegowniach.

Albo Franio. Z Konstancina, 23 lata. Bezdomny od trzech. Dlaczego? Cóż, nie mógł się Franio za nic dogadać ze swoimi rodzicami. Bo on np. od małego interesował się zoologią, a dla rodziców – zwłaszcza dla jego ojca – to było „pedalskie" hobby. Złapał się za alkohol, narkotyki. Zostawił dom, przez rok mieszkał w lesie. Potem trafił do Warszawy. Kradzieże, wyroki, więzienie.

Albo Hania, 23 lata. Warszawska Białołęka, mieszkanie treningowe w wieżowcu, pierwsze piętro. Hania najchętniej o swoim życiu by już nie rozmawiała. Dzieciństwo? Co tu mówić – miała ledwie sześć lat, gdy samochód zabił jej mamę; wracała akurat zachlana od koleżanki. Po jej śmierci była niby pod opieką babci, ale ona też piła, więc Hania żyła bardziej na ulicy niż w domu. Wcześnie pojawiły się alkohol i narkotyki. Pobyty w MOW-ach. Jednym, drugim, trzecim. Jak stała się pełnoletnia, zaczęła pracować na ochronie w ZUS-ie. Tam poznała męża. Pierwsza randka i ciąża. Mąż zbił ją pierwszy raz po jakichś dwóch miesiącach. Potem bił prawie codziennie. Bała się tego bicia, podobnie jak jej dwuipółletnia córeczka, dlatego uciekły. Hania przed sądem przyznała się, że jest uzależniona od narkotyków, więc odebrano jej prawa rodzicielskie. Poszła na detoks. Przeszła terapię. Wniosła o rozwód i przywrócenie jej praw. Rozprawa wkrótce.

Na prostej

– W jaki sposób fundacja pomaga dziewczynom, takim jak Hania, odzyskać dzieci?

– Najpierw musimy taką dziewczynę zdiagnozować, poznać przyczyny, dla których została z dzieckiem rozdzielona – mówi Agnieszka. – Nakłaniamy ją, by podjęła współpracę z asystentem rodziny. Dbamy, żeby miała kontakt z dzieckiem. Wspieramy ją w podejmowaniu pracy, w budowaniu niezależności finansowej i w uczestniczeniu w terapii. Mówiąc w skrócie, pracujemy, żeby była gotowa zająć się dzieckiem.

– Jak Hania sobie radzi?

– Wykonuje kawał pracy, czasami jej to lepiej wychodzi, czasami gorzej. Ale od początku bardzo się stara, żeby coś ze sobą zrobić pozytywnego. Najważniejsze, że na razie jest trzeźwa. Jeździ do córki, podjęła pracę. Przychodzi też raz w tygodniu do fundacji na spotkanie z psychoterapeutą. Ale czy odzyska tę małą, a jeśli tak, to kiedy – trudno powiedzieć.

Zdaniem Agnieszki możliwość przebywania dziewcząt z dziećmi w mieszkaniach treningowych jest dla nich drogą do lepszego macierzyństwa. Choć nie dla wszystkich. – Zdarzyło się nam w przeszłości – wspomina – że jedna z naszych podopiecznych dzięki naszej pomocy odzyskała dziecko, przebywała z nim w mieszkaniu treningowym i to nie wy-

MARCIN CHODUŃ

Agnieszka Sikora z podopiecznymi fundacji.

szło. Nie dlatego, że ona tego dziecka nie kochała. Była po prostu zupełnie niedojrzała. I nie było wyjścia: musieliśmy ją usunąć z mieszkania. Pisałam pismo do sądu o wgląd w tę sprawę i przez cały czas płakałam.

– A przykłady wyjścia na prostą?

– Jest coraz więcej młodzieży, której się udało. Akurat teraz z mieszkania wyprowadza się jeden z chłopaków. Razem z kolegą podpisał umowę najmu mieszkania. A jest to chłopak, który na początku tylko nas oszukiwał: zawsze miał milion wymówek, żeby nie pracować. Aż w końcu zagroziliśmy mu wystawieniem za drzwi i wtedy się obudził. Poszedł do pracy, utrzymuje ją. Przychodzi regularnie na terapię uzależnień. Jest na dobrej drodze.

Rodzinne rozwiązanie

– O problemie zaczęliśmy mówić na różnych forach i seminariach – wylicza Agnieszka, pytana o sukcesy w walce o lepszy los nieletnich matek. – Na stronie fundacji można znaleźć raport dotyczący nieletniego macierzyństwa, który opracowałam wspólnie z kilkoma naukowcami pod redakcją prof. Marka Konopczyńskiego. Nasz wkład w zmianę myślenia o tym zjawisku jest olbrzymi.

Na skutek długoletnich działań fundacji udało się zmienić zapisy w ustawie o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej – została w niej stworzona możliwość przebywania matek z dziećmi w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. – Ostatnio opracowaliśmy projekt zmian ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich. Nowelizacja dopuszcza także możliwość przebywania matek z dziećmi w zakładach resocjalizacyjnych. Mam nadzieję, że sprawa znajdzie pomyślny finał.

Ostatnim zamierzeniem fundacji jest budowa domu dla sześciu nieletnich matek przebywających w placówkach opiekuńczo-wychowawczych i resocjalizacyjnych. Chodzi o to, by tworzyć miejsca bardziej rodzinne, a mniej instytucjonalne. Projekt będzie realizowany przy wsparciu duńskiej fundacji Velux. Do takiego domu mogłaby trafić Emilka.

Wspomniany już MOW na obrzeżach Warszawy. Emilka, mimo że trochę speszona, to jednak wyraźnie radosna. Właśnie wróciła od lekarza: z dzieckiem wszystko w porządku.

– A co się stanie z Emilką?

Wicedyrektor placówki (nie chce ujawniać nazwiska) tłumaczy, że wystąpił już do sądu z wnioskiem o zwolnienie jej do domu. Po urodzeniu dziecka sąd najpewniej wyznaczy mamę Emilki na opiekuna prawnego. Sąd też zdecyduje, czy Emilka zostanie w domu do pełnoletności, czy wróci do placówki, a dziecko zostanie u jej mamy.

Zdaniem Agnieszki Sikory powrót z powodu ciąży nieletnich dziewcząt przebywających w placówkach resocjalizacyjnych do domu rodzinnego zazwyczaj nie jest fortunnym rozwiązaniem. – Przecież środowisko rodzinne jest bardzo często przyczyną, dla której one trafiły do placówki – mówi. – Dlatego tak ważne jest wybudowanie tego domu.

Pytam Agnieszkę, skąd nazwa fundacji. – Chodzi o drugą szansę w życiu – odpowiada. – Choć tak naprawdę to powinniśmy się nazywać „Po Sto Siedemdziesiąte Piąte", bo tych szans jest znacznie więcej.

© MARCIN CHODUŃ

Albo przyroda, albo asfalt

MARIAN STÓJ, ORNITOLOG, BYŁY DYREKTOR MAGURSKIEGO PARKU NARODOWEGO:

Miejscowi się skarżą, że dla parku narodowego się nie liczą. Ale od pomagania im są inne instytucje.

ADAM ROBIŃSKI: Co widać z gniazda orła przedniego?

MARIAN STÓJ: Rozległe, piękne tereny. Z gniazda orlika krzykliwego trochę mniej. Jedne i drugie zakładają gniazda na starych drzewach, ale orlik niżej, zwykle w połowie korony. A orzeł przedni tylko kilka metrów poniżej wierzchołka, na potężniejszych drzewach, nawet ponad trzydzieści metrów nad ziemią. Orłów mamy w Polsce raptem 35 par. Orlików ponad dwa i pół tysiąca.

Po co człowiek wchodzi tak wysoko?

Prowadzę monitoring populacji lęgowej orła przedniego w polskich Karpatach dla Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska, a przy okazji obrączkuję młode na gniazdach. W tym roku z pomocą młodszego kolegi z Magurskiego Parku Narodowego zaobrączkowaliśmy dziewięć młodych orłów. Dziesiąty odchowuje się w Tatrach. Nie jest zaobrączkowany, bo na strome zbocza skalne nie wchodzimy. Kiedy gniazdo jest na trudniejszym do wyjścia drzewie, wykorzystuję kolegę ze sprzętem wspinaczkowym. Bo ja nie używam żadnego sprzętu.

Nawet kolców na buty?

Nic nie biorę. Ale nie na wszystkie drzewa da się wejść bez sprzętu. Czasem muszę przejść z jednego drzewa na drugie, zanim wejdę na właściwe. Ale jeśli na dole nie ma sęków, po których mogę się wspiąć, rezygnuję i wysyłam kolegę. On ma kolce i liny.

Orłom podobają się takie wizyty?

Różnie. Na ogół nie reagują, tylko oddalają się. Ale są takie dwie pary, które próbują mnie strącić z drzewa. Pikują na mnie i podrywają się dopiero tuż nad głową. Wie pan, orzeł potrafi unieść w szponach sarnę, a ja przecież nie jestem mocnej postury. Stres jest dość duży. Ale na szczęście większość ptaków nijak nie reaguje. Zresztą na ogół nie ma ich przy gniazdach.

Jak to?

Rzadko przylatują do młodych, pojawiają się zwykle wtedy, gdy upolują jakąś ofiarę. A ja robię to szybko, dwadzieścia minut i jest po sprawie. No więc obrączkuję ptaki, naprawiam gniazda, sprawdzam efektywność lęgów. Jestem z tych okolic, na drzewa wspinam się od dziecka, ptaki obrączkuję od połowy lat 80. Kiedy w 1993 r. reaktywowano Komitet Ochrony Orłów, te działania się zintensyfikowały. A kiedy zaraz potem powstawał Magurski Park Narodowy, do dokumentacji projektowej włączono moje opracowanie dotyczące ptaków na tym terenie.

W jakich okolicznościach powoływano do życia w 1995 r. MPN?

To była w dużej mierze inicjatywa ówczesnego wojewódzkiego konserwatora przyrody, Jana Szafrańskiego, pierwszego dyrektora. Ministerstwo Środowiska podpisało porozumienie z mieszkańcami gminy Krempna, którym obiecano, że na pewno nie zabraknie dla nich drewna, że ciągle będą mogli korzystać z lasu i będą mieć pierwszeństwo przy zatrudnieniu. Nadleśnictwo Żmigród, które obejmowało tereny Krempnej, przekształciło się w struktury parku narodowego wraz z jego pracownikami.

Minęły 24 lata. Co się zmieniło?

Przyroda na pewno zyskała. Zwłaszcza drzewostany. Wciąż się pozyskuje drewno, ale przede wszystkim na terenach porolnych, gdzie wcześniej prowadzono sztuczne nasadzenia. Trwa tam tzw. przebudowa drzewostanów. To około jednej piątej powierzchni Parku. Ale poza tym widać, że las się starzeje. Nabrał puszczańskiego charakteru.

A zwierzęta?

Zwierzyna też ma się lepiej, chociaż nie do końca, bo Park jest obstawiony ambonami myśliwskimi. Od zewnątrz i od środka, bo w jego otulinie wewnętrznej znajduje się pięć wsi. Zwierzęta żyją więc w Parku, ale myśliwi nęcą je jabłkami czy kukurydzą, dlatego one wychodzą z lasu i są strzelane. Poza tym w zadaniach ochronnych Parku przed moim przyjściem był zapis na pozyskanie do 80 jeleni rocznie. Rok 2018 był pierwszym w historii, gdy w MPN nie odstrzelono ani jednego jelenia. Po prostu nie dałem na to zgody. Leśniczowie nie zgłaszali większych szkód w młodnikach, więc nie było powodu zwierzyny redukować.

Park jako instytucja ochrony przyrody się sprawdził?

Każdy park narodowy ma swoją specyfikę i cele ochrony. Niektórzy spodziewali się, że rozwijać się będzie głównie turystyka, ale przecież w Beskidzie Ni-

skim nie ma ani wysokich gór, ani odsłoniętych szczytów. Chodzi się lasem. 95 proc. terenu MPN jest zalesione. Turystów jest niewielu i dzięki temu świetnie mają się duże drapieżniki. Występują dwie watahy wilka, rysie, żbiki. Pokazuje się niedźwiedź, zdarzyło mu się nawet w Parku gawrować.

Podobno Magurski Park Narodowy to jedyne w kraju miejsce, gdzie w jednym lesie żyją niedźwiedź i łoś.

Łoś pojawił się w latach 70. lub 80., nieduża populacja, ale faktycznie jest. Najwięcej jednak mamy jeleni, ponad tysiąc osobników.

W 2017 r., obejmując stanowisko dyrektora MPN, mówił Pan, że nie jest leśnikiem, tylko biologiem, więc ma świeże spojrzenie na Park.

Uważam, że biolog zna lepiej powiązania biocenotyczne. Leśnicy są kształceni trochę pod innym kątem. Produkcja drewna jest niby tylko jednym z pięciu celów ich działalności, ale w rzeczywistości wszystko się do niej sprowadza. Niestety większość leśników nie interesuje się ochroną przyrody. Kiedy powstawał MPN, obiecywano, że nikt nie straci pracy. W efekcie większość z nich nie ma teraz ambicji, by się czegokolwiek douczyć. Zdarza się, że leśnicy nie rozpoznają nawet gatunków drzew. A jeden złapał myszołowa z uszkodzonym skrzydłem i przez kilka dni utrzymywał, że to orlik. Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić w atlasie lub w internecie, co to za gatunek. Ale najbardziej niepokoi to, że osiemnastu pracowników to myśliwi. To głównie pracownicy terenowi.

Ile osób zatrudnia Park?

Dziewięćdziesiąt. Nie wszyscy mają pełne etaty.

Ile zajmuje się ochroną przyrody?

Były trzy, przyjąłem jeszcze dwie. Zespół do spraw Ochrony Przyrody liczy pięć osób. Jest też nieduży Zespół ds. Edukacji. Bardzo zależało mi, żeby pracownicy – specjaliści z poszczególnych dziedzin przyrodniczych – podejmowali badania naukowe w MPN i publikowali dużo prac. Planowałem utworzyć pracownię naukową. Tak pewnie by było, gdybym nie musiał odejść na emeryturę.

Aż tak się Pan naraził okolicy?

Ludzie oczekują, że park narodowy poda im wszystko gotowe. I skarżą się, że dla parku się oni nie liczą. Ale przecież w Parku nikt nie mieszka! Wsie są poza nim. Park narodowy ma chronić przede wszystkim przyrodę. Od pomagania ludziom są radni, wójt gminy i cała masa innych instytucji państwowych. Poza tym Park promuje region i ludzie powinni umieć to wykorzystać. Zakładać firmy, przyciągać turystów i na nich zarabiać. A w gminie Krempna nie ma ani jednej restauracji.

Jest za to spór o remont drogi z Krempnej do Ożennej przez Żydowskie i Ciechanię. Kiedy zostawał Pan dyrektorem, zapowiadał Pan, że przywróci pieszy szlak, który przechodził przez dolinę po dawnej wsi, Ciechani. Ale szlaku nie ma, wciąż biegnie przy granicy państwowej.

Dostawałem bardzo dużo wniosków o przywrócenie go przez Ciechanię. Przeciwko temu rozwiązaniu byli niektórzy moi pracownicy z Zespołu ds. Ochrony Przyrody. Rada Naukowa Parku w końcu – za trzecim razem – przegłosowała co prawda jego utworzenie, ale sprawa rozmyła się w ministerstwie. Powiedziano, że skoro teren jest tak cenny przyrodniczo, to lepiej, żeby szlaku tam nie było.

Czyli szlaku pieszego ma nie być, będzie za to droga dla samochodów?

Park zabiegał, by starosta przekazał ją MPN, byłaby drogą techniczną udostępnianą w sytuacjach awaryjnych. Ona powinna być wyremontowana, bo w tej chwili jest trudno przejezdna. Ale tej drogi nie powinno się asfaltować. Powinno się użyć tłucznia, żeby wciąż miała charakter drogi leśnej i żeby samochody nie mogły się na niej rozpędzać. To, że po asfalcie będą jeździć szybko, widać choćby w Foluszu, gdzie podobna droga powiatowa kończy się w lesie. W weekendy jest tam mnóstwo turystów i rodzice muszą łapać dzieci spod kół śmigających co chwilę samochodów.

Park wyraził w sprawie drogi powiatowej przez Ciechanię swoje stanowisko?

Droga co prawda przebiega przez środek Parku, ale należy do starostwa, więc starosta uznał, że nie ma co pytać nas o zdanie. Ale o opinię zapytała nas Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, dlatego Zespół ds. Ochrony Przyrody sporządził opinię. Napisaliśmy, jakie zwierzęta przechodzą przez tę drogę i co im zagraża w przypadku jej wyasfaltowania. Z tego pisma jednoznacznie wynikało, że wpływ asfaltu będzie negatywny, bo samochody będą szybciej jeździć i zderzać się z przebiegającymi przez drogę zwierzętami. Dlatego RDOŚ nałożył na starostę obowiązek przygotowania raportu oddziaływania na środowisko. Raport powstał do końca maja, jest teraz w RDOŚ. Co dalej, czas pokaże, bo sprawa stała się głośna i ludzie zaczęli protestować. Ta droga w zasadzie nikomu nie jest potrzebna, bo równoległa do niej droga wojewódzka jest szersza, prostsza, biegnie po płaskim terenie i można szybciej nią dojechać do Wyszowatki, Grabiu czy przejścia granicznego w Ożennej.

Nowy dyrektor zaopiniuje remont pozytywnie?

Park się już wypowiedział, więc nowego dyrektora nikt o zdanie nie będzie pytał, decyzja należy teraz do RDOŚ.

W jednym z wywiadów starosta jasielski Adam Pawluś wspominał, że chciałby, aby w Żydowskiem powstał również wyciąg narciarski.

Starosta proponował, żeby to Park go wybudował. Odpowiedziałem, że Park nie może budować obiektów, które nie służą ochronie przyrody. Park ma się ↦

JAKUB HAP / FAKTY JASIELSKIE

Sporna droga w Magurskim Parku Narodowym, marzec 2019 r.

DR MARIAN STÓJ jest jasielskim ornitologiem. Były podkarpacki konserwator przyrody, od stycznia 2017 do maja 2019 r. dyrektor Magurskiego Parku Narodowego. Regionalny koordynator Komitetu Ochrony Orłów.

ILONA DZIEDZIC / JASLOAU.PL

zajmować ochroną przyrody, a nie inwestycjami niesłużącymi przyrodzie. Jeśli znajdzie się zewnętrzny inwestor, to podobnie jak w przypadku drogi Park wyda opinię, a decyzję podejmie minister środowiska.

Świętokrzyski Park Narodowy ma oddać swoje tereny zakonowi oblatów, w Kampinoskim wyasfaltowano drogę przecinającą ostoję wilków, podobnie ma być w Magurskim. Park jako najwyższa forma ochrony przyrody jest bezbronny?

PiS nie ma fachowych kadr od przyrody. Chociaż w innych dziedzinach robią dużo dobrych rzeczy, to przyrodę traktują marginesowo. Ustawa o ochronie przyrody jest dobrze napisana, ale nie jest przestrzegana, a z ochroną przyrody trzeba się kryć. Kiedy zgodnie z prawem zabiegam w Lasach Państwowych o tworzenie stref ochronnych dla ptaków, czyli obszaru wokół gniazda, w którym wyłączone są prace leśne – przede wszystkim chodzi tu o zakaz wycinki drzew – słyszę, że tych stref jest za dużo i że utrudniam pozyskanie drewna. A przecież strefy wokół miejsc rozrodu zwierząt to jest drobny promil lasów gospodarczych w Polsce.

Według tej ustawy samorządy mają prawo weta w sprawie powoływania nowych parków i powiększania już istniejących. To dobre rozwiązanie?

Nie. Gmina nie powinna mieć aż tak dużych kompetencji, bo zazwyczaj nie ma tam specjalistów od ochrony przyrody. Są za to politycy i samorządowcy, którzy zabiegają o głosy mieszkańców i najczęściej nie zgadzają się na ochronę przyrody, bo nie mają dostatecznej wiedzy, jak bardzo dzika przyroda jest ważna dla człowieka. MPN wciąż nie ma wieloletniego planu ochrony. Na razie jest tylko projekt, który opiniują rady gmin sąsiadujących z Parkiem. Do tej pory wpłynęło wiele wniosków. Włącznie z takimi, by wszystkie rogatki na drogach wewnątrz Parku były otwarte i ogólnodostępne dla samochodów, czego nie ma nawet w gospodarczych Lasach Państwowych.

Co się nie podoba gminom w projekcie planu ochrony?

Ich zdaniem jest w nim zbyt dużo ochrony ścisłej. Obecnie ochroną ścisłą objęto 12 proc. powierzchni Parku. W projektowanym planie, który ma obowiązywać przez dwadzieścia lat, naukowcy zaproponowali 38 proc. Obszar ochrony ścisłej musi mieć zachowaną ciągłość, to nie mogą być wysepki. Przyrodę trzeba chronić autentycznie, a nie udawać. A na Podkarpaciu często ważniejsza jest kasa z pozyskiwania drewna.

Jako dyrektor czuł Pan, że ma za sobą wsparcie państwa?

Wsparcie państwa wystarcza jedynie na niskie pobory dla kadry Parku. Początkujący pracownicy naukowi, a więc wykwalifikowani specjaliści, zarabiają ok. 2,5 tys. zł brutto. Dyrektor ma 7 tys. brutto. Dla porównania nadleśniczy w Lasach Państwowych dostaje ok. 18 tys. zł. Nie czułem również żadnego wsparcia merytorycznego, skoro straciłem pracę za to, że próbowałem chronić przyrodę. Zanim zostałem zwolniony, udało mi się w Parku utworzyć, zgodnie z przepisami, sporo stref ochronnych dla najrzadszych gatunków zwierząt: orła przedniego, orlika krzykliwego, bociana czarnego, wilka. Wykonać nową ekspozycję interaktywną w Ośrodku Edukacyjno-Muzealnym oraz wiele różnych i pożytecznych rzeczy dla przyrody, pracowników oraz lokalnej społeczności.

Możliwa jest w ogóle sytuacja, w której jakikolwiek park funkcjonuje w zgodzie ze swoimi sąsiadami?

Myślę, że tak, np. Tatrzański jest takim parkiem, bo większość na nim zarabia. Górale są z niego zadowoleni. Pieniński też ma się dobrze dzięki turystyce. W Biebrzańskim czy w Ujściu Warty nie ma większych lasów, więc nie ma podobnych konfliktów, są za to pieniądze na koszenie łąk. Rolnicy są zadowoleni, dzierżawią łąki i biorą dopłaty. Jest też wykwalifikowana turystyka ornitologiczna. W Magurskim nie ma większych szans na rozwój turystyki, bo pokrywają go głównie lasy, przez co mało jest miejsc widokowych. Za to żaden inny park nie jest tak bogaty w zwierzynę jak nasz. Mamy lęgowe orły przednie i ponad 30 par lęgowych orlika krzykliwego. Dla porównania w Bieszczadzkim Parku Narodowym nie ma ani jednej pary orła przedniego, a orlika krzykliwego są zaledwie cztery pary. Dużo zwierząt żyje za to na terenie bieszczadzkiego Nadleśnictwa Stuposiany, które jest takim dziwnym, irracjonalnym bytem rozbijającym teren parku narodowego na dwie części.

Co Pan będzie robił na emeryturze?

Dalej będę chronił ptaki, prowadził monitoring orła przedniego. Ostatnio wystąpiłem do Lasów Państwowych o zgodę na wjazd na drogi leśne, właśnie w tym celu. Chodzi o zwykły las gospodarczy. W odpowiedzi dostałem od trzech nadleśnictw: Stuposiany, Ustrzyki Dolne i Lutowiska do podpisania porozumienie, które ograniczało moje prawa.

Wynika z tego, że każdy wjazd do lasu musi Pan zgłosić dwie godziny wcześniej, na koniec dnia raportować wszystkie obserwacje, a każde uchybienie skutkuje zakazem wjazdu. Podpisał je Pan?

Nie, nie podpisałem, przy takich obostrzeniach szybciej będę mógł wykonać monitoring chodząc piechotą.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Miasta wolne od rozumu

Od trzech tygodni zajmuję się prawie wyłącznie tym samym: gotowaniem dla dużej liczby małych gąb oraz załadowywaniem lub rozładowywaniem zmywarki i pralki, w miejscu odciętym od świata i wspaniale pozbawionym zasięgu internetu. W naturalny sposób zatem nie mam pojęcia, co się dzieje – ni w polityce, ni u znajomych walczących na Facebooku o lepszy, sprawiedliwy świat za pomocą niezmiennie emocjonalnych statusów. Cóż za wspaniale odświeżająca sytuacja, prawdziwy urlop, można udawać, że jest całkiem fajnie, a Polska i jej problemy magicznie redukują się do salomonowych wyroków sprawiedliwej matki rozsądzającej, kto zjadł dziś więcej malin, a komu należy się dokładka, żeby było *fair*.

W chwilach wolnych od czeredki, gdy wyjdzie ona udoskonalać dwa leśne szałasy, czytam poprawiające nastrój książki. Na przykład „Czterech jeźdźców Apokalipsy. Jak się zaczęła ateistyczna rewolucja", czyli zapis dwugodzinnej rozmowy, która odbyła się w 2007 r. w waszyngtońskim mieszkaniu Christophera Hitchensa, nieżyjącego już niestety znakomitego dziennikarza i eseisty. W tym niezwykłym spotkaniu obok gospodarza wzięli udział trzej naukowcy, znani zwolennicy ateizmu i krytycy religii instytucjonalnych: Richard Dawkins – zoolog, etolog, autor „Samolubnego genu", Sam Harris – neurobiolog i filozof oraz Daniel Dennett – amerykański filozof, entuzjasta darwinizmu neuralnego. Ta dyskusja została nagrana i sfilmowana, a potem obejrzana w sieci przez miliony ludzi.

Nie będę specjalnie zachwalać tej skromniutkiej, gdy idzie o objętość, lecz arcybogatej, gdy idzie o stawiane pytania, książeczki i pozwolę sobie odesłać was do lektury, byście sami zmierzyli się – w zachwycie lub gniewie – z proponowaną przez dyskutantów materią. Dość rzec, że czytając właśnie krwisty passus z wypowiedzi Sama Harrisa o tym, że „religia niemal oficjalnie jest chroniona przed racjonalną krytyką. Jest chroniona również przez osoby o takich samych jak my poglądach", a wtóruje mu Hitchens: „gdy ktoś taki jak Tariq Ramadan [muzułmański teolog, filozof i pisarz polityczny – red.], którego zatrudnił ostatnio na stanowisku wykładowcy Uniwersytet Oksfordzki, mówi, że jedyne, czego domaga się w kwestii kamienowania kobiet, to wprowadzenie moratorium, to stwierdzenie, że się z nim nie zgadzam, byłoby dalece niewystarczające"... czytając zatem te ustępy w kawiarni mrągowskiej nad parującą kawą, otrzymałam powiadomienie na messengerze, milczącym ostatnio przez długie dni w mojej głuszy. Kliknęłam nieopatrznie w powiadomienie i ukazała się moim oczom fotografia wykonana kilka sekund wcześniej przez koleżankę, która urodziwszy właśnie swoje kolejne dziecko ruszyła zwyczajem wszystkich polskich rodziców do Ikei, by dokupić tam jakże potrzebne utensylia w dziale dziecięcym. Tuż przy wejściu do sklepu natknęła się nieboga na namiot z żółtym daszkiem, opisanym „stoppedofilii.pl" i ukrytymi pod nim banerami głoszącymi, „czego lobby LGBT chce uczyć dzieci? 4-latki masturbacji, 6-latki wyrażania zgody na seks, 9-latki – pierwszych doświadczeń seksualnych i orgazmu (na podstawie Standardów Edukacji Seksualnej w Europie)". Tuż obok budki na wystawionych przed sklep fotelach, pod białymi namiotami ogrodowymi do kupienia, pośród donic ze sztucznymi kwiatami siedziało wygodnie trzech mężczyzn pilnujących instalacji, rozdających ulotki podpisane wyrazistą ręka Mariusza Dzierżawskiego, charyzmatycznego członka zarządu Fundacji Pro – Prawo do życia. Ulotki „demaskujące prawdziwe oblicze" LGBT.

Oburzona ich obecnością oraz nieprawdziwymi słowami, które wypowiadali w stronę fanów szwedzkiego designu, koleżanka podeszła do zaparkowanego nieopodal radiowozu policji, pytając panów, co tu się wyprawia. Funkcjonariusze orzekli, że nic w tej sprawie zrobić nie mogą, bo jest zgoda na ten performans, i życzą jej miłego dnia. Trudno – można sobie zasłonić uszy poduszkami Midsommar lub napchać do nich jakichś miękkich akcesoriów łazienkowych Kvinna. Zrobiła więc parę zdjęć i wkurzona wysłała znajomym, okraszając je wezwaniami Pana Boga nadaremno.

Siedziałam więc w kawiarni wyrwana z mego wiejskiego letargu, żałując, że w ogóle wzięłam telefon ze sobą do miasta. A potem było jeszcze gorzej, bo weszłam do sieci jak typowy narkoman na informacyjnym głodzie i dowiedziałam się, że polskie samorządy podpisują deklaracje zakładające „wolność od ideologii LGBT", ponoć zresztą niezgodne z konstytucją.

Na koniec więc ode mnie dla Państwa Sam Harris: „Możesz mieć takie objawienie: Oto jest moja nowa religia. Żądaj od swoich dzieci, by studiowały nauki ścisłe i przyrodnicze, matematykę i ekonomię, wszystkie ziemskie dyscypliny i to z jak największym zaangażowaniem. A jeśli nie będą się uczyć dość pilnie, po śmierci będą torturowane przez siedemnaście demonów". ©

POŻEGNANIE

Naszym Współpracownikom

Piotrowi i Adamowi

wyrazy współczucia i wsparcia po śmierci

Mamy

Ś.†P.

Barbary Siergiej

składa

„Tygodnik Powszechny"

WIARA

DIABELSKI KŁOPOT

Łatwiej mobilizować do wiary, strasząc demonicznym zagrożeniem. Zapewne dlatego w polskim duszpasterstwie coraz więcej diabła. Tymczasem w nowoczesnej teologii miejsca dla niego jest coraz mniej.

ARTUR SPORNIAK

Sanal Edamaruku się uśmiecha. To uśmiech kwaśny – grymas świadka czyjejś kompromitacji. A może maskuje także nerwowość? Może jednak magia działa? Działa, kiedy się w nią wierzy – mówią psychologowie. Sanal nie wierzy. Dlatego posłusznie wykonuje polecenia guru i się uśmiecha.

Chwila przed północą. Dobrowolna ofiara magii siedzi na tantrycznym ołtarzu. Przed nim płonie ognisko, do którego tantryk wrzuca magiczne składniki. Pomocnicy guru monotonie recytują zabójcze mantry. Tantryk wypowiada zaklęcia i muska Sanala pawim piórem, albo dotyka lalki voodoo. Nic się jednak nie dzieje.

Wcześniej przewodniczący Indyjskiego Stowarzyszenia Racjonalistów razem z mistrzem tantry Panditem Surenderem Sharmą uczestniczy w programie telewizyjnym poświęconym skuteczności magii. Pretekstem stały się skargi jednej z indyjskich polityczek na to, że jej przeciwnicy rzucili na nią urok, czego dowodzić miała seria wypadków, która ją dotknęła. W trakcie programu Surender Sharma stwierdził, że magia ma tak wielką moc, iż przy jej pomocy potrafiłby w ciągu trzech minut zabić, kogo zechce. Sanal Edamaruku wykorzystał te przechwałki i zaproponował tantrykowi eksperyment: ma go uśmiercić na oczach widzów.

Sanal musi uciekać

Nie mając wyjścia, guru zaczął recytować zabójcze mantry. Ponieważ nie dawały żadnego efektu, Surender Sharma w pewnym momencie chwycił Sanala kciukami za skronie – musiał interweniować prowadzący. W końcu mistrz tantry stwierdził, że w studiu nie ma odpowiednich warunków i zaproponował „ostateczną ceremonię zniszczenia" pod gołym niebem przed północą.

Wieść o pojedynku racjonalisty z magiem szybko rozniosła się po Indiach. Druga część magicznego seansu przyciągnęła wielomilionową widownię. Ostatecznie skompromitowany tantryk tłumaczył, że Sanala przed czarną magią chroni jakiś potężny bóg. Indyjski racjonalista drwił, że musi to być bóg bardzo łaskawy, skoro pod opiekę wziął osobę niewierzącą.

„Przez cały czas byłem w wyśmienitym humorze. Nie tylko dlatego, że był to spektakl wspaniałego absurdu,

Marc Chagall, „Upadający anioł", 1923-1933, 1947, ze zbiorów Muzeum Sztuki w Bazylei, Szwajcaria

INTERFOTO / FORUM

ale przede wszystkim dlatego, że czułem, iż tak wielu ludzi przed ekranami pilnie potrzebuje mojego świadectwa" – komentował wydarzenia z marca 2008 r. Sanal Edamaruku w felietonie w brytyjskim „Guardianie".

Niestety, przewodniczący stowarzyszenia, które m.in. prowadzi wśród indyjskich wieśniaków akcje demaskujące magiczne sztuczki wędrownych guru, w 2012 r. musiał opuścić Indie, ponieważ naraził się... katolikom. Wykazał bowiem, że ze stóp „płaczącego" krucyfiksu w kościele Matki Bożej z Velankanni w Bombaju spływają nie boskie łzy, tylko ścieki z niesprawnej kanalizacji w pobliskiej toalecie: woda przedostawała się dzięki działaniu kapilarnemu do sąsiednich ścian oraz krzyża i spływała po gwoździu na stopy Jezusa. Sanal ironizował, że uchronił naiwnych ludzi przed nabożnym spożywaniem wody klozetowej. To rozwścieczyło jedno ze stowarzyszeń katolickich, które oskarżyło Edamaruku o bluźnierstwo. Sanalowi groziły więzienie i długi proces, a ponieważ akurat był w Europie, nie wrócił już do Indii. Arcybiskup Bombaju kard. Oswald Gracias zapowiedział wycofanie skargi, ↦

pod warunkiem, że Edamaruku przeprosi katolików. Na to jednak racjonalista nie przystał. Niestety zabobon otrzymał wsparcie państwa i instytucji Kościoła.

Magia po polsku

Jak się ma wiara w magię w Polsce? Sądząc po niedawnym paleniu książek z serii o Harrym Potterze i przedmiotów rzekomo mających związek z magią – całkiem dobrze. Z powodu kontrowersyjności, a równocześnie popularności tego tematu poświęcono mu kwietniowy numer miesięcznika „W drodze".

W jednym z artykułów dyrektor Dominikańskiego Centrum Informacji o Sektach i Nowych Ruchach Religijnych, o. Radosław Broniek, zastanawia się nad realnością magii. Zanim wyda werdykt, słusznie ostrzega przed „myśleniem magicznym", które „może doprowadzić do absurdalnej obawy przed wejściem do orientalnej restauracji czy podarowaniem dziecku gry z podejrzanym symbolem". Werdykt zaś jest następujący: „Kościół nie wypowiada się w sprawie skuteczności praktyk magicznych", niemniej „doświadczenie chrześcijan, dane antropologiczne, a także teologia (np. nauka św. Tomasza z Akwinu) pozwalają przyjąć, że magia może działać".

Jeśli jednak serio uwierzymy, że magia może działać, czy zdołamy uniknąć pułapki magicznego myślenia? Samemu o. Brońkowi się to nie udaje, czego zresztą chyba nie jest do końca świadomy.

Opisuje m.in. spotkanie z nieznaną kobietą, która na dworcu poprosiła go o pieniądze. Kiedy odmówił, owa kobieta zaczęła go przeklinać. „W pierwszej chwili jej zachowanie mnie lekko zmroziło (przecież to jak nic *fattura* [czyli rzucanie uroku]!)" – pisze dominikanin. Ale szybko uświadomił sobie, że jest w łączności z Chrystusem i magia nie jest dla niego groźna. „Czy zatem – będąc blisko Boga (w stanie łaski uświęcającej), powinienem się obawiać owej *fattura*, jakiegoś przekleństwa, które ktoś na mnie rzucił? Albo tego, że owa kobieta (może nawet lokalna wiedźma) wróci do domu i odprawi rytuał czarnej magii wobec mnie?" – pyta retorycznie.

Myślenie magiczne sprawia, że w kimś, kto mógł być po prostu osobą skrzywdzoną i dlatego agresywną, albo chorą psychicznie i potrzebującą pomocy, zakonnik zobaczył „lokalną wiedźmę". Jeszcze kilka wieków temu takie spotkanie przeklinającej kobiety z dominikaninem mogłoby się dla niej źle skończyć.

Demonologiczny import kwitnie, ale rozwija się też twórczość rodzima. Wszędzie prawie można kupić miesięcznik „Egzorcysta", którego autorami są także księża.

Negatyw dobrej nowiny

Magia łączona jest ze światem demonicznym w prostym sylogizmie: ponieważ jest to działanie nadnaturalne, ale nieboskiego pochodzenia, musi być związane z szatanem i demonami. Psychologia zaś od dawna wie, że nasz mózg ewolucyjnie został o wiele silniej uwrażliwiony na zagrożenia niż na myślenie pozytywne. Stąd bujnie rozwija się „negatyw" ewangelizacji, jakim jest zła nowina o nieustannych duchowych zagrożeniach.

„W ostatnim wieku, na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia, zaczęła nas otaczać ewidentna kultura satanistyczna, a współczesność wiąże się z przekraczaniem granic, z nihilizmem, materializmem i okultyzmem" – diagnozuje sytuację włoski kapucyn i egzorcysta o. Paolo Carlin w pierwszym zdaniu wydanej właśnie po polsku książki „Uwolnić zniewolonych. Jak rozpoznać przypadki opętania i towarzyszyć osobom z problemami duchowymi" (Esprit 2019).

Znajdziemy tu m.in. prosty sposób na odróżnienie choroby psychicznej i opętania u kogoś, kto się podejrzanie zachowuje, choć sprawa – jak ostrzega autor – jest zagmatwana, bo diabeł lubi ukrywać się pod oznakami choroby: „Jeśli podczas takich irracjonalnych zmian nastroju pomodlimy się w myślach, wzywając pomocy Maryi lub św. Michała Archanioła, a osoba ta zareaguje jeszcze bardziej gwałtownie lub po kilku minutach się uspokoi bądź też gardłowym, pełnym złości głosem będzie krzyczała, żebyśmy milczeli, i wydarzy się to przynajmniej w trzech różnych momentach bądź sytuacjach, wtedy możemy być pewni, że mamy do czynienia z problemem duchowym, a nie psychicznym".

Okazuje się więc, że nie jest potrzebne żadne wsparcie lekarzy specjalistów. Ten popularny poradnik dla egzorcystów i laików świetnie się sprzedaje – zapewne też dlatego, że opatrzony został kościelnym *imprimatur*.

Demonologiczny import kwitnie – w katolickich księgarniach wciąż prym wiodą książki zmarłego w 2016 r. rzymskiego egzorcysty o. Gabriela Amortha – ale rozwija się też twórczość rodzima. Prawie w każdym punkcie z prasą można kupić miesięcznik „Egzorcysta", którego autorami są także księża. Wzięciem cieszą się książki polskich egzorcystów, a wśród nich – częstochowskiego egzorcysty ks. Włodzimierza Cyrana, zwłaszcza jego poradnik: „Kroki do wolności od złych duchów. Przewodnik duchowy dla osób zniewolonych lub dręczonych".

W książce ks. Cyrana znajdziemy pełen przegląd teologicznych błędów, o które oskarżane są tego typu publikacje. Mowa w niej o „zaczarowanych" przedmiotach jako furtkach dla demonów; o opętaniach jako skutkach grzechów przodków; o innych religiach jako królestwie szatana (czego nie da się raczej pogodzić z dialogiem międzyreligijnym). Razem ze Wspólnotą Przymierza Rodzin „Mamre", której jest kościelnym moderatorem, ks. Cyran zasłynął z organizowania mszy o uzdrowienie, na których często spontanicznie ujawniają się osoby mające być opętane.

Przechył w stronę „przeżyciowego" doświadczania wiary i różne nadużycia w ruchach charyzmatycznych niepokoją przewodniczącego Komisji Nauki Wiary episkopatu – bp. Andrzeja Czaję. Zapowiedział opracowanie dokumentu na ten temat, a w Katowicach ma powstać szkoła dla egzorcystów. Może jednak prościej byłoby bardziej oszczędnie udzielać im kościelnej misji?

Pierwszym egzorcystą zawsze jest biskup diecezjalny – gdyby polscy biskupi sami musieli z bliska przyglądać się „demonicznej" rzeczywistości, pewnie mniej

byłoby opętań i mniejsze byłoby przyzwolenie na czarną ewangelizację.

Z daleka od nauki

Można się zastanawiać, na ile założenie istnienia diabła i świata demonów jest niezbędne w naszej wierze. Dokument „Wiara chrześcijańska i demonologia", opracowany w 1975 r. przez ekspertów na zlecenie Świętej Kongregacji Nauki Wiary, stwierdza jednoznacznie: „Albowiem to w nauce Ewangelii i w sercu wyznawanej wiary istnienie szatańskiego świata objawia się jako fakt dogmatyczny". Dokument ten nie jest podpisany (sygnowany jest tylko datą – Rzym, 26 czerwca) – jakby Święta Kongregacja wyczuwała pewną niezręczność w autorytatywnym dowodzeniu istnienia „szatańskiego świata".

W *Credo* wyznajemy stworzenie przez Boga nie tylko „rzeczy widzialnych" (materialnych), ale też „niewidzialnych" (duchowych – w tym świata aniołów, które upadły, jak się to nieraz przedstawia). Ale prawda ta przede wszystkim zabezpiecza wiarę w jedno źródło istnienia – Stwórcę wszystkiego, w przeciwstawieniu do manichejskiej tezy o dwóch niestworzonych siłach: walczących ze sobą bogu dobrym i bogu złym. Samo zaś rozróżnienie rzeczy na widzialne i niewidzialne można złożyć na karb neoplatońskiego światopoglądu redaktorów *Credo*.

Jednak zarówno te refleksje, jak i powyższe problemy z nadużyciami egzorcystów, czarną ewangelizacją i magicznym myśleniem mogą się niedługo okazać bezprzedmiotowe. Przed teologią coraz wyraźniej staje bowiem problem zharmonizowania rozumienia Objawienia z nowoczesnym obrazem świata, kształtowanym przede wszystkim przez nauki przyrodnicze. Jest to niezbędne dlatego, że Objawienie, mówiące o relacji między człowiekiem a Bogiem, zakłada jakieś samorozumienie człowieka i wizję świata, w którym człowiek żyje.

Na razie w teologii dominuje wciąż arystotelesowsko-tomistyczny obraz świata, zakładający cielesno-duchowy dualizm bytów. Sprawia to, że teologia staje się anachroniczna. Na przykład wypowiada się o Bożym działaniu w świecie, nie pytając ani o to, jak takie działanie w ogóle jest możliwe, ani nie licząc się z jego ewentualnymi skutkami dla modeli rzeczywistości tworzonych przez nauki przyrodnicze.

> Na pograniczu teologii i nauk przyrodniczych pojawiło się kilka odmian nieinterwencjonistycznego modelu Bożego działania. Wszystkie zakładają, że **Bóg działa, posługując się prawami przyrody**.

Zmianę kulturowego kontekstu dobrze obrazuje dwuznaczność pojęcia cudu rozumianego jako zjawisko empiryczne, którego przyczyna ma być nadnaturalna: dawniej cud pomagał wierzyć, dziś stanowi kłopot – zwłaszcza dla wierzących naukowców. W sposób znaczący zmieniło się bowiem rozumienie praw przyrody. O ile w średniowieczu regularność w przyrodzie rozumiano jako realizację naturalnych skłonności, którą nietrudno było zakłócić, o tyle w czasach nowożytnych zaczęły one przybierać kształt precyzyjnych, spójnych, matematycznych zależności.

Bóg nie interweniuje...

Ks. Michał Heller, krytykując w książce „Sens życia i sens wszechświata" przyjmowanie bezpośrednich Bożych interwencji w przyrodę, przytacza opinię wierzącego fizyka biorącego udział w projekcie konstrukcji bomby atomowej „Manhattan" – Williama Pollarda: „Każdy, kto dostąpił przywileju dostrzeżenia w swojej wyobraźni całej wspaniałej struktury matematycznej fizyki i doświadczenia dreszczu podziwu dla niej, nie może zareagować na myśl o takiej interwencji inaczej, jak tylko szokiem".

Można podać kilka argumentów przeciwko interwencjonistycznemu rozumieniu Bożego działania. Bóg, który stworzyłby świat z wbudowanym misternym i niesłychanie spójnym matematycznym szkieletem praw przyrody po to, żeby go od czasu do czasu burzyć, naruszać czy zawieszać, działałby przeciwko sobie. Ten argument można by nazwać „z Bożej racjonalności". Bliźniaczy argument odnosi się do racjonalności teologii: „słabsza" (bardziej subtelna) racjonalność teologii nie ma mocy, by podważać „mocniejszą" (silniejszą metodologicznie) racjonalność nauk przyrodniczych. Dlatego nie może dyktować nauce żadnych zewnętrznych warunków, uwzględniających bezpośrednie Boże ingerencje. Natomiast teologii godzącej w naukę można zarzucić irracjonalność.

Trzeci argument odwołuje się do Bożej dobroci: jeśli Bóg rzeczywiście od czasu do czasu interweniuje, to dlaczego nie w tych momentach, kiedy jest najbardziej potrzebny – np. wtedy, kiedy dzieje się wielkie zło? Teologia zakładająca nieinterwencjonistyczny model Boga ma na to odpowiedź: Bóg szanuje autonomię rzeczywistości, którą stworzył, tak jak szanuje wolność człowieka, nawet wtedy, gdy człowiek sam sobie szkodzi. Wreszcie argument „z przewidywania rozwoju nauki": nauka bardzo dobrze radzi sobie bez zakładania Bożych interwencji i nic nie wskazuje na to, żeby kiedykolwiek w przyszłości zrobiła dla nich miejsce. Przeciwnie, zjawiska uważane dotychczas za niewytłumaczalne (w potocznej wierze uznawane za „cuda"), prawdopodobnie w przyszłości znajdą naukowe wyjaśnienie.

...a jednak działa

Na pograniczu teologii i nauk przyrodniczych pojawiło się w latach 90. kilka odmian nieinterwencjonistycznego modelu Bożego działania. Wszystkie zakładają, że Bóg działa, posługując się prawami przyrody. Chodzi o to, by zagwarantować Bogu realny wpływ na rzeczywistość, przy nienaruszonych prawach przyrody. Wiara bowiem zakłada Bożą opatrzność i możliwość nawiązywania z Bogiem rzeczywistej relacji (a więc takiej, w której np. Bóg może reagować na nasze modlitwy).

Chronologicznie pierwszym jest model, który możliwość Bożego działania widzi w niezdeterminowaniu kwantowego poziomu rzeczywistości. Bóg realizuje swój zamiar względem świata, manipulując prawdopodobieństwem zdarzeń kwantowych. Zwolennikami tego rozstrzygnięcia są filozofka i teolożka Nancey Murphy oraz kosmolog George Ellis, współpracownik Stephena Hawkinga.

Model ten skrytykowali dwaj teolodzy i naukowcy – fizyk John Polkinghorne i biochemik Arthur Peacocke. Wskazali, że ujęcie to uzależnia teologię od probabilistycznej interpretacji mechaniki kwantowej, a jest całkiem możliwe, iż rozwój ↦

fizyki przyniesie nowe interpretacje. W zamian zaproponowali model „odgórnego działania" Boga. Bóg nakładałby na wszechświat jako całość „więzy", które nie łamałyby praw przyrody. Analogią byłoby ludzkie ciało kierowane przez umysł – świat postrzegany byłby jako „ciało" Boga. Ponieważ będąc immanentny w świecie, Bóg pozostawałby zarazem transcendentny, nie popadalibyśmy w panteizm.

Prosty i przez to silnie przemawiający do wyobraźni model propaguje z kolei ks. Michał Heller. Zwraca uwagę, że Stwórca istnieje poza czasem, ma zatem dostęp do całości historii wszechświata, którą można przedstawić – i tak czyni to fizyka – jako czterowymiarowy, przestrzenno-czasowy blok (nasza teraźniejszość byłaby w bloku tym punktem, wyznaczającym trajektorię, czyli historię naszego życia). „W aczasowej perspektywie Boga nic nie stoi na przeszkodzie – pisze Heller – by na przykład wysłuchać czyjąś modlitwę, zanoszoną w XXI wieku, przez umieszczenie w »warunkach początkowych« Wszechświata takich elementów, które zagwarantują jej spełnienie".

A gdzie diabeł?

Ważną konsekwencją nowego nieinterwencjonistycznego ujęcia Bożego działania jest brak miejsca na „rzeczy niewidzialne". Jeśli chcielibyśmy dowodzić istnienia i działania diabła, nie widać innego sposobu, jak szukać dla niego także transcendencji i immanencji w świecie. Jednak wówczas diabeł stałby się podobny do Boga – popadlibyśmy w nowy manicheizm.

Teologia w chrześcijaństwie rozpoczęła się od rozprawy ze starożytnym manicheizmem. Gdyby w XXI wieku skapitulowała wobec niego, byłby to smutny koniec myśli chrześcijańskiej. Stawka dla obrony diabła jest wysoka.

©℗ ARTUR SPORNIAK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Papież patrzy na morze

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Migranci są „ostatnimi", których Jezus nakazuje kochać w pierwszej kolejności – mówił Franciszek podczas mszy dla uchodźców i wolontariuszy.

Msza w bazylice św. Piotra nieprzypadkowo odbyła się 8 lipca: tego samego dnia sześć lat temu nowo wybrany papież, podczas swej pierwszej podróży w roli głowy Kościoła katolickiego, odwiedził Lampedusę, wyspę będącą często pierwszym schronieniem imigrantów i uchodźców przedostających się do Europy przez Morze Śródziemne.

Już wtedy Franciszek wzywał do wzmożenia akcji ratunkowych na morzu. Dzisiaj, gdy populistyczny rząd Włoch urządza nagonkę na ratujące migrantów NGO-sy, a jednocześnie przyczynia się do ograniczenia funkcjonującej od 2015 r. unijnej misji Sophia (powołanej do walki z przemytem ludzi przez morze), to wezwanie jest jeszcze bardziej aktualne.

„Ci, których oszukano"

– W tę szóstą rocznicę wizyty na Lampedusie moje myśli kieruję wobec ostatnich, którzy każdego dnia proszą Pana, by wyzwolił ich od nieszczęść – mówił papież do 250 migrantów i wolontariuszy. – Ostatnimi są ci, których oszukano i porzucono na pustyni, by zmarli; ostatnimi są ci, których torturuje się i gwałci w obozach-więzieniach; ostatnimi są ci, którzy stawiają czoło falom bezlitosnego morza; ostatnimi są ci, których zostawia się w obozach dla uchodźców zbyt długo, by nazywać je tymczasowymi. To tylko niektórzy z ostatnich, których Jezus nakazuje kochać w pierwszej kolejności.

Papież oświadczył, że nie chodzi tylko o migrantów w sensie socjologicznym. – Migranci są przede wszystkim istotami ludzkimi, a dzisiaj także są symbolem wszystkich odrzuconych przez zglobalizowane społeczeństwo. Przypomina się obraz drabiny Jakubowej. Według Jezusa każdy może uczestniczyć w więzi między ziemią a niebem. Ale wejście po tych szczeblach wymaga zaangażowania, wysiłku i łaski. Musimy pomagać najsłabszym i najbardziej bezbronnym. Chciałbym wierzyć, że to my moglibyśmy być tymi aniołami, które wchodzą i schodzą, obejmując najmniejszych, kalekich, chorych, wykluczonych: ostatnich, którzy w przeciwnym razie zostaliby z tyłu i doświadczaliby wyłącznie nieszczęść ziemskich.

– Niektórzy z was przybyli tu zaledwie kilka miesięcy temu, ale wiem, że już pomagacie braciom i siostrom, którzy dotarli później – zwrócił się papież bezpośrednio do ratowników i migrantów. – Chcę podziękować wam za ten przepiękny gest humanitaryzmu, wdzięczności i solidarności. Panie Jezu, pobłogosław ratujących życie na Morzu Śródziemnym i spraw, żeby w każdym z nas rosło pożądanie prawdy i szacunek dla każdego ludzkiego życia.

Dzień wcześniej, podczas niedzielnego odmawiania modlitwy „Anioł Pański" na placu św. Piotra, papież wezwał do otwarcia korytarzy humanitarnych, żeby uratować jak najwięcej osób.

Chór, śpiewający „Kyrie eleison" podczas poniedziałkowej mszy, ubrany był na czarno na znak żałoby po wszystkich uciekinierach, którzy zginęli na morzu.

Bitwy morskie kapitana Salviniego

W ostatnich tygodniach niemal codziennie włoska straż graniczna i włoska marynarka przywożą dziesiątki wyratowanych z morza migratów – od końca maja już ponad tysiąc. Jednak gdy robią to okręty należące do organizacji pozarządowych, wicepremier i minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini bije na alarm, usiłuje blokować wstęp do włoskich portów, wysyła straż celną i nawołuje do zakuwania w kajdanki kapitanów ratowniczych okrętów.

AFP / EAST NEWS

Msza dla imigrantów, Watykan, 8 lipca 2019 r.

Wszystko to w ramach „obrony świętych granic państwa włoskiego". W ostatni weekend aż trzy okręty NGO z imigrantami na pokładzie stały się celem „wojny morskiej" Salviniego, którego partyjne doły Ligi Północnej nazywają „Kapitanem". Najpierw, 29 czerwca, do brzegu Lampedusy, wbrew zakazowi Salviniego, dobił okręt „Sea Watch 3" z 40 migrantami. Następnie, 7 lipca tak samo postąpił niewielki żaglowiec „Alex" z 46 migrantami. Kapitanowie obu statków uznali, że zgodne z polityką Salviniego przetrzymywanie wycieńczonych uciekinierów z Libii na morzu jest nieludzkie. Nie mówiąc o tym, że łamie traktat z Dublina, konwencję genewską i włoską konstytucję (jej art. 10 stanowi, że „Obcy, którzy we własnych krajach nie mają szans na realizację swych swobód demokratycznych, mają prawo do azylu na terytorium Republiki Włoskiej").

Obydwa okręty zostały wzięte w sekwestr. Trzeci okręt, „Alan Kurdi", po dobie daremnego oczekiwania na pozwolenie zacumowania na Lampedusie skierował się na Maltę, gdzie w niedzielę wieczór wysadził 65 migrantów.

Mimo korzystnej dla kapitan „Sea Watch", Caroli Rackete, decyzji włoskiego sądu z 2 lipca, uznającej, że złamanie zakazu Salviniego było wręcz jej obowiązkiem, ponieważ znacznie ważniejsze było zapewnienie bezpieczeństwa migrantów, włoski wicepremier wyzywał Rackete w mediach społecznościowych od kryminalistek, „bogatych komunistek" i sojuszniczek przemytników ludzi. Salvini, autor dekretu o bezpieczeństwie, zakładającego mandaty w wysokości 50 tys. euro dla organizacji, które ratują ludzi, zapowiada kolejną poprawkę: teraz mandaty mają sięgnąć nawet miliona euro. Planuje też zwiększoną obecność okrętów marynarki i straży granicznej we włoskich portach – „dla ich obrony", a także jak najszybsze podarowanie libijskiej straży granicznej kolejnych dziesięciu motorówek do skuteczniejszego powstrzymywania imigrantów (choć jednocześnie przyznaje, że pogrążona w wojnie domowej Libia nie jest „bezpiecznym portem").

Opór przeciw rozsiewaniu strachu

Organizacje pozarządowe się nie poddają, mając coraz silniejsze oparcie wśród setek tysięcy prywatnych donatorów, a także np. wśród niemieckich Zielonych i niemieckiego Kościoła ewangelickiego. Dzisiaj na Morzu Śródziemnym pozostają cztery organizacje: niemieckie Sea Watch i Sea-Eye (do niej należy okręt „Alan Kurdi"), hiszpańska Open Arms (aczkolwiek w jej szykanowaniu rząd hiszpański nie ustępuje Salviniemu) oraz włoska Mediterannea Saving Humans z okrętami „Mare Jonio" i „Alex".

Politykę Salviniego i jego wymierzony w migrantów dekret o bezpieczeństwie skrytykował nawet szef związku zawodowego policjantów SILP CGIL, Daniele Tissono, oceniając w wystąpieniu parlamentarnym kilka dni temu, że „mnożenie kar i specjalnych konstrukcji prawnych służy przede wszystkim kampanii propagandowej rozsiewającej strach". Tissono ostrzega, że rząd próbuje „instrumentalizować służby porządkowe", branie zaś w sekwestr lub konfiskowanie okrętów organizacji pozarządowych zdradza „oczywisty zamiar zastąpienia w tej mierze sądów, które w państwie prawa powinny być władzą niezawisłą". To z kolei może „wpłynąć na stosunki międzynarodowe i mieć reperkusje dyplomatyczne".

Głos papieża nie mógł przyjść w lepszym momencie. ©

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Ks. Władysław Korniłowicz, Laski, ok. 1935 r.

Ksiądz z polowego szpitala

KAROL KLECZKA

Styl pracy duszpasterskiej ks. Władysława Korniłowicza realizował najważniejsze postulaty Soboru Watykańskiego II na wiele lat przed nim.

Niekiedy można odnieść wrażenie, że święci mają różne poziomy – jak postaci z gry czy karcianej kolekcji. Bywa, że się świętych kolekcjonuje – sam mam szufladę pełną obrazków, których żal się pozbyć, a czasem to nawet nie wiem, czy wolno, bo jak z relikwią, to chyba nie. Można też odnieść wrażenie, że niektórzy mają większe od innych chody u Pana Boga, skoro modlitwy przez ich wstawiennictwo mają „specjalną moc".

Wielu żyło niedawnym ogłoszeniem daty kanonizacji kard. Johna Henry'ego Newmana – byłego anglikanina i nowatorskiego teologa. Sądząc po liczbie pozycji wydawniczych, a zwłaszcza memów, pewnie jeszcze większą grupę ucieszyła informacja o prostej drodze do beatyfikacji radiowo-telewizyjnego ewangelizatora Ameryki abp. Fultona Sheena. Procesy kanonizacyjne trochę przypominają giełdę i źle by było, gdyby w natłoku dobrych wiadomości ta akurat nie wybrzmiała, zwłaszcza że dotyczy człowieka wielkiego heroizmu i skromności. Ten heroizm zatwierdził niedawno papież – po 11 latach od złożenia *positio* ogłoszono heroiczność cnót ks. Władysława Korniłowicza.

Ogień z wodą

Im bardziej poznaję postać duszpasterza z Lasek, tym mocniej uderza mnie jeden fakt. Ten ksiądz zmarł w 1946 r., a przecież nawet dzisiaj ze świecą szukać podobnych duchownych czy ludzi po prostu. Powiedzenie, że Korniłowicz wyprzedził epokę, to banał, bo nie wiem, czy dzisiaj w Polsce znalazłby się równie nieprzeciętny kapłan.

W jego przypadku mówienie o łączeniu wody z ogniem jest metaforą wyjątkowo na miejscu. Prowadzący nowoczesne i otwarte duszpasterstwo, w którym swoje miejsce znajdował każdy człowiek – niezależnie od tego, czy wierzył i w co wierzył, na kogo głosował i z kim się przyjaźnił. Rozumiejący liturgię i nie używający jej jak pałki do okładania kościelnych przeciwników, ale zdający sobie sprawę z jej funkcji, którą jest prowadzenie człowieka do Boga przez uchylanie rąbka Nieba przy ołtarzu. Intelektualista uformowany przez tomizm, jednak nsie zamknięty w akademickiej twierdzy, lecz personalistyczny wrażliwiec – tomista w służbie najsłabszych, bo przecież natura jest przez łaskę nasycona.

Korniłowicz zmarł ponad 70 lat temu, więc większość jego dzisiejszych admiratorów nie miała nawet cienia szansy, by go poznać ciałem, lecz ksiądz Władysław żyje duchem. I nadal z ogromną siłą oddziałuje na wyobraźnię. Zachwyca mnie dziś nie tylko swoją nowoczesnością.

Droga do powszechnego uznania przez Kościół postaci Korniłowicza była długa. 13 kwietnia 1978 r. Stolica Apostolska wydała zgodę *nihil obstat* na otwarcie procesu beatyfikacyjnego. Niecałe pół roku później kard. Stefan Wyszyński, ogrom-

nie wdzięczny za wpływ, jaki wywarł na niego ksiądz Władysław, rozpoczął proces informacyjny na poziomie diecezji, zakończony w czerwcu 1995 r. Akta zostały następnie przekazane rzymskiej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, która po zapoznaniu się z nimi trzy lata później uznała poprawność procesu. Musiała minąć kolejna dekada, zanim złożono *positio*, czyli zbiór dokumentów wymaganych do procesu beatyfikacyjnego.

5 lipca 2019 r. Franciszek promulgował dekret o heroiczności życia i cnót Korniłowicza. Odtąd przysługuje mu tytuł Czcigodnego Sługi Bożego. Takie są realia procedur, lecz przecież każdy, z kogo opinią się stykam, podkreśla świętość Ojca Władysława. Ten właśnie tytuł chyba najlepiej oddaje, z jaką postacią mamy do czynienia.

Ojciec

„Nazywano go za życia Ojcem, tak mówią o nim do dzisiaj, w 25 lat po śmierci (...). W przypadku tego księdza – nie było i nie ma w tym określeniu niczego z paternalistycznego schematu" – pisał o Korniłowiczu Stefan Frankiewicz, były naczelny „Więzi". Podkreślał, że o Korniłowiczu mówiono w ten sposób nie tylko z szacunkiem, ale przede wszystkim z miłością – bo jak nie kochać człowieka, który był wyczulony na konkretne życie i los drugiego, a „zainteresowanie sprawami ducha nie przytępiało (...) naturalnych, zwyczajnie ludzkich odruchów solidarności". Tak można też jego „ojcostwo" ująć – nie jako synonim kapłaństwa, lecz ludzkiej opieki, jaką czuły człowiek roztacza nad drugą osobą.

Właśnie to opiekuńcze człowieczeństwo najsilniej przebija w jego życiorysie, a zwłaszcza w tych jego punktach, które traktuje się jako przykład prekursorstwa. Nie byłoby wizji duszpasterstwa, w którym granica między pracą człowieka świeckiego i osoby duchownej się zaciera, bez fundamentalnego zaufania ludziom. Korniłowicz preferował małe wspólnoty, które powstawały organicznie, przez przyjacielskie przyciąganie znajomych. Sprawiało to znaczne trudności ówczesnym kurialistom, lecz przecież dziś również bywa tak, że na spontaniczne ruchy krzywo się patrzy.

Tak było choćby ze wspólnotą w Laskach, która dziś bywa mitologizowana, lecz przed wojną przechodziła bardzo trudne chwile. Siostra Radosława Podgórska, przełożona wspólnoty, mówi, że Laski i praca samego Korniłowicza często spotykały się z niezrozumieniem: „Wizytacja kanoniczna zgromadzenia, która się odbyła w tamtym czasie, była bardzo trudna, bo uwydatniła zarówno opór wobec tak bliskiej współpracy sióstr zakonnych z osobami świeckimi, jak i niezrozumienie dla głównych linii duchowości tego miejsca". Znany jest też dialog, jaki ksiądz Władysław prowadził z pewnym warszawskim prałatem, wątpiącym w to, że praca niewyznaczona przez kurię może mieć wartość w oczach Boga.

Nie znaczy to, że Korniłowicz był buntownikiem. Z pewnością zachowywał ogromną swobodę myśli, wyniesioną jeszcze z rodzinnego domu wypełnionego przez nieprzeciętnych wręcz wolnomyślicieli, a rozwijaną dalej w trakcie studiów, ale nie stawał okoniem wobec instytucji. Potrafił robić rewolucję nie przez burzenie porządku, lecz przez wiązanie ludzi i słuchanie tego, czego pragną. Stąd sympatia do nieformalnych struktur, w których stosunki były bliższe niż w niejednym środowisku. Przyjaźń nie zna legitymacji, a ojcostwo tym bardziej.

Dużo się mówi o inteligenckim charakterze działalności Korniłowicza, zwłaszcza jego posługi opiekuńczej w „Kółku", będącym pierwszą wspólnotą księdza Władysława. Niekiedy przeciwstawia się przedsoborowy, zapuszczony intelektualnie i nieco prymitywny w swej ludowości polski Kościół oraz inteligencki sznyt Korniłowicza. Lubimy swoje bańki społecznościowe, czujemy się w nich komfortowo, a najpiękniejsze piosenki to te, które już znamy. Zwłaszcza intelektualiści ulegają pokusie, by wyżej cenić człowieka oczytanego niż pobożnego czy dobrego, w mądrości pierwszego dopatrując się jakby z natury wlanej wielkiej cnoty. Korniłowicz nie stał się zakładnikiem takiego myślenia, bo choć sam mówił, że nie umie rozmawiać z ludźmi prostymi, to przecież potrafił mówić do każdego, zjednując sobie i lewicę, i prawicę, poetów, pisarzy, zakonnice i dzieci.

Może tu właśnie najsilniej przebijał jego tomizm przesiąknięty duchem personalizmu, który skłania, by stawiać osobę ponad dowolny system. Widziano w Korniłowiczu kapelana marszałka Piłsudskiego, ale przecież otwarcie głosił, że „żaden człowiek zaangażowany w politykę, przywiązujący religię do jakiejś ideologii nie może apostołować, bo partykularyzm przeszkodzi mu w obiektywnej ocenie". Żeby dojść do człowieka i być mu ↦

Duchowe centrum w Laskach

ZAKŁAD DLA NIEWIDOMYCH w Laskach pod Warszawą powstał w 1921 r. w ramach założonego dziesięć lat wcześniej przez hrabiankę Różę Czacką Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. Urodzona w 1876 r. arystokratka straciła całkowicie wzrok w wieku 22 lat. Od tego czasu poświęciła się pracy dla niewidomych. To jej zawdzięczamy opracowanie wersji alfabetu Braille'a z polskimi znakami fonetycznymi. Z czasem stowarzyszenie, prowadzone początkowo w duchu pozytywistycznym, coraz bardziej stawało się centrum duchowym otwartym dla poszukujących. Przyczyniło się do tego spotkanie w 1918 r. Czackiej z ks. Władysławem Korniłowiczem. W tym samym roku Czacka utworzyła Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża i stała się jego pierwszą przełożoną (jako matka Elżbieta). Do zgromadzenia wstąpiło wiele dziewcząt związanych z grupą dyskusyjną zwaną „Kółko", skupiającą młodzież akademicką i młodą inteligencję, niezależnie od przynależności wyznaniowej czy religijnej, której opiekunem od 1918 r. był ks. Korniłowicz. Dwa lata później został on kierownikiem duchowym Czackiej, by w 1930 r. zamieszkać na stałe w Laskach. Zarówno przed II wojną światową, jak i po niej Laski regularnie odwiedzali wybitni pisarze i publicyści, m.in. Antoni Słonimski, Jerzy Liebert, Jerzy Zawieyski, Stanisław Stomma, Zygmunt Kubiak, Marian Brandys (wszyscy pochowani są na zakładowym cmentarzu leśnym w Laskach), Zbigniew Herbert, Tadeusz Mazowiecki czy Adam Michnik.
Ks. Korniłowicz zmarł 26 września 1946 r. Matka Czacka – 15 maja 1961 r.
Oboje są kandydatami na ołtarze. ©℗ ASK

ojcem, a nawet mniej – bratem – trzeba pozbyć się uprzedzeń. Korniłowicz był człowiekiem, który się nie bał – i to dawało mu wielką wolność.

Protoplasta Soboru

Odwagę Korniłowicza widać w jeszcze jednym wymiarze, jakim jest duszpasterstwo w Laskach. „Laski były i dla »Kółka«, i dla innych związanych z księdzem Korniłowiczem środowisk, nie tylko zresztą świeckich, szkołą praktycznego uczenia się chrześcijańskiego świadectwa" – napisze Frankiewicz. Istotnie, to właśnie w tej wspólnocie najpełniej chyba realizuje się Ewangelia w praktyce Korniłowicza.

Tutaj jeszcze przed wojną ksiądz Władysław wraz z matką Elżbietą Czacką dokonują rzeczy niespotykanej. Realizują posoborowy ideał, który jeszcze dziś rzadko bywa spełniony – konsekwentnie zasypują przepaść dzielącą księdza od wiernych. W rekolekcjach kierowanych do księży w 1937 r. ks. Władysław mówił, że „każdy wierny mocą swego królewskiego kapłaństwa spełnia również funkcję kapłańską, ofiaruje nie tylko Chrystusa, ale i siebie. To jest jedna wielka Hostia w Kościele, to jest ofiara chrześcijańska". To zdanie jak żywcem wyjęto z soborowej konstytucji o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes".

W czasie wojny w Laskach działał szpital polowy i gdy teraz Franciszek powtarza, że właśnie tego typu placówka powinna być punktem odniesienia dla działalności Kościoła w świecie, to miejsce, którym opiekował się Korniłowicz, znakomicie realizuje jego wyznaczniki. Laski przyjmowały duchowo poranionych i pracując z nimi poprzez włączenie w codzienność wypracowywały nowe modele głoszenia w działaniu, łącząc świeckich i osoby duchowne we wspólnej pracy dla niewidomych. Słowo staje się ciałem cierpiącej osoby i dzieli się przez służbę dla niej.

> Franciszek powtarza, że punktem odniesienia dla Kościoła w świecie powinien być szpital polowy. **Laski przyjmowały duchowo poranionych**.

Laski służyły nie tylko niewidomym, również ludziom, o których siostra Radosława Podgórska powie „niewidomi na duszy": poszukującym prawdy i Boga, czasem zawiłymi drogami. „Wiadomo było, że ta służba jest skierowana do osób, które dążą do Kościoła i szukają do niego drzwi. Ksiądz Korniłowicz te osoby przyciągał w sposób zadziwiający swoim świadectwem – bo przecież nie krasomówstwem lub umiejętnością pociągania tłumów" – mówi s. Podgórska w wywiadzie dla Magazynu „Kontakt".

Magnes Korniłowicza, przyciągając poszukujących, otwierał też pole dla dialogu ekumenicznego i międzyreligijnego. Jeszcze przed pracą w Laskach Korniłowicz rozwijał w Warszawie oddział Chrześcijańskiego Związku Akademickiego, do którego należała również spora grupa ewangelików.

Ks. Władysławowi zależało na tym, by w deklaracji ideowej określić Związek jako organizację zajmującą się problematyką etyczną, co umożliwiałoby stworzenie chrześcijańskiej przestrzeni otwartej również na osoby innych wyznań czy ateistów. Ten pomysł natrafił jednak na opór, a kilka miesięcy później episkopat zakazał katolickim studentom uczestniczenia w ruchu. Sam Korniłowicz pozostał otwarty na innych.

Nie brak świadectw osób, do których Bóg dotarł przez tego księdza i jego zdolność towarzyszenia. Mniej ważna jest jednak ich liczba, ważniejszy sposób, w jaki przyciągał człowieka do Boga. „Wiara przed religijnością, Słowo przed dogmatem" – powie o nim Frankiewicz.

Kardynał Charles Journet, który odwiedzał Laski, był pod ogromnym wrażeniem przestrzeni wolności zbudowanej przez matkę Elżbietę i księdza Władysława. „Nie ma twardości ni wzgardy dla Żydów" – zauważył szwajcarski duchowny.

Widzieć osobę

Korniłowicz zbudował dom – nie tylko rekolekcyjny, lecz przede wszystkim taki, w którym nikt nie poczuje się źle. To przecież jego postulat, by wykreślić słowo „obcy" z naszego języka.

Do beatyfikacji trzeba cudu, ale w życiu Korniłowicza nie ma co go szukać na siłę. Jego cud to po prostu sposób pojmowania chrześcijaństwa. Nie widział w nim masowego ruchu, który oddawałby się w ręce jakiejś ideologii czy doraźnym celom. To nie indywidualne czy zbiorowe marsze do Boga albo „abstrakcyjne wykuwanie duszpasterskich programów", napisze Frankiewicz. To nie gra idei ścierających się bez pożytku dla duszy konkretnego człowieka.

Ksiądz Korniłowicz przez chrześcijaństwo rozumiał widzenie w każdym osoby – niezależnie od wszystkiego. Mówił, że miarą naszej wiary jest, „jeśli nasz stosunek do każdego człowieka, nawet najgorszego, najbardziej jak gdyby wynaturzonego, będzie taki, że dojrzymy w nim to, czego może w tej chwili tam nie ma, ale co może się obudzić, zaistnieć: podobieństwo z Bogiem, obraz Boży".

© KAROL KLECZKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 1206/16 toczy się z wniosku m.st. Warszawy sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Marianie Stefańczyku, s. Juliana i Władysławy, ur. 2 lutego 1960 r. w Warszawie, zm. 22 maja 2013 r. w Warszawie i ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie, ul. Staszica 18 m.15.
Sąd wzywa wszystkich spadkobierców wyżej wymienionej osoby, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 440/18 postępowanie z wniosku Wierzytelności Glob Sp. z o.o. sp. k., o stwierdzenie nabycia spadku po Genowefie Pankowiak, zm. 4 grudnia 2017 r., ostatnio zamieszkałej w Witaszycach. Skład spadku po zmarłej nie jest znany.
Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia:
Donosiciel

Z kilku źródeł dotarła już do mnie wieść o człowieku, który w różnych rejonach warszawskiego Śródmieścia krąży uzbrojony w przytroczone bodaj do czapki dwie kamery (towarzyszą mu też dwa znacznych rozmiarów psy) i precyzyjnie rejestruje wszystkie, nawet najdrobniejsze przewinienia współobywateli. Wystarczy, że o parę centymetrów przekroczysz linię wyznaczającą parking, zostawisz na chodniku o centymetr mniej miejsca dla pieszych albo w tej samej skali nie zachowasz przepisowej odległości od przystanku czy skrzyżowania, że publicznie zaklniesz albo na Bulwarach Wiślanych – gdzie jeszcze niedawno nie wolno było tego robić – uraczysz się piwkiem, ów dżentelmen od razu zgłasza sprawę na policję lub straż miejską (i jest, jak informują moje źródła w tychże, doskonale znany obu instytucjom). To on w minionych już czasach nadwiślańskiej prohibicji odpowiadał za znaczną część nalotów na wypoczywających tam przy butelce warszawiaków, niektóre z interwencji skutkowały dziesiątkami nakładanych mandatów.

Jak wytłumaczył mi ostatnio jeden ze stróżów prawa, ów pan ma w całej tej działalności nie tylko interes opierający się na miłości do przestrzegania zasad. Namiętnie poluje bowiem właśnie na „graniczne", błahe przypadki, wie bowiem, że wtedy często przyłapani przez służby unoszą się honorem, apelują do zdrowego rozsądku, odmawiają przyjęcia mandatu, a wniosek trafia do sądu. Do którego wzywany jest na świadka właśnie ów zgłaszający. A sąd, zgodnie z prawem, ma obowiązek świadkowi lub biegłemu, którzy o to poproszą, zwrócić koszt utraconej w pracy dniówki. W sytuacji, gdy zgłaszający prowadzi więc jakąś tam działalność, w poważnej części nie musi jej już *de facto* prowadzić, bo na chleb z masełkiem ma od Skarbu Państwa.

Abstrahując jednak od motywacji obywatela-donosiciela, gdy usłyszałem o nim, zacząłem zmagać się sam z sobą nad pytaniem: co tak naprawdę ja o tym myślę, jak oceniam samą jego postawę pedantycznego zgłaszania władzom nawet najdrobniejszych przewinień współbliźnich. Bo tak: z jednej strony są to przecież jednak przewinienia. Ustanowiliśmy prawo, zasady postępowania, które obowiązują nas wszystkich, dzięki czemu możemy sprawnie razem funkcjonować, szanując granice swojej wolności, wzajemnie się swoimi partykularyzmami nie pozabijać. Bo przecież wiadomo, że czasem „od rzemyczka do koniczka", a – jak głosi mądrość ludowa kryminologii – nieprzestrzeganie reguł w drobnych rzeczach tworzy klimat, w którym łatwiej jest nie przestrzegać ich w większych (tu nasuwa się skojarzenie z ćwiczoną choćby w Nowym Jorku w latach 90. ub.w. – i wcale jednak nie tak jednoznacznie wspaniałą – zasadą „zero tolerancji"). Bo dziś zgłosi on jakąś pierdółkę, ale dzięki temu ktoś na tym przyłapany jutro nie zablokuje np. o te parę centymetrów przejazdu wozowi straży pożarnej czy karetce pogotowia jadącym na ratunek moim bliskim.

Z drugiej strony jednak niewiele jest przecież bardziej destrukcyjnych dla wspólnoty rzeczy niż litera prawa, z której wyparował duch. Sytuacja, gdy kodeks zamiast być elementem wspólnototwórczym, staje się narzędziem ślepej na okoliczności i jednostkowy wymiar każdego czynu zero-jedynkowej represji. Oczywiście, każde ze zgłoszeń gorliwca rozpatrzy jeszcze przecież sąd i to on ostatecznie zważy czyn. Pan donosiciel czy przyjmujący zgłoszenie policjant nie musi być absolwentem prawa, sędzia z pewnością nim jest i wysłuchał iluś tam wykładów z owego prawa filozofii, uczony jest tego, by wniknąć w naturę prawnej normy. Tu można by rzecz jasna skręcić w refleksję nad tym, jak ważne są więc niezależne sądy w życiu społeczności, która bez nich zmienić się może w dyktaturę prokuratorów. W mojej ocenie działania warszawskiego donosiciela przeważa jednak ostatecznie argument czysto utylitarny: zasypywanie przezeń odnośnych organów setkami błahych zgłoszeń angażuje ich zasoby, które mogłyby poświęcić na „obsłużenie", ale i profilaktykę dużo poważniejszych, naprawdę dramatycznych sytuacji.

Spokoju nie daje mi jednak jeszcze jeden wątek: samego donoszenia. Pamiętam sytuację, w której do mojego wiejskiego domu położonego parę kilometrów od białoruskiej granicy przyjechali pogranicznicy z prośbą, bym sprawdził, czy w mojej stodole nie ukrywa się przypadkiem rodzina z któregoś z krajów Azji, która nielegalnie przekroczyła granicę. Nie poszli ze mną, poszedłem do stodoły sam. Tych kilkanaście sekund marszu, podczas których zastanawiałem się, co powiem, gdy otworzę te drzwi i zobaczę wpatrzone we mnie oczy męża, żony, dzieci, którzy poświęcili pewnie wszystko, co mieli, żeby dostać się aż tutaj, i z którymi nawet nie śmiałbym się porównywać, jeśli idzie o komfort życia, zamieniło się w wieczność. Nie było ich tam. A gdyby byli? Powinienem okazać się dobrym obywatelem czy dobrym człowiekiem? Jasne, że wykroczenia parkingowe, zakłócanie ciszy nocnej czy nawet kanty podatkowe, o których wiedzę powziąłem, to inny ciężar spraw. Zauważam jednak w sobie blokadę, która pozwala mi przekroczyć próg donosu tylko wtedy, gdy widzę, że komuś z tego powodu realnie dzieje się krzywda. Że najpierw wolę pogadać z nim samym, osadzić to wszystko nie w kontekście kodeksu, lecz relacji. Jasne, że czasem się nie da, ale czy to wystarczający powód, żeby nigdy nie próbować? Przepraszam, że wszystko kojarzy mi się z jednym, ale nie umiem uciec jednak i od kontekstu Jezusa, który dochodzenia swoich, słusznych i uzasadnionych, praw wcale nie postawił na szczycie drabiny chrześcijańskich cnót. „Rację masz, ale jakie z tego dobro?" – to genialne zdanie księdza Józefa Tischnera to więc chyba najbardziej wyczerpujący komentarz do działalności będącego zapalnikiem tych rozważań pana, którego (nad)gorliwości powinni wystrzegać się jak ognia mieszkańcy Solca, Powiśla, Północnego i Południowego Śródmieścia. ©

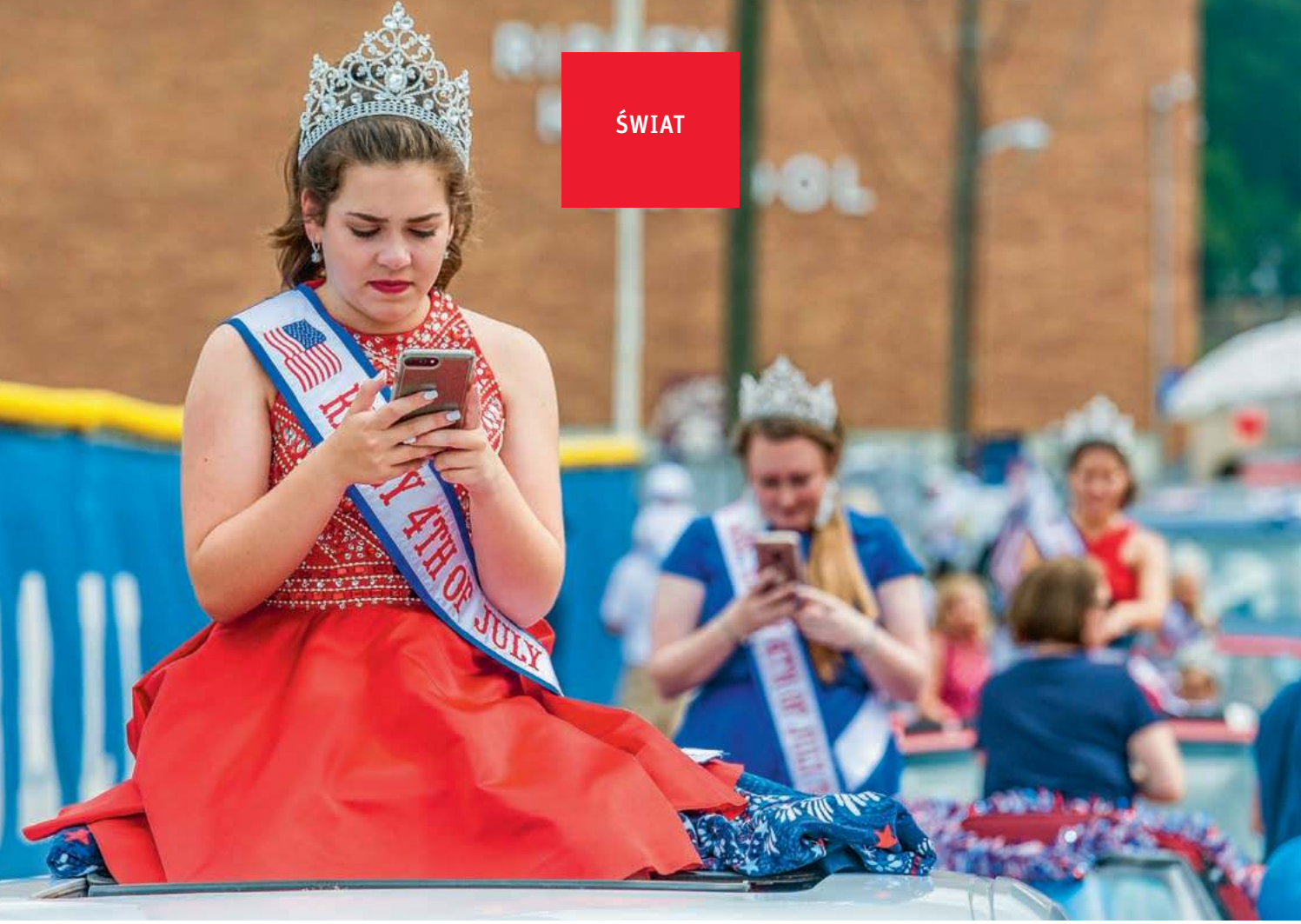

BIEDA I DUMA WIRGINII ZACHODNIEJ

To także Ameryka: prowincjonalna, żyjąca w innym rytmie niż metropolie, pielęgnująca swój patriotyzm. Miejsce zwykłe, choć niezwyczajne.

JAN SMOLEŃSKI Z RIPLEY (USA)

W Ripley, niewiele ponad trzytysięcznym miasteczku, czerwień, biel i błękit są wszechobecne. Amerykańskie flagi powiewają na masztach, słupach i rogach domów. Zwisają na balustradach mostu i ośmiobocznej altanki na trawniku przed budynkiem sądu hrabstwa Jackson.

Są w witrynach sklepów, dekorują afisze, a nawet zdobią ściany restauracji, w której z moją narzeczoną Erin jemy późny lunch.

– Wesołego Dnia Niepodległości, okej? – mówi kelnerka, gdy wychodzimy. To „okej" intonuje tak, jakby chciała się upewnić, że radę, aby się dobrze bawić, weźmiemy sobie do serca.

W końcu Ripley organizuje – jak chwalą się jego władze – „największe małomiasteczkowe obchody Święta Niepodległości" w całych Stanach Zjednoczonych.

Miasteczko, jakich wiele

To typowe miasteczko. Centrum jest skupione przy dwóch skrzyżowaniach, zaraz obok górującego nad okolicą budynku sądu.

Jak przystało na miejscowość w Wirginii Zachodniej – stanie z bardzo libe-

Królowa Nastolatków Madison Stellato (na pierwszym planie) oraz Królowa Ripley Megan Crow (w tle) podczas parady z okazji Dnia Niepodległości. Ripley, 4 lipca 2019 r.

CRAIG HUDSON / CHARLESTON GAZETTE-MAIL / AP / EAST NEWS

ralnym prawem dotyczącym dostępu do broni palnej – Ripley ma sklep z bronią o wdzięcznej nazwie „Lock and Load" (w wolnym przekładzie: „Ładuj broń"). W szyldzie oba „o" zastąpiono tarczami strzeleckimi. Zaraz obok znajduje się lombard, w którym oprócz używanych narzędzi i biżuterii można kupić broń oraz damskie torebki ze specjalną kieszonką na pistolet. W butiku z odzieżą, wydawałoby się dla hipisów, między mydełkami i ciuchami w kwiaciaste wzory można znaleźć koszulki firmy RAM. Firma znana jest z produkcji ogromnych pick-upów, które jednoznacznie mówią, jak ważna dla ich właścicieli jest druga poprawka do konstytucji i wynikające z niej prawo do posiadania broni.

W Ripley ludzie wiedzą swoje.

– Oni – mówi mi właściciel salonu fryzjerskiego, przejeżdżając trymerem ponad moim uchem – chcą usunąć George'a Washingtona. Chodzi o to, że miał niewolników, o traktowanie Indian i takie tam.

Fryzjer komentuje tak niedawną historię z San Francisco. Tamtejsze lokalne władze podjęły decyzję, by zamalować mural przedstawiający m.in. jednego z ojców założycieli i pierwszego prezydenta USA. Kontrowersje budziła postać pioniera stojącego nad ciałem zabitego Indianina oraz czarni niewolnicy należący do Washingtona przy pracy. Sama decyzja również wzbudziła kontrowersje, bo niektórzy uważali, że powinno się otwarcie mówić o wstydliwych (dziś) momentach z życia bohatera narodowego. No i nikt nie proponował, by o Washingtonie w ogóle zapominać.

– Istnieje pewien element – kontynuuje niezmożony golibroda, przejeżdżając trymerem po mojej skroni – który chce ci powiedzieć, jak masz myśleć, tam na uniwersytetach i takie tam. Chcą wszystko zmienić, konstytucję, prawa, po to, żeby były wyższe podatki, o to im chodzi. Wolność – wyjaśnia, niemal bezbłędnie cytując Thomasa Jeffersona (drugi prezydent USA znany był z dość radykalnych poglądów) – można utrzymać tylko dzięki „wiecznej czujności". Na razie jesteśmy wielcy, ale to może niedługo się skończyć – dodaje.

Za tę lekcję zdrowego rozsądku i zepsucie fryzury (co przy kręconych włosach, jak moje, jest wyczynem) inkasuje 10 dolarów.

W centrum miasteczka jest bar z nie najgorszym piwem, przeciętną pizzą i wybitną kanapką z klopsikami. Barman, gdy tylko dowiaduje się, że jestem z Polski, mówi z szerokim i szczerym uśmiechem: „*Welcome to America*".

Tuż obok baru jest knajpa – o oryginalnej nazwie „Restauracja w Centrum" – serwująca typowo amerykańskie śniadania i lunche. Kelnerka mruga okiem i proponuje, że podkradnie dla mojej narzeczonej więcej frytek z frytkownicy. Ripley jest szalenie gościnne.

Na wschód od Missisipi

Nikt nie sprawdził, czy roszczenia Ripley do tytułu największych małomiasteczkowych obchodów Dnia Niepodległości są uzasadnione. Muszę wierzyć bywalcom na słowo.

Jeden z nich, który na co dzień mieszka w Teksasie i co roku przyjeżdża do Ripley, zapewnił mnie, że są to największe obchody przynajmniej na wschód od rzeki Missisipi. Biorąc pod uwagę, że jest to niemal pół kraju, to nie mogą być małe.

Większość atrakcji odbywa się na trawniku przy budynku sądu hrabstwa. Tutaj stoi scena, zasponsorowana przez lokalnego sprzedawcę samochodów. Niedaleko mieści się stoisko z hot dogami i hamburgerami, tuż obok sprzedają tacosy i burrito. Jeśli ktoś jest spragniony, zawsze może kupić napoje gazowane: od coca-coli przez smakujące jak czereśniowa guma do żucia dr pepper po upiornie słodkie mountain dew, które tylko dobrze wytrenowane amerykańskie podniebienie jest w stanie znieść.

Jest stoisko z czapkami bejsbolowymi – jeśli komuś brakuje nakrycia głowy – z nadrukami wszelkiej maści: od wyraźnie odwołującego się do indiańskiego dziedzictwa napisu „rdzenna duma" przez bielika amerykańskiego (symbol USA) po flagi Południa z czasów wojny secesyjnej. Tego Południa, które w 1861 r. postanowiło odłączyć się od Stanów Zjednoczonych.

Istniejący wówczas stan Wirginia przystąpił najpierw do Konfederacji, ale dwa lata później jego północno-zachodnia część dokonała „secesji od secesji": w proteście przeciw niewolnictwu odłączyła się od Konfederacji i od Wirginii oraz dołączyła do Unii, tworząc nowy stan: Wirginię Zachodnią (liczący dziś niespełna 2 mln mieszkańców, słabo zaludniony – jak na obszar wielkości dwóch województw mazowieckich).

Broń nasza powszechna

Wróćmy do naszego Ripley.

Swój namiot rozstawili tu nawet członkowie Obywatelskiej Ligi Obrony Wirginii Zachodniej. W swoim logo mają skrzyżowane starodawną strzelbę i AR-15 – niesławny karabin samopowtarzalny, powszechnie używany przez sprawców masakr szkolnych w USA – z amerykańską flagą i obrysem Wirginii Zachodniej w tle. Mają też flagę z napisaną po starogrecku frazą: słowami przypisywanymi Spartanom stawiającym opór Persom pod Termopilami, a obecnie przejętymi przez skrajną prawicę i zwolenników powszechnego posiadania broni. *Molon labe* oznacza dosłownie „chodź i weź" (spartański wódz Leonidas miał tak odpowiedzieć perskiemu królowi, gdy ten zażądał kapitulacji i oddania bronionego przesmyku). Twórcy flagi popełnili błąd i zamiast *molon labe* napisali „molon labs", co po starogrecku nic nie oznacza.

Obywatelska Liga Obrony twierdzi, że jej celem jest ochrona wolności właścicieli broni. Jednak trudno sobie wyobrazić, aby w Wirginii Zachodniej była ona zagrożona. Ich postulaty najwyraźniej nie budziły szczególnego zainteresowania, bo po południu zwinęli się, a ich miejsce zajął punkt rekrutacyjny Gwardii Narodowej [odpowiednik polskich Wojsk Obrony Terytorialnej – red.], z szalenie sympatycznym sierżantem Chrisem Hissemem.

Przecznicę od skweru przy sądzie, na wybetonowanym placu, rozstawiło się wesołe miasteczko. Jest obowiązkowy diabelski młyn. Są karuzele – i te powolne, dla małych dzieci, i te zwariowane, kręcące się tak szybko wokół różnych osi, że od samego patrzenia można dostać zawrotów głowy.

Jest strzelnica z wiatrówkami. Obok niej stoi kilka stanowisk, gdzie za trafienie rzutką do balona można wygrać pluszowego misia. Wyjątkową popularnością wśród młodych mężczyzn cieszy się namiot, w którym można wygrać składane noże. Na obracających się pośrodku namiotu dyskach stoją wbite na sztorc ↦

noże. Dyski obracają się bardzo szybko, a aluminiowe kółka, które trzeba zarzucić na stojące noże, są bardzo małe. Ale to nie odstrasza śmiałków.

Lampki i neony zdobiące atrakcje błyskają z każdej strony, a piski roześmianych dzieciaków i podekscytowanych nastolatków mieszają się z płynącą z głośników muzyką i hukiem maszyn.

Koszulka w trzech barwach

Ulotka informacyjna zawiera rozpiskę świątecznych wydarzeń, zaplanowanych na długie pięć dni. Zaczynają się już 2 lipca – od wyświetlenia filmu o ostatniej publicznej egzekucji w Ripley (powtórka będzie 6 lipca, jakby ktoś przegapił), a zakończą koncertem 7 lipca.

Największa moc atrakcji jest oczywiście w sam Dzień Niepodległości, 4 lipca. Wszystko zaczyna się o dziewiątej rano, od „Godziny małego patrioty", w której uczestniczą Batman i Kapitan Ameryka. Osoby bez dzieci mają do wyboru tradycyjne śniadanie w pobliskim kościele. Za 6 dolarów od osoby można się najeść kiełbasek i naleśników polanych bardzo słodkim syropem, ile tylko dusza zapragnie.

O jedenastej trzydzieści zaczyna się zwyczajowy bieg na dystansie dwóch mil. Niektórzy swój start biorą bardzo poważnie – ich rozgrzewka rozpoczęła się jeszcze przed jedenastą na parkingu za kościołem – inni traktują go nieco bardziej na luzie. W biegu uczestniczą całe rodziny.

„Mamo, noga mnie boli. Nie mogę biec" – mówi ociągająca się dziewczynka.

„Nic nie szkodzi. Nie musimy się spieszyć. Musimy tylko dobiec do końca" – odpowiada mama.

Linię mety przebiegną jako jedne z ostatnich, trzymając się za ręce. Towarzyszą temu gromkie brawa.

Wielu uczestników biegu ma na sobie barwy narodowe. Jeden z nich męczy się w ciężkich płóciennych ogrodniczkach, w biało-czerwone paski i z błękitną kieszenią w białe gwiazdy na piersi. Inny założył na siebie flagę niczym pelerynę. Ale przebił go młody chłopak, który całą dwumilową trasę przebiegł, trzymając flagę na drzewcu w obu rękach.

Wśród gapiów flaga amerykańska jest obowiązkowym elementem stroju.

Patriotyczne ubranie można zaimprowizować. Założyć np. błękitną koszulkę w gwiazdki i dołożyć czerwoną bandanę. Opcją jest również pofarbowanie sobie włosów w barwy narodowe, ale ryzykuje się wtedy, że kolory spłyną wraz z potem.

Dominują koszulki z mniej subtelnymi nadrukami.

Młody mężczyzna w koszulce z hasłem „Grill, piwo, wolność" – każde słowo wypisane innym kolorem – stoi obok starszego, którego napis głosi, że amerykańskie barwy nigdy nie bledną. Jeszcze inna koszulka przypomina, że Stany to *land of the free because of the brave:* ziemia ludzi wolnych dzięki poświęceniu ludzi odważnych. Na kolejnej Abraham Lincoln (prezydent Unii z czasów wojny secesyjnej) z ręką przy uchu informuje, że nie może nic usłyszeć z powodu „hałasu wolności".

Czasami sama koszulka to za mało. Wtedy można do niej dobrać odpowiednie szorty albo bejsbolówkę. Dziewczyny mają tutaj większe pole do popisu: mogą sobie zrobić makijaż w barwy narodowe i odpowiednio umalować paznokcie.

Bywa jednak i tak, że koszulka musi wystarczyć, nawet jeśli jest brudna i powyciągana lub popruta i poplamiona. Zwłaszcza gdy jest jedyną taką w szafie.

Miasto, które wierzy

Gwóźdź programu to parada. Zaczyna się punktualnie w południe.

Bardziej zapobiegliwi zaczęli zajmować sobie dogodne miejscówki jeszcze przed dziewiątą. Inni, słusznie spodziewając się upału, poustawiali przy krawężnikach namioty. Mniej zapobiegliwi muszą walczyć o skromny cień lub liczyć na chwilową ulgę, gdy słońce przysłonią płynące niebem chmury.

Czego to nie ma na tej paradzie. Są platformy reklamowe lokalnych firm, które sponsorują paradę. Afiszują się politycy: ci, którzy chcą utrzymać się na stanowiskach, jak i ci, którzy chcą zająć ich miejsce. W pochodzie jedzie miejscowy szeryf i jego dwóch konkurentów. Szyldy na jednym z samochodów nawołują do reelekcji obecnego magistratu hrabstwa, a na innym do wyboru nowego. Są pojazdy dwóch pretendentów do fotela gubernatora stanu. Brakuje jedynie kandydatów na burmistrza Ripley.

W paradzie jadą też królowe piękności każdej możliwej okazji, byłe i obecne. Jest Miss Czwartego Lipca i Miss Nastolatek Czwartego Lipca. Jest królowa piękności Czwartego Lipca w kategorii wiekowej poniżej dwunastu lat, królowa w wieku przedszkolnym, a nawet niemowlaków. Każda z nich ma oddzielny sportowy kabriolet, z którego pozdrawia gapiów kiwnięciem ręki – jeśli jest na tyle duża, by to zrobić. Są Miss Festiwalu Czekolady wszelkich możliwych kategorii wiekowych, a nawet Miss Festiwalu Indyka, który odbywa się z okazji Święta Dziękczynienia.

W paradzie uczestniczą też zabytkowe auta – niektóre przyjechały spoza stanu – oraz traktory z lat 50. lub 60. ubiegłego wieku. W starym powozie siedzą jak żywi Washington (ten, którego „oni chcą usunąć") i Lincoln. Jest ekipa łowców burz i pogodynek z Kanału Trzynastego lokalnej telewizji. Miejscowy Pan Chmurka biega od krawężnika do krawężnika i zbija piątki z gapiami.

Między tym wszystkim jadą platformy lokalnych Kościołów. Ripley bowiem, jak informuje tablica przy wjeździe do miasta, wierzy, a 4 lipca, jak informują napisy na kościelnych platformach, Ripley wierzy w patriotyzm.

Lokalny Kościół baptystów zrobił rekonstrukcję słynnego zdjęcia z Iwo Jimy. Na tej fotografii, wykonanej podczas walk z Japończykami o wyspę na Pacyfiku w 1945 r., kilku żołnierzy amerykańskich stawia na górze Suribachi (najwyższym punkcie wyspy) maszt z powiewającą flagą USA. Obraz ten na stałe wrył się w powszechną świadomość Amerykanów. W Ripley inscenizacja nie wygląda tak imponująco: flaga smętnie zwisa w bezwietrzny dzień. Nie przeszkadza to jednak, by przejazd platformy z rekonstrukcją fotografii zdobył największe brawa.

Ze wszystkich samochodów i platform w stronę obserwatorów sypią się cukierki. Dzieciaki rzucają się na nie – najłapczywiej te najbiedniej ubrane. To one też będą sobie napychały buzię trzema lizakami naraz.

Paradę zamykają jeźdźcy na koniach, wszyscy poubierani niczym zdobywcy Dzikiego Zachodu z czasów ekspansji USA w kierunku Pacyfiku. Stojący obok nas może dziesięcioletni brzdąc, wskazując palcem na środek ulicy, oznajmia: – Tato, tato, koń zlobił kupę i cała ulica telaz będzie śmieldzieć!

Jest upał, trudno nie przyznać chłopcu racji.

Nikt nie odejdzie z kwitkiem

Swoją reputację – miasteczka urządzającego największe małomiasteczkowe ob-

JAN SMOLEŃSKI

Inscenizacja walk na Iwo Jimie w 1945 r. podczas parady z okazji Dnia Niepodległości. Ripley, 4 lipca 2019 r.

chody Dnia Niepodległości w kraju – Ripley zawdzięcza w dużej mierze swojej burmistrzyni Carolyn Rader.

Rader robi wiele, by rozreklamować imprezę. Podczas gdy w wielu innych miejscach tradycja miejskich obchodów umarła i zastąpiły ją grille, piwo i oglądanie uroczystości z Nowego Jorku lub Waszyngtonu w telewizji w rodzinnym gronie, w Ripley tradycja ma się dobrze.

Gdy wspominam, że to właśnie największe małomiasteczkowe obchody Dnia Niepodległości mnie przyciągnęły, Rader teatralnym szeptem odpowiada, że w zasadzie to nie wie, czy to prawda, ale i tak publicznie to powtarza. Coś musi jednak w tych obchodach w Ripley być, bo zjeżdżają się na nie nie tylko mieszkańcy okolicznych miasteczek i dolin, ale też osoby z ościennych stanów Kentucky i Ohio.

– Przygotowanie takich obchodów wymaga bardzo dużo pracy – mówi Rader. – W przyszłym tygodniu, jak co roku, siądziemy z moimi współpracownikami i będziemy oceniać, co poszło dobrze, a co nie tak.

Parada i stanowiska z jedzeniem, piciem i różnymi akcesoriami, twierdzi burmistrzyni Rader, to nie problem. Ludzie sami się zgłaszają, a ona nikogo nie odsyła z kwitkiem – być może dlatego na trawniku przed sądem stał namiot ekstremistycznych zwolenników posiadania broni, a w paradzie wziął udział lokalny oddział Partii Demokratycznej.

Natomiast, jak tłumaczy mi burmistrzyni, prawdziwym wyzwaniem jest wybrać zespoły na koncert. Nie wszystkie przecież się zna, a nie daj Bóg wybierze się źle i ludziom się nie spodoba. W tym roku na szczęście komitet wybrał dobrze: w popołudniowej rozpisce znajdują się Rockland Road z Nashville w Tennessee oraz Exile z Richmond w Kentucky. Piosenka tych ostatnich znalazła się nawet w soundtracku produkowanego przez Netflix serialu „Manhunt".

Burmistrzyni Rader nie pozostawia wątpliwości, kto w Ripley rządzi. Gdy podejrzewa, że pewna rodzina rozrzuca petardy, wstaje ze swojego miejsca i tak ich obsztorcowuje, że na baczność staje nawet groźnie wyglądający osiłek w czapce z flagą Konfederacji i dumnym napisem *Rebel*.

Rader, rodowita mieszkanka hrabstwa Jackson, wcześniej była nauczycielką, a potem dyrektorką w miejscowej szkole. Gdy przyszedł czas na emeryturę, zdecydowała, że wejdzie do lokalnej polityki. Jej hasłem jest: „Naprawmy to miasto". Zajęła się infrastrukturą, przede wszystkim wodociągami.

Ale mieszkańcy uwielbiają ją za coś innego. – Co piątek, czy to lato, czy zima, stoi na rogu i macha amerykańską flagą, gdy przejeżdżają autobusy szkolne – mówi z nieukrywanym podziwem Charlie, były żołnierz.

Dla naszych weteranów

W hrabstwie Jackson, jak powiedział mi Charlie, mieszka wielu weteranów. Krajowa średnia to około 1,3 proc. populacji. W Jackson to grubo ponad 8 proc.: co dwunasty mieszkaniec hrabstwa służył kiedyś w armii USA. Słupy latarni w centrum miasta obwieszone są portretami miejscowych weteranów, a przed budynkiem sądu stoi pomnik z nazwiskami poległych poza granicami kraju.

– W drugim roku mojego urzędowania ktoś powiedział mi, że powinniśmy więcej robić dla naszych weteranów. Zorganizowałam wtedy na Dzień Weteranów paradę dla ponad czterdziestu uczestników II wojny światowej – mówi burmistrz Rader. – W następnym roku nasza parada miała już ponad 780 uczestników, weteranów wielu konfliktów.

Do zaciągnięcia się do sił zbrojnych zachęca sierżant Chris Hissem z Gwardii Narodowej. Na stoliku pod namiotem ma ulotki informacyjne o historii tej formacji. Ale, jak mówi, rzadko kiedy ludzie sami z siebie podchodzą i zadają pytania. Dlatego chodzi od grupki do grupki, od rodziny do rodziny, z lodówką kempingową pełną słodyczy i zagaduje.

Hissem w Gwardii Narodowej służy od 26 lat. Zaciągnął się, bo jak wielu innych w podobnej sytuacji uznał, że tylko w ten sposób będzie mógł sfinansować studia. Potem odnawiał swój kontrakt ze względu na ludzi, których poznał w koszarach.

– W końcu zorientowałem się, jak niewiele brakuje mi do wojskowej emerytury i powiedziałem sobie, że teraz to już na pewno nie mogę zrzucić munduru – mówi. ↦

Gdy rozmawiamy z sierżantem Hissemem, podbiega do nas umorusany chłopiec. Wstydzi się poprosić o mrożoną wodę z syropem w plastikowej tubce, które Hissem rozdaje. Sierżant jednak doskonale rozpoznaje marzenie malca i sięga do biwakowej lodówki.

Stan biedy, stan kryzysów

W ruchach sierżanta nietrudno zauważyć moment zawahania, gdy zaraz za chłopcem podchodzą jego mama i babcia. Obie nie mają zębów, wzdęty brzuch starszej z kobiet wskazuje na problemy z wątrobą, a charakterystycznie zniszczona cera podpowiada, że to przynajmniej w części przez alkohol.

Ten widok to bolesne przypomnienie, że Ripley, mimo największych małomiasteczkowych obchodów Dnia Niepodległości, to nawet w tych dniach Wirginia Zachodnia – ze wszystkimi jej problemami.

A jest to stan znany z „zębów mountain dew", czyli bolesnych problemów z uzębieniem, które zwłaszcza u dzieci powodowane są przez nadmierne spożywanie cukrów. Nazwa wzięła się od rzekomego procederu wlewania słodkiego do mdłości napoju dzieciom do butelek i obecnie jest synonimem złych nawyków żywieniowych.

Wirginia Zachodnia to region zmagający się z uzależnieniami od alkoholu i narkotyków. O tym, że hrabstwo, tak jak cały stan, walczy z epidemią opioidów [patrz „TP" 26/2019 oraz na powszech.net/opioidy – red.], świadczy punkt leczenia substytucyjnego tuż obok wesołego miasteczka.

Są też subtelniejsze znaki, czytelne dla wtajemniczonych. Ten gość, zbyt radośnie tańczący do muzyki lecącej z głośników, jest ewidentnie pod wpływem opiatów. Ta dziewczyna z brzydkim tatuażem na plecach, ciałem siedemnastolatki i zapadniętą twarzą ma problemy z metamfetaminą. Podobnie jak para obok – oni mają porozdrapywane strupy na nogach i twarzy, jeden z niepożądanych objawów uzależnienia od tego narkotyku.

Wirginia Zachodnia to także jeden z najbiedniejszych stanów USA. I ta bieda jest obecna również w Ripley.

Zdradzają ją budynki. Zaraz obok sądu, za sceną, przy której trwają uroczystości, znajduje się osiedle przyczep kempingowych, tradycyjnie przeznaczone dla najbiedniejszych. Między przyczepami bawią się bose dzieciaki. Biedę można poznać po zniszczonej kiepskim jedzeniem – i nie tylko – cerze oraz zaniedbanych zębach i włosach.

Najwyraźniej jednak widać ją w ubiorze: w powyciąganych i poplamionych tiszertach, w za dużych i brudnych spodniach, w ciężkich butach noszonych w środku lata, bo ma się tylko jedną parę, i to zazwyczaj o kilka numerów za dużą, ponieważ jedynie taka była na przecenie.

To właśnie niższe warstwy społeczne z regionów o wysokim bezrobociu – takich jak Wirginia Zachodnia – zasilają amerykańską armię. Wojsko może wydawać się jedynym sposobem, aby się stąd wyrwać.

Nasza wdzięczność, nasza duma

– Dzień Niepodległości to sposobność, by okazać wdzięczność za naszą wolność i podziękować żołnierzom służącym naszemu krajowi – mówi Brenda. Sama w Ripley nie mieszka, ale w jej głosie słychać dumę, gdy mówi o Dniu Niepodległości w Ripley. W końcu mieszka w tym samym hrabstwie.

Z ośmiobocznej altanki obserwujemy koncert. Obok nas siedzą dwie rodziny. Powyciągane poplamione podkoszulki, za duże brudne spodnie. Jedna kobieta na spuchniętych stopach ma japonki. Dziesięcioletni może chłopiec nosi ciężkie kalosze, które z pewnością byłyby na mnie za duże.

W przerwie między występami odbywa się konkurs wiedzy patriotycznej. Prowadzący schodzi ze sceny i z mikrofonem w ręku czyta publiczności pytania. Kto napisał Deklarację Niepodległości? To był Thomas Jefferson, ale jako pierwsze pada nazwisko Benjamina Franklina. Którego dnia w lipcu 1776 r. Kongres Kontynentalny przegłosował Deklarację Niepodległości? Drugiego, ale ktoś proponuje piętnastego. To pytania z podstawowej wiedzy o historii USA, ale ciężko o prawidłowe odpowiedzi.

Dlaczego 4 lipca jest dla niej ważny, pytam Brendę, kiedy pada kolejne pytanie.

– Jestem dumna z tego, że jestem Amerykanką.

© JAN SMOLEŃSKI

Rekonkwista na nowy wiek

PAULINA MAŚLONA
Z TERRASSY I BARCELONY

Popiera ich kilka, chwilami kilkanaście procent Hiszpanów. Większość deklaruje, że się ich obawia. Na czym polega fenomen nowej prawicowej partii Vox? I co mówi o Hiszpanii?

Javier Ortega Smith, 47-letni adwokat, wskakuje do wody. Dopłynięcie do wybrzeża Gibraltaru – brytyjskiej enklawy – ma mu zająć około dwóch godzin.

FORUM

Lider Vox, Santiago Abascal, świętuje dobry wynik swojej partii w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Madryt, 26 maja 2019 r.

„Prądy na tym odcinku bywają lodowate. Trzeba wiedzieć, jak płynąć, żeby się nie przemęczać" – zrelacjonuje później przejęty.

Pokonanie takiego dystansu wpław to wyzwanie. Dlatego kiedy w końcu triumfalnie wynurza się z fal, koledzy z partii Vox oddychają z ulgą.

Zaczyna się wyścig z czasem: wspinaczka, nerwowe rozmowy, kolejne próby wybrania odpowiedniego miejsca. W końcu w podniosłej atmosferze realizują cel wyprawy: na jednym z pagórków rozkładają ogromną hiszpańską flagę. I uciekają, zanim pojawi się brytyjska policja.

198 metrów kwadratowych materiału – dowód na to, że Gibraltar został odzyskany. Nawet jeśli tylko na 20 minut.

Alicia wierzy w jedność Hiszpanii

Poza głosami wsparcia nielicznych fanów – w postaci komentarzy „Viva España!" i innych patriotycznych okrzyków – wideo uwieczniające symboliczne odbicie Gibraltaru nie przynosi zamierzonego efektu. Do partii nie garną się nowi sympatycy, media sprawę praktycznie ignorują. Jeśli chcielibyśmy porównać do czegoś reakcję większości Hiszpanów na wyczyn Ortegi Smitha, byłoby to pewnie lekkie rozbawienie. A może wzruszenie ramion.

W chwili gdy działacze Vox dokonują symbolicznego odbicia enklawy, latem 2016 r., partia ta – której Ortega Smith jest sekretarzem generalnym – wciąż odgrywa raczej rolę klasowego błazna niż poważnego politycznego przeciwnika. W wyborach uzyskuje zaledwie 0,2 proc. poparcia i niewielu wierzy, że kiedykolwiek uda im się poprawić ten wynik. Powód? Poglądy Voxu uchodzą za zbyt radykalne, by zainteresować nimi społeczeństwo, które wciąż pamięta dyktaturę Franco.

Półtora roku później przez Hiszpanię przechodzi jednak polityczna burza, czyli referendum w sprawie niepodległości Katalonii. To wielkie narodowe zamieszanie staje się dla Voxu okazją do znalezienia nowych sympatyków.

Takich jak Alicia Tomás Martínez, która na marszu zwolenników jedności kraju dostrzega maszerującego Javiera Ortegę Smitha.

– To był jedyny polityk, którego widywałam na patriotycznych imprezach – wspomina dziś Alicia. – Koleżanka wskazała mi go palcem. Wytłumaczyła, że tylko Vox może zrobić porządek z separatystami. Spodobał mi się od razu, bo nie było za nim kamer, niczego nie udawał.

Alicia mówi o sobie: matka trójki dzieci, fryzjerka, prawdziwa patriotka. Wraz z rodziną żyje w dwustutysięcznym mieście Terrassa, kilkanaście kilometrów od Barcelony, stolicy Katalonii. Z partią łączy ją troska o zjednoczoną i silną Hiszpanię oraz niechęć do katalońskiego rządu lokalnego, który tamtego pamiętnego październikowego dnia 2017 r. zorganizował referendum niepodległościowe.

Alicia: – To jest najgorsze, co można zrobić obywatelom. Podzielić społeczeństwo na pół. Takie rany się nie zasklepią przez następne sto lat, to jest praktycznie nie do naprawienia. Ludziom, którzy do tego doprowadzili, należy się najwyższa możliwa kara.

Wszystko, co myślę i czuję

Dlatego podoba jej się bezkompromisowość Voxu, którego lider, Santiago Abascal, obiecuje walkę z separatystami, a reakcje hiszpańskiego rządu centralnego wobec Katalonii uważa za niewystarczające. „Hiszpanii się nie negocjuje, Hiszpanii się broni!" – grzmi Abascal w wywiadach.

Dzisiaj, dwa lata później, Alicia jest już członkiem partii i z dumą wyznaje: – Wszystko, co czuję, co myślę, wszystko to znalazłam w Voxie.

Co oznacza, że – gdyby zależało to od niej – zawiesiłaby autonomię Katalonii, a tamtejsze organizacje i partie o charakterze niepodległościowym, które dążą do „zniszczenia terytorialnej jedności kraju", natychmiast by zdelegalizowała (szczególnie ta druga propozycja nawet dla wielu konserwatywnych Hiszpanów jest rozwiązaniem radykalnym).

– To jedyny możliwy sposób, żeby ich zatrzymać – przekonuje. – Wszystko zaczyna się już w szkole, gdzie nasze dzieci są indoktrynowane, żeby wierzyły w to, że Hiszpania wcale nie jest ich domem. Czasem rodzice są hiszpańskimi patriotami, a dzieci i tak mówią o niepodległości Katalonii, znam takie przypadki! ↦

↦ Co by powiedziała osobie po drugiej stronie barykady? Mieszka w katalońskim mieście, więc okazji do takich konfrontacji nie brakuje.

– Nawet koleżanka u mnie w pracy jest *separatista*. Ale nie będę cię oszukiwać, raczej nie rozmawiamy – śmieje się.

Dla Alicii zjednoczona Hiszpania to istotna wartość. Jej rodzina pochodzi z Andaluzji, ona sama czuje się Katalonką (bo tutaj się zakorzeniła), ale uważa, że – mimo różnych zwyczajów, języków czy poglądów politycznych (choć te lewicowe, musi przyznać, nie mieszczą jej się w głowie) – Hiszpanie tworzą w końcu jeden naród. Czy tego chcą, czy nie.

Dlatego gdy politycy partii Vox przekonują, że gwarancją solidarnej Hiszpanii jest jeden scentralizowany rząd i likwidacja 17 wspólnot autonomicznych, Alicia widzi w tym sposób na powstrzymanie separatystów. – Poza tym po co nam 17 różnych parlamentów? To pieniądze wyrzucone w błoto!

Pod koniec 2017 r. Alicia nie jest już odosobniona w swoim zainteresowaniu nową prawicową partią. Liczba członków Voxu wzrasta z dnia na dzień. Po roku zwiększa się aż czterokrotnie.

VOX ESPAÑA

Javier Ortega Smith dokonuje symbolicznego odbicia Gibraltaru przez rozłożenie flagi Hiszpanii na gibraltarskiej skale. Kadr z nagrania telefonem komórkowym, czerwiec 2016 r.

Odrodzenie utraconej hiszpańskości

Gdy w październiku 2018 r. Vox organizuje wiec w Madrycie, do Palacio Vistalegre zjeżdżają sympatycy z całego kraju. Halę sportową wypełniają hiszpańskie flagi, muzyka podgrzewa atmosferę. „Wytrzymam ciosy i nigdy się nie poddam" – nuci z głośników Dúo Dinámico (szczyt popularności zespołu to lata 60. XX w.).

Prasa pisze potem o liczbie przybyłych zwolenników, której nie powstydziłaby się żadna partia politycznego mainstreamu: dziewięć tysięcy ludzi śpiewa o wielkości Hiszpanii, a na słowa lidera reaguje wiwatami lub, jeśli kontekst tego wymaga, spontanicznymi okrzykami niezadowolenia.

Santiago Abascal zjawia się na scenie ostatni – po kilku płomiennych przemówieniach i krótkiej prezentacji zagrożeń, z którymi musi sobie radzić dziś Hiszpania. Obrazują je zdjęcia: terrorystów baskijskiej ETA, kilku komunistycznych symboli, flagi Katalonii, przechodzących przez granicę imigrantów, aktywistek Femenu i zwolennika Państwa Islamskiego.

„Hiszpania się budzi, dzięki Bogu" – ogłasza Abascal. Aby nie zostawić słuchaczy w poczuciu fałszywego komfortu, dodaje: „To nie przypadek, że budzi się właśnie dziś".

Bo Hiszpania, która się budzi, to Hiszpania w ruinie. Za dramatyczny stan kraju, według Abascala, odpowiadają jednocześnie: chora na poczucie moralnej wyższości lewica i derechita cobarde – tchórzliwa i nieudolna tradycyjna prawica (tj. Partia Ludowa). Ale jeszcze nie jest za późno. Przedstawiony tego wieczoru przez Vox program ma być krokiem w stronę uzdrowienia.

Prócz postawienia na rozwój wyludnionych wsi, obniżenia podatków czy zabiegów o odzyskanie Gibraltaru Vox proponuje walkę z terroryzującą kraj lewicową ideologią („Koniec z publicznym dofinansowywaniem organizacji LGBT i radykalnych feministek", obiecuje jeden z punktów programu) i większą kontrolę mniejszości islamskiej (przez zamykanie podejrzanych meczetów czy eliminowanie ze szkół lekcji o islamie). W zamian chce promować hiszpański folklor i chronić polowanie jako element kultury. Vox to powrót do tradycji, to odrodzenie utraconej prawdziwej „hiszpańskości".

„I będziemy dalej jeść naszą szynkę, nieważne, co mówią obrońcy praw zwierząt, nieważne, co głoszą muzułmanie!" – woła ze sceny Santiago Abascal.

Żeby ten odrodzony kraj jak najlepiej chronić, Vox proponuje zamknięcie granic dla nielegalnej migracji. „Dość z rozdawaniem owoców pracy Hiszpanów tym, którzy wtargnęli do ich domu bez pukania" – słyszą tamtego wieczoru zebrani w Vistalegre.

Tibor i Alexander są za imigracją (legalną)

Alexandrowi i Tiborowi, studentom prawa z Barcelony, podoba się, że politycy Voxu nie dają się złapać w sidła politycznej poprawności. Ożywiają się szczególnie przy temacie migracji.

– Wiem, co sobie myślisz... – zaczyna Alexander. – Imigrant i wspiera Vox?

Rodzina Alexandra to Żydzi, którzy po opuszczeniu ziem polskich przez kilka pokoleń żyli w Argentynie. Do Hiszpanii przeprowadzili się, gdy był jeszcze dzieckiem. Za to matka Tibora pochodzi z Peru. I to on tłumaczy: – To jest po prostu nieporozumienie. Przecież Vox nie jest przeciwko migracji, tej legalnej. Tu chodzi wyłącznie o kontrolę swoich granic. Ale żyjemy w świecie, w którym wystarczy powiedzieć tyle, a już mają cię za rasistę.

Pomysły Voxu na kontrolę to m.in. natychmiastowa deportacja wszystkich imigrantów o nieuregulowanym statusie pobytu. Oraz tych, którzy przebywają w Hiszpanii legalnie, jeśli popełnili jakieś przestępstwo. I jeszcze postawienie w Ceucie i Melilli – hiszpańskich enklawach w Afryce Północnej, przez które wielu Afrykanów usiłuje dostać się nielegalnie na teren Hiszpanii – takiego muru, który byłby dla imigrantów „niemożliwy do pokonania".

– To wszystko także z myślą o nich samych – przekonuje Alexander. – Rozmawiałem z wieloma z nich i wiem, jakie oni mają o nas pojęcie przed przyjazdem: że Europa to raj. A później jaki problem jest z nieletnimi imigrantami? Tymi dziećmi nie ma się kto zająć, kto ich wyedukować.

– To jasne, że chciałoby się im pomóc – zgadza się Tibor. – Ale musimy być rozsądni. Jak widzę plakaty „Refugees Welcome", to się zastanawiam... Wszystkich mamy przyjąć, naprawdę wszystkich? Nasza gospodarka sobie z tym nie poradzi. Spytaj tych, którzy dostają po 600 euro emerytury!

Oboje zgadzają się z pomysłem Voxu, by ułatwić za to legalną imigrację z krajów, które łączy z Hiszpanią język i kultura. – To ma sens, mamy wspólną historię i religię, jesteśmy bracia *hispanos!* – tłumaczy Tibor. – Łatwiej jest zaadaptować się komuś, kto zna nasz świat.

Alexander podziela takie podejście: – Jestem Żydem, ale wierzę w Europę o silnych chrześcijańskich korzeniach. Dla mnie polityka Voxu to obrona pewnych wartości. Wartości, których być może inne kraje nie podzielają. A Państwo Islamskie przecież samo powiedziało, kogo będzie pakować do łódek z uchodźcami...

Grudzień 2018 r. to pierwszy duży sukces Voxu: partia dostaje się do parlamentu Andaluzji. „Będziemy przewodzić rekonkwiście!" – dziękuje Andaluzyjczykom Francisco Serrano, jedynka na liście Voxu w tych wyborach (historyczna rekonkwista to odbicie Półwyspu Iberyjskiego z rąk muzułmanów, którzy podbili go w VIII w.; zakończyła się sukcesem pod koniec wieku XV).

Bet nie rozumie feministek

W jednym ze spotów wyborczych Voxu Santiago Abascal wraz z armią zwolenników mknie konno przez Andaluzję; w tle słychać muzykę z „Władcy Pierścieni". Z czym chce walczyć Abascal, obsadzony w roli filmowego Aragorna, obrońcy Śródziemia? Odpowiedzią może być mem, w którym na postać Aragorna nałożone jest logo Voxu, a w miejsce krwiożerczych orków pojawiają się, wśród wielu innych, symbole feministyczne i LGBT.

– Dziś w Hiszpanii największym wykroczeniem jest bycie mężczyzną – kiwają głową Alexander i Tibor. Wierzą, że Vox mógłby w końcu zagwarantować im równe prawa. Choćby przez zlikwidowanie ustawy uchwalonej w 2004 r. przez lewicowy rząd premiera José Luisa Zapatero, która w sposób szczególny każe traktować przypadki przemocy mężczyzn wobec aktualnych lub byłych partnerek. Ustawa miała być systemowym narzędziem do walki z trudną sytuacją kobiet i próbą uwrażliwienia społeczeństwa na ten problem (w 2018 r. w kraju z ręki męża lub partnera zginęło 47 kobiet).

– Taka ustawa gwarantuje, że jeśli jesteś mężczyzną, dostaniesz surowszą karę od kobiety, która też bije swojego partnera! – irytuje się Tibor.

Oburza to także Bet, 20-latkę, która twierdzi, że nie rozumie feministek: – One tyle mówią o równości między płciami, a tu nagle traktują kobietę jako tę słabą, którą trzeba bronić – prycha. – To mężczyzna nie może być ofiarą? Jemu się specjalna ochrona nie należy?

Podoba jej się, że Vox opiera swoją politykę na chrześcijańskich wartościach i jest partią, która – jak głosi – opowiada się za życiem, czyli obiecuje walkę z aborcją. – Aborcję trzeba w kraju jakoś kontrolować – tłumaczy Bet. – Obecnych rozwiązań nie uważam za zupełnie złe, bo rozumiem, że są dramatyczne przypadki, ale to na pewno wymaga uregulowania.

Vox jest też przeciwna organizowaniu w szkołach zajęć antydyskryminacyjnych, które nazywa „indoktrynacją najmłodszych", i opowiada się przeciw małżeństwom LGBT.

– *Matrimonio*, samo to słowo pochodzi od matki – przekonuje Alexander. – To może być tylko związek kobiety i mężczyzny. Ale przecież zostają akty cywilne, które można zawiązać, z kimkolwiek się chce!

Hiszpania to nie Włochy

Manuel, 70-letni emeryt, który dzięki Voxowi w końcu ma na kogo głosować, na samą myśl o Paradzie Równości wzdycha zrezygnowany. Tęskni za krajem, w którym największą wartością jest tradycyjna rodzina. – Jest takie państwo, które obserwuję z zazdrością, bo celebruje dobre chrześcijańskie wartości – uśmiecha się. – Polska, wy jedyni idziecie właściwą drogą!

W Hiszpanii Manuel może się dziś czuć osamotniony. Większość społeczeństwa opowiada się za „małżeństwami dla wszystkich" (w 2013 r. tylko 6 proc. uważało homoseksualizm za niemoralny) i przeciw delegalizacji aborcji (tylko 10 proc. za). 63 proc. uważa się za feministki i feministów, a w manifestacjach 8 marca przeciw przemocy wobec kobiet protestuje ponad pół miliona osób.

Dlatego, choć w kwietniu 2019 r. Vox dostaje w ogólnokrajowych wyborach parlamentarnych 10 proc. poparcia, eksperci raczej nie wróżą ugrupowaniu jeszcze większych sukcesów. – Voxowi sprzyjała sytuacja w Katalonii, która obudziła w niektórych Hiszpanach potrzebę walki z wewnętrznym „wrogiem". Dodatkowo pomogła im prawica, Partido Popular i Ciudadanos, które próbowały walczyć o głosy, częściej sięgając do ich radykalnej retoryki. To tylko zadziałało na ich korzyść – uważa politolog Guillem Vidal. – Ale Hiszpania to nie Włochy, większość propozycji Voxu nie jest tu atrakcyjna.

W 2019 r. Hiszpanie idą do urn jeszcze dwa razy: w wyborach lokalnych i do Parlamentu Europejskiego. W obu przypadkach wyniki potwierdzają, że poparcie dla Voxu słabnie. Ale Santiago Abascal nie traci pewności siebie: w wielu gminach partia Vox jest dziś istotnym graczem, a w Madrycie może być nawet kluczowa dla utworzenia prawicowej koalicji.

W Parlamencie Europejskim trzej eurodeputowani Voxu dołączają do Sojuszu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do którego należy także Prawo i Sprawiedliwość.

W Trumpa też nikt nie wierzył

Według badań ośrodka CIS 7 na 10 Hiszpanów, którzy wzięli udział w wyborach parlamentarnych, deklarowało, że boi się partii Santiago Abascala.

Ale są też ci, którzy na Vox zagłosowali. Jak José, ojciec trójki dzieci z Malagi, który liczy, że Hiszpania w końcu postawi się Unii Europejskiej i będzie prawdziwie niezależna. Albo David, 32-letni przedsiębiorca z Sewilli, bo Vox obiecuje, że nie da odebrać Hiszpanom korridy. Albo Daría, urodzona w Wenezueli biseksualistka, zawiedziona nieudolnością lewicy. W Voxie przemawia do niej liberalne podejście do gospodarki („Tylko nie mów o tym moim znajomym!" – prosi).

W lipcu 2019 r. sondaże wskazują, że poparcie dla Voxu spadło do 5 proc. Ale jej zwolennicy nie tracą nadziei. – Vox to partia *sentido común*, zdrowego rozsądku. Jedyna gwarancja normalności. Wszyscy inni swoją polityką prowadzą nasz kraj do zniszczenia – uważa Alicia.

– Ważne, że weszli do parlamentu – mówi Alexander. – Teraz, jeśli tylko da się im szansę, pokażą, że inna polityka jest możliwa. W Trumpa też nikt nie wierzył, a teraz popatrz na niego!

© PAULINA MAŚLONA

ADMIR FAZLAGIKJ / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Premier Macedonii Północnej Zoran Zaew (z prawej) wita w Skopje ówczesnego premiera Grecji Alexisa Tsiprasa, 2 kwietnia 2019 r.

Macedonia czeka pod drzwiami

PIOTR OLEKSY

W podzielonej i osłabionej Unii wielu polityków nie chce słyszeć o nowym rozszerzeniu. Ale odmowa przyjęcia krajów Bałkanów Zachodnich może mieć fatalne konsekwencje.

Optymizm był ostatnią rzeczą, którą można było znaleźć wśród przybyszów z Macedonii Północnej obecnych na Szczycie Bałkanów Zachodnich, który na początku lipca odbywał się w Poznaniu. Dominowało rozgoryczenie.

Trudno się temu dziwić. W ostatnich latach ich rząd postawił wszystko na jedną kartę – w imię celu, jakim jest integracja z Unią i NATO. Przyjęto nawet nową nazwę państwa, co zakończyło spór z Grecją, która aż dotąd blokowała integrację swego północnego sąsiada z zachodnimi strukturami. Decyzja o zmianie nazwy – z Macedonii na Macedonię Północną – nadal wzbudza zresztą ogromne emocje w macedońskim społeczeństwie. Wielu rodakom premiera Zorana Zaewa nie podoba się też, że dla utrzymania władzy zgadza się na ustępstwa wobec partii reprezentujących mniejszość albańską – swych koalicyjnych partnerów. Ale idea integracji jest jedynym spoiwem jego koalicji i głównym motorem poparcia. Dlatego Zaew potrzebuje sukcesu jak tlenu.

Macedończycy uważają, że za ich wysiłek i poświęcenie własnej dumy narodowej należy im się nagroda. Jej brak może sprawić, że poparcie dla rządu załamie się, a do władzy wróci prawica, która chętnie posługuje się językiem nacjonalizmu i wchodzi w coraz bliższe relacje z Rosją.

Jednak Macedonia – jak też inne kraje Bałkanów Zachodnich – trafiła dziś na najgorszy moment. W podzielonej i osłabionej brexitem Unii wielu polityków nie chce słyszeć o nowym rozszerzeniu. Przewodzi im Francja, są wśród nich Dania i Holandia. Niemcy, które przedstawiają się jako główny adwokat Bałkanów Zachodnich, nie podchodzą do tematu już tak entuzjastycznie. Angela Merkel nie chce dziś ryzykować kontrowersyjnych decyzji.

Dwa tygodnie przed poznańskim szczytem Rada Europejska podjęła decyzję, że mimo wcześniejszych obietnic na razie nie otworzy negocjacji z Albanią i Macedonią Północną. Wspomniano o terminie jesiennym. Wielu Macedończyków obawia się, że to gra na czas, a ich wysiłek pójdzie na marne.

Region jakby mniej straszny

Co to są Bałkany Zachodnie? Przymiotnik nie służy odróżnieniu geograficznemu, zwłaszcza że od wschodu i zachodu z regionem sąsiadują Bułgaria i Chorwacja, należące do Unii. To neologizm. Jakby samo dodanie tego przymiotnika miało być nagrodą dla społeczeństw regionu; nagrodą, która sprawi też, że w oczach zwłaszcza „starej" Unii będzie on sprawiał wrażenie bardziej cywilizowanego. Na zasadzie: nie włączamy strasznych Bałkanów, tylko te lepsze – zachodnie. W końcu widmo konfliktów etnicznych i słynnej przestępczości zorganizowanej jest wciąż żywe.

Tymczasem od kilku lat widoczny jest tu wzrost wpływów tureckich – biznesowych, ale też politycznych. Rozwijająca się gospodarczo i zarazem autokratyczna Turcja staje się wzorem dla tutejszych elit. Ostatnio coraz więcej mówi się też o rosnącym znaczeniu Chin. Region jest oczywiście w orbicie zainteresowań Rosji, która utrzymuje bliskie relacje z tutejszymi liderami i licznymi organizacjami

społecznymi. Brak postępów w dialogu z Unią może więc spowodować, że Europa straci tu wpływy – na rzecz tych właśnie graczy.

Już dziś państwa regionu nie rozwijają się tak, jak życzyłaby tego sobie Unia. Nie cichną nastroje nacjonalistyczne i skandale mafijne. Serbia rządzona przez Aleksandara Vučicia stała się symbolem odradzania się autorytaryzmu w regionie. Federacyjna Bośnia i Hercegowina staje się organizmem dysfunkcjonalnym. Albania przeżywa kryzys polityczny; antyrządowe protesty młodych ludzi skłoniły opozycję do bojkotu wyborów. Kosowo i Czarnogóra przewodzą w rankingach państw z najbardziej rozwiniętą przestępczością zorganizowaną, która jest tu ściśle związana z elitami politycznymi. Problemy z praworządnością i wolnością słowa, o których tyle mówi Bruksela, zdają się wręcz drugoplanowe.

Macedoński prymus

Macedonia wyróżnia się na tym tle. W 2016 r. odsunięto Nikołę Gruewskiego, który w czasie dekady rządów zbudował system bliski autorytaryzmu i doprowadził do zaostrzenia relacji między słowiańskimi Macedończykami a Albańczykami (stanowią ponad 20 proc. społeczeństwa). Skonfliktował się też z większością sąsiadów. Kryzys, spowodowany ujawnieniem procederu masowego podsłuchiwania polityków, zaczął się w 2015 r. i trwał dwa lata. Koalicja Socjaldemokratycznego Związku Macedonii (kierowanego przez Zorana Zaewa) i partii albańskich powstała wiosną 2017 r. w atmosferze zamieszek – zwolennicy Gruewskiego próbowali siłą zablokować zmiany polityczne.

Nowy premier Zaew zabrał się za naprawę relacji z sąsiadami, mając świadomość, że od tego zależy integracja z Zachodem. Zażegnano spór z Bułgarią, który swe korzenie miał w kwestiach historycznych i tożsamościowych (część bułgarskiej prawicy nie uznaje Macedończyków za odrębny naród). Największym wyzwaniem było jednak zamknięcie konfliktu z Grecją, która nie godziła się na przyjęcie swego sąsiada do struktur międzynarodowych pod nazwą Republika Macedonii. Problem ten zaistniał zaraz po rozpadzie Jugosławii i powstaniu nowego państwa ze stolicą w Skopje.

Zaew podjął dialog z Grekami, przy wsparciu zachodniej dyplomacji. Kwestia nazwy budziła emocje po obu stronach granicy. Macedończycy nie chcieli zgodzić się na daleko idące ustępstwa, podnosząc argument dumy narodowej. Grecy masowo protestowali przeciw porozumieniu, które dopuszczałoby użycie słowa „Macedonia". Twierdzili, że sąsiad zawłaszcza starożytne dziedzictwo i podważa ich integralność terytorialną (Macedonią nazywa się też północny region Grecji).

Głosy niezadowolenia

W końcu, 17 czerwca 2018 r., nad granicznym jeziorem Prespa liderzy obu państw podpisali porozumienie, które zakładało przyjęcie nazwy Republika Macedonii Północnej. Zaew ogłosił, że będzie szukał poparcia dla tej decyzji w referendum. Rząd przekonywał rodaków, że podejmują decyzję nie tyle dotyczącą nazwy, co europejskiej przyszłości kraju. Pytanie referendalne brzmiało: „Czy popierasz członkostwo w Unii Europejskiej i NATO przez akceptację porozumienia między Republiką Macedonii a Republiką Grecji?". Opozycja nawoływała do bojkotu, podnosząc argument zagrożonej tożsamości i dumy narodowej.

W referendum aż 94 proc. głosujących poparło porozumienie, ale nie udało się osiągnąć bardzo wysokiego jak na tamte warunki (biorąc pod uwagę skalę emigracji i problem aktualizacji spisu wyborców) progu frekwencji, który wynosił 50 proc. Jednak Zaew uznał, że ten mandat wystarczy do podjęcia decyzji przez parlament. 11 stycznia tego roku zaakceptowano poprawki do konstytucji zmieniające nazwę kraju.

Podjęto też próbę rozliczenia poprzedniego rządu. Gruewski został skazany na dwa lata więzienia za korupcję, po czym uciekł na Węgry, gdzie uzyskał azyl polityczny. Zdawałoby się, że prawicowa opozycja bez lidera powinna słabnąć w obliczu ofensywy obozu rządzącego. Działania Zaewa, w tym zmiana nazwy kraju, wywołują jednak napięcie. Powszechna jest opinia, że Macedończycy zgodzili się na nią tylko w imię integracji z Zachodem. Ostatnio często słychać, że nowy rząd zaniedbał inne obszary, przez co obywatele nie odczuwają pozytywnych zmian w swoim życiu.

Poruszenie powodują też relacje z albańską mniejszością. Niewątpliwie zasługą Zaewa jest obniżenie napięcia etnicznego, nietrudno jednak odnieść wrażenie, że premier jest zakładnikiem tej współpracy. Nawet wśród jego zwolenników słychać głosy, że regiony, w których Albańczycy są większością, stają się „księstwami" tamtejszych liderów politycznych.

Ciepłe słowa nie wystarczą

Przykład Macedonii jest znamienny dla całego regionu – i dla polityki zagranicznej Unii w ogóle. Tamtejsze społeczeństwo i elity podjęły autentyczny wysiłek, który ze strony unijnych polityków spotyka się głównie z ciepłymi słowami. To za mało dla utrzymania pozytywnej dynamiki. Zwłaszcza że potrzebny obecnie gest, którym byłoby rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych, o niczym nie przesądza (Serbia zaczęła je w 2014 r., a Turcja jeszcze w 2005 r.). Jednak wielu europejskich liderów nawet taki krok uważa za ryzykowny politycznie.

Wyraźnie widać zasadniczy problem oddziaływania Unii poza jej granicami. Dla licznych społeczeństw Europy Wschodniej i Bałkanów, Unia – postrzegana głównie jako obszar ekonomicznego dobrobytu – jest atrakcyjna tylko dzięki wizji członkostwa. Tracąc ją, mogą obrócić się w stronę innych potęg. Wyzwaniem dla Wspólnoty jest więc wypracowanie nowych, długofalowych narzędzi wpływu.

W obecnej sytuacji jednak, jeśli Bruksela nie wyciągnie szybko ręki ku Macedonii, straci swą wiarygodność w oczach mieszkańców całego regionu. ©

POZNAŃSKI SZCZYT był kolejnym spotkaniem w ramach tzw. procesu berlińskiego, który jest forum współpracy między 10 państwami UE (w tym Niemcami, Francją i Polską) a krajami Bałkanów Zachodnich: Albanią, Bośnią i Hercegowiną, Czarnogórą, Kosowem, Macedonią Północną i Serbią. Ten format powstał z inicjatywy Berlina w 2014 r. Jego celem jest wspieranie integracji regionu z Unią. Realnie służy w dużej mierze utrzymaniu zainteresowania tematem – na Bałkanach i w Unii – w czasach, gdy trudno o decyzje o fundamentalnym znaczeniu.

DR PIOTR OLEKSY *pracuje w Instytucie Wschodnim UAM w Poznaniu, jest autorem książki „Naddniestrze. Terror tożsamości" (Czarne 2018).*

WOJCIECH

Bonowicz:
Parę małych kroków

Gruba książka. Potężna. Akurat na wakacje. Nie było o niej dotąd głośno, a szkoda. Już sam tytuł jest zachęcający: „Krytyk jako dzieło sztuki". A obok tytułu autor: Jan Michalski – czyli wiadomo, że nie będziemy się nudzić. Wszystko, co Janek pisze, czytam od lat z przyjemnością. Teraz dużą część tego, co napisał, zebrał w jednym tomie, i okazuje się, że jednak nie wszystko czytałem. Ale przyjemność przez to większa.

Trzeba to powiedzieć wprost: Janek jest pisarzem w środowisku sztuki. Jego ambicje są pisarskie: nie relacjonuje wystaw, nie recenzuje – pisze opowiadania, gawędy, miniatury liryczne... Owszem, potrafi też napisać rozprawę czy artykuł krytycznosztuczny jak Pan Bóg przykazał. Literaturę przedmiotu zgromadzi, sprawdzi fakty, postawi tezę – proszę bardzo. Ale żywiołem właściwym jest dlań literatura jako taka. Zdanie u niego jest giętkie, wypracowane, wymaga skupienia, a nie rzutu oka. Tylko bowiem w uważnej lekturze teksty pisane impresyjnie, enigmatycznie, urwistkowo okazują się wykładem jakiegoś całościowego poglądu. W prasie codziennej czy cotygodniowej trudno byłoby coś takiego wydrukować, ale i w branżowej niełatwo: Janek unika żargonu, nie zapycha też swoich artykułów formułami zaczerpniętymi z książek, które akurat wypada przeczytać. Możliwości polszczyzny wykorzystuje szeroko i z gestem, ale nie cuduje. Tekst „Jurry-partyzant" dowodzi, że byłby świetny także w reportażu.

„Przepracowałem świadomie kilka dziesiątków lat, co umożliwiło mi zrobienie paru małych kroków", pisze we wstępie do książki. „Gdybym się nie trudził, to bym ich nie zrobił, spałbym jak niemowlę w kojcu. Świat wypowiedział się przeze mnie, a ja wypowiedziałem się przez jego zmienność". Sztuka jest dlań dyscypliną duchową, w której to, co najwartościowsze, jest dyskretne albo zmierza do dyskrecji.

Ciekawe są teksty Janka o artystach Gruppy, która była przecież hałasem, rewoltą, zaproszeniem w głąb dżungli. „Malarstwo jest żywym, oblizującym językiem", pisali artyści (a może to sam Janek napisał?) i rzeczywiście tak było: człowiek wychodził z wystawy zmierzwiony, złapany za klapy, uderzony w słabiznę. Janek potrafi pokazać, że był w tym opór przeciwko fałszywym spirytualizacjom i jednocześnie hołd złożony temu, co pomijane, lekceważone, niedocenione jako źródło inspiracji. „Idea u Modzelewskiego musi być zabrudzona życiem i to życiem zwykłym, przyziemnym, dolegliwym, podobnie jak gama jego obrazów jest »zabrudzona« kolorem lokalnym", zauważa.

Janek to jest ogień. Charakter pcha go w stronę sporu. Jego książka jest jak mapa w centrum dowodzenia, na której zaznaczono kolejno otwierane fronty. Lubi agorę, wymianę – ale w gronie subtelnych duchów. Na co dzień nie uchyla się od bójki. Napisze o znanym krytyku, że jest pozbawiony dobrego smaku, a potem się dziwi, że ten się obraził. Czasem, ale z rzadka, złapie się za głowę: „Dlaczego zawsze szukam kropli dziegciu, żeby ją wlać do wiadra miodu cudzej pracy?". Niemniej ogień, który pali się w Janku, ożywia przede wszystkim odbiór poszczególnych dzieł: od płócien i gwaszy Andrzeja Wróblewskiego po prace Łukasza Stokłosy czy reprodukowanej na okładce Moniki Szwed. Krytyk jest dziełem sztuki w tym sensie, że to ona go tworzy, motywuje do poszukiwań, rozwoju, także obrony, gdy trzeba. Janek nie boi się napisać, że artyści i ich dzieła dali mu „wiele szczęścia".

Bo ostatecznie to jest książka o szczęściu – tak właśnie. Figurą szczęścia jest w niej młodość. „Odmładzaj swego ducha przy pomocy przyrody i sztuki", podpowiada motto zaczerpnięte z Graciána. A sam autor w podobnym duchu pisze: „Trzeba starać się o oczyszczenie z zachłanności, wiedzy, percepcji". Czyli wrócić, pozbyć się bagażu, znów znaleźć się w pierwszym domu.

Dużo jest takiej sztuki, która odmładza? „Prawdziwego malarstwa w ogóle jest niewiele", cytuje Janek Stefana Gierowskiego. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK POWSZECHNY
Book's not dead

weź, czytaj!

SLOT ART FESTIVAL

Specjalna oferta dla uczestników SLOT ART FESTIVAL

Kup prenumeratę kwartalną***

z dostawą do domu

za 99 zł

Oferta ważna tylko do 31 lipca br.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE 4 wydania*

z dostawą do domu

za 69 zł

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

*** wejdź na stronę powszech.net/prenumerata, wybierz ofertę SLOT, w rubryce „Uwagi” wpisz numer swojego identyfikatora z dowolnej edycji Slot Art Festival.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

TU HONORUJEMY KARTĘ DUŻEJ RODZINY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

HIMALAIŚCI WE MGLE

W opowieści o pierwszej polskiej wyprawie w Himalaje jest wszystko, co zawierać powinna opowieść o 80 latach polskiego himalaizmu: ambicje, kłopoty i wielka historia w tle. Oraz sukces, dramat i tajemnica.

BARTEK DOBROCH

Właściwie było już zbyt późno. Zarówno jeśli chodzi o porę dnia, jak i roku.

W roku 1939 w indyjskich Himalajach monsun nadciągał wcześniej niż zwykle, przynosząc w dolnych partiach gór deszcz, a w górnych opady śniegu, które w połączeniu z silnym wiatrem powodowały nieustające śnieżyce. Prognozy nie dawały nadziei. Ale też dostęp do nich, jak i wiara w ich skuteczność były ograniczone – jako ludzie gór woleli ufać więc intuicji. Oraz kierownikowi wyprawy. Adam Karpiński dał się dotąd poznać jako cierpliwy i nieustępliwy w obliczu przeciwności losu, które pierwsza polska wyprawa w Himalaje napotykała niemalże na każdym kroku.

Mimo braku przesłanek, cierpliwie wyczekali więc krótkiego okna pogodowego, które 80 lat temu, na przełomie czerwca i lipca, otworzyło drogę na szczyt Nanda Devi East.

Karpiński nie mógł jednak wziąć udziału w decydującym ataku szczytowym. Kilka dni wcześniej przeforsował się ciężarem i wysokością, dostarczając ładunek do jednego z górnych obozów. Narzekał na serce i musiał zejść do głównej bazy.

W dniu właściwego ataku szczytowego około 300 metrów poniżej szczytu osłabł też Stefan Bernadzikiewicz. Zawrócił wraz z Davą Tseringiem – nepalskim uczestnikiem wcześniejszych brytyjskich wypraw na Mount Everest. Dava był jednym z szóstki tragarzy wysokościowych, którzy towarzyszyli czwórce polskich wspinaczy podczas wyprawy w indyjskie Himalaje.

Widoki godne bogów

Powyżej wysokości 7200 m zostało więc ich dwóch: Jakub Bujak i Janusz Klarner. Słońce zbliżało się już do zenitu, a oni mieli przed sobą jeszcze uskok na grani, najtrudniejsze miejsce na całej drodze na szczyt.

I znowu intuicja przydała się, by ominąć trudności skalne trudne do pokonania jak na możliwości przedwojennych wspinaczy. Omijająca ostatni uskok droga ostrzem grani otworzyła się na sporych rozmiarów śnieżną równię. Na niej wystarczyło już tylko odnaleźć najwyższy punkt liczącego 7434 m i niezdobytego wcześniej wschodniego wierzchołka Nanda Devi East, co przy słonecznej, choć wietrznej pogodzie, nie nastręczyło trudności.

Na zdjęciu szczytowym – przedstawia jedynie od tyłu, z odległości kilkunastu metrów, ciemną, bo kontrastującą z odbijającym słońce polem śnieżnym sylwetkę jednego ze zdobywców (działo się to na wiele dekad przed epoką *selfie*) – widać w tle dymiący pióropuszem chmur główny wierzchołek Nanda Devi, zdobyty trzy lata wcześniej przez Anglików Harolda Tilmana i Noela Odella. Do czasu zdobycia pierwszego ośmiotysięcznika – Annapurny, w 1950 r. – ten liczący 7816 m szczyt pozostawał najwyższym osiągniętym przez człowieka.

Nanda Devi była wówczas najwyższym szczytem Indii Brytyjskich, a później długo także niepodległych Indii (aż do 1975 r., czyli do przyłączenia się do nich Sikkimu wraz z leżącą na jego nepalskim pograniczu Kanczendzongą, trzecią górą świata).

Ze wschodniego szczytu Nanda Devi, zdobytego przez Polaków, jej główny wierzchołek wyglądał na bliski, połączony z nim – a jednak oddalony na odległość aż trzykilometrowej, piekielnie stromej i poszczerbionej grani (pokonanej zaledwie raz i dopiero w 1976 r. przez Japończyków). Złowrogi niczym nazwa przywołująca przydomek (Nanda) hinduistycznej bogini (dewi) śmierci Kali. I niczym ludożercza klątwa bogini Nandy mówiąca, że zdobywca szczytu zginie, a jego ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

„Wieloimienna bogini śmierci Parwatti – Kali – Nanda uznała nas, widać, za pątników, pobożnie odbywających pielgrzymkę, a nie za świętokradców wdzierających się do jej siedziby – chce nasze wysiłki wynagrodzić widokiem godnym bogów" – słowa, które zanotował Janusz Klarner, świadczą, że wizja znanej już wówczas klątwy grała polskim himalaistom w głowach i w duszach. Ale nie powstrzymała przed powiedzeniem: sprawdzam.

Narodziny polskiego himalaizmu

Tak właśnie 2 lipca 1939 r. symbolicznie narodził się polski himalaizm. W późnych godzinach popołudniowych. Bujak zanotuje później w dzienniku czas pobytu na szczycie między godz. 17.20 a 18.00.

Nanda Devi Wschodni – nie tak istotny, bo niższy, drugi pod względem wysokości w całym masywie – stał się w tym momencie szóstym najwyższym zdobytym przez człowieka szczytem świata. Przerastały go tylko jeszcze zdobyte kolejno w latach 1930-33: Jongsong Peak (7462 m; wyznaczający indyjsko-chińsko-nepalski trójstyk granic), Kamet (7756 m; w Garhwalu, który zdegradował go z pozycji najwyższego zdobytego szczytu), Minya Konka (7556 m; najwyższy szczyt Syczuanu) oraz zmieniający nazwę zgodnie z kierunkiem politycznych wiatrów Pik Stalina, później Pik Komunizma, a dziś Szczyt Ismaila Samaniego (mierząca 7495 m, najwyższa góra Tadżykistanu nosi dziś imię założyciela dynastii Samanidów, rządzących Azją Środkową od IX do XI wieku).

Droga na szczyt – poprowadzona przez przełęcz Longstaffa i dalej stromą południową granią – może jednak uchodzić za jedno z większych pod względem pokonanych trudności osiągnięć przedwojennego himalaizmu. Skalę trudności potwierdził późniejszy pierwszy zdobywca Everestu Tenzing Norgay, który drugie wejście na wschodni wierzchołek Nanda Devi – podczas wyprawy francuskiej w 1951 r. – uznał po latach za swoją najtrudniejszą wspinaczkę.

Potwierdza ją także fakt, że na drugie polskie wejście, mimo wcześniejszych prób, trzeba było czekać aż do tegorocznej rocznicowej wyprawy – podczas której 27 czerwca na szczycie stanęli Jarosław Gawrysiak i Wojciech Flaczyński.

Trudne początki wyprawy

W dodatku dwójka himalaistów, która dokonała pierwszego wejścia, nie rokowała takiego sukcesu – w świetle wcześniejszych wydarzeń i doświadczeń.

Janusz Klarner nie należał do czołowego grona polskich wspinaczy, którzy mogli liczyć na rekomendację Klubu Wysokogórskiego przy wyborze składu pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej. A należeli do nich m.in. zaledwie dwudziestokilkuletni wówczas Wawrzyniec Żuławski i Jan Staszel, Stanisław Groński (nieco starszy uczestnik wypraw w Alpy), Konstanty Narkiewicz-Jodko i Wiktor Ostrowski (wcześniejsi polscy rekordziści wysokości, zdobywcy Aconcagui) oraz Witold Henryk Paryski, uczestnik drugiej polskiej wyprawy andyjskiej. ↦

Polscy wspinacze podchodzą pod Śnieżną Kopę na Nanda Devi East, lato 1939 r.

ARCHIWUM RODZINNE MAGDALENY BUJAK-LENCZOWSKIEJ x2 / ZDJĘCIA POCHODZĄ Z KSIĄŻKI „POLSCY HIMALAIŚCI" DARIUSZA JARONIA

Klarner, który na początku 1939 r. pierwszy raz zimą wspinał się w Tatrach, wchodząc z Bujakiem i Karpińskim na Lodowy Szczyt, wydawał się przy nich nowicjuszem. Jednak ambitny 29-letni taternik miał pewną zaletę, która już w tamtych czasach mogła być kartą przetargową ułatwiającą udział w kosztownej wyprawie. Pochodzący z bogatego domu młodzieniec – syn Czesława Klarnera, ministra przemysłu i handlu, a następnie skarbu – był w stanie samodzielnie sfinansować swój udział w wyprawie, która borykała się przez wyjazdem z problemami finansowymi. Mogły one zniweczyć cały trud kilkuletnich przygotowań.

Koneksji rodzinnych nie brakowało także Jakubowi Bujakowi – synowi Franciszka, profesora, znawcy historii gospodarczej i społecznej Polski, przez krótki czas ministra rolnictwa i dóbr państwowych w rządzie Władysława Grabskiego. W przeciwieństwie do Klarnera, nie brakowało mu jednak doświadczenia: wspinał się w Tatrach, Alpach, a w 1935 r. także na Kaukazie, gdzie wraz ze Stefanem Bernadzikiewiczem jako pierwsi Polacy weszli na Szcharę, najwyższy szczyt Gruzji.

W początkowej fazie wyprawy w indyjskie Himalaje – która na przełomie kwietnia i maja 1939 r. wyruszyła drogą morską w dwóch turach z Genui do Bombaju, by następnie drogą lądową dotrzeć do Almory, leżącej na pogórzu Himalajów Małych – nie dopisywało jednak Bujakowi szczęście. Z końcem maja leżał w bazie złożony chorobą. Lekarz wyprawy i jednocześnie jej oficer łącznikowy J.R. Foy podejrzewał dyzenterię, a koledzy nawrót przechodzonego półtora roku wcześniej paratyfusu. Rozważali nawet jego ewakuację (trudną z uwagi na długą drogę do najbliższej wioski z placówką medyczną).

Z początkiem czerwca stan Bujaka jednak się poprawił. Zaczął wracać do formy, podczas gdy forma Karpińskiego – uskarżającego się w czerwcu na zapalenie gardła – zaczęła spadać.

Marzenie o Evereście

Być może te przypadki miały wpływ na losy wyprawy.

Karpiński („Akar", jak nazywali go przyjaciele) miał także własne ambicje. Himalaje były marzeniem życia tego spóźnionego o stulecie romantyka, którego niektórzy uważali wręcz za fanatyka gór. Czy można bowiem uznać jeszcze za romantyzm inspirowany Słowackim, czy już za fanatyzm jego kompletnie szalony zamysł, aby pierworodny syn przyszedł na świat na szczycie Mont Blanc? Zamysł, dodajmy, do którego przekonał żonę (lekarkę i taterniczkę), i który nieskutecznie próbowali wcielić w życie...

Podobnie jak o Evereście. „Akar" nie był pierwszym i jedynym Polakiem, który już przed wojną – słysząc o próbach Mallory'ego – marzył o zdobyciu najwyższej góry świata, ale jako pierwszy zaczął działać w tym kierunku. „On mówił, że prawdopodobnie z Everestu nie wróci, ale wierzył, że na nim będzie" – wspomni po latach w filmie dokumentalnym o wyprawie na Nanda Devi jego pasierbica.

Treningowi przed wymarzoną wyprawą w Himalaje podporządkował spory kawałek swojego życia od 1922 r., kiedy jako 25-latek zaczął wspinać się w Tatrach. Konsekwentnie dążył do celu, pomnażając doświadczenie przez taternictwo zimowe, do którego rozwoju się przyczynił, wielodniowe wędrówki i wspinaczki graniowe z biwakami, wyprawy w Alpy i wreszcie pierwszą polską wyprawę andyjską. Był w pięcioosobowej grupie, która dokonała pierwszego znanego (po Inkach, którzy prawdopodobnie wcześniej osiągali szczyt) wejścia na Mercedario – trzeci co do wysokości szczyt Ameryki.

Marzenie o Evereście w latach 30. XX w., wobec brytyjskiej monopolizacji wypraw na ten szczyt, okazało się mrzonką. Dlatego Karpiński zaczął forsować pomysł zdobycia innego szczytu. „Namawiam na K2: góra olbrzymia, obronna, więc tym większa chwała dla narodu, który na niej walczy. Nawet po osiągnięciu wierzchołka Everestu będzie pierwsze wejście na K2 liczone do wielkich czynów" – pisał z charakterystyczną dla siebie nutą patriotycznego patosu. Stanął nawet na czele Komisji Himalajskiej, powołanej w Klubie Wysokogórskim, która miała przygotować wyprawę w góry najwyższe. W jej skład weszli też Bujak i Stefan Bernadzikiewicz, taternik i polarnik, w wieku zaledwie 27 lat kierownik Pierwszej Polskiej Wyprawy Polarnej, która w 1934 r. wyruszyła na Spitsbergen.

Jednak wyprawa na K2 wymagała także zgody rządu Indii Brytyjskich – szczyt leżał wówczas na terenie należącego do nich Kaszmiru – a więc nieoficjalnie Brytyjczyków. Podania z prośbą o pozwolenie na zdobywanie szczytu z roku na rok spotykały się z odmową. Dlatego do kolejnego wspinacze dołączyli wariant rezerwowy: organizacji wyprawy w Himalaje Gahrwalu (tak określa się najwyższe pasmo Himalajów indyjskich, gdzie leżą źródła Gangesu) – i dopiero na nią uzyskali zgodę rządu indyjskiego.

Wybór padł na niezdobyty szczyt w masywie najwyższej góry Himalajów Gahrwalu.

Wysoka cena

Teraz, w lipcu 1939 r., już po zdobyciu Nanda Devi East, mogli spakować bazę i ruszyć w dół do Almory, aby wcześniej wrócić do kraju – wojna wisiała w powietrzu, obawy przed jej wybuchem wyrażali już, żegnając się z rodzinami przed wyjazdem z Polski.

Jednak wszelkie zmiany planów w tamtych czasach – braku bezpośredniej łączności – były trudne; konieczne było np. wezwanie tragarzy. Tymczasem okolica, zwłaszcza niezbadane otoczenie lodowca Milam, kusiły dzikością. Himalaiści podjęli więc próbę wejścia na jeszcze jeden siedmiotysięcznik: Tirsuli. Orientacyjnie skomplikowany, choć technicznie łatwiejszy i niższy, trójszczytowy.

18 lipca Karpiński i Bernadzikiewicz dotarli na wysokość ok. 6150 metrów, skąd przez schodzących niżej tragarzy w liście do towarzyszy poinformowali o swoich zamiarach. Wieczorem być może już spali bądź parzyli herbatę.

Oficer Foy tak napisał potem we wspomnieniach (przetłumaczonych przez Jana Józefa Szczepańskiego i opublikowanych w 1952 r. w „Tygodniku Powszech-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 1388/16 toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Mietelskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Felicji Kochańskiej, c. Karola i Stanisławy, ostatnio stale przebywającej w Warszawie przy ul. Kaczej 8/10, zm. 3 czerwca 1940 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Uczestnicy wyprawy sprzed 80 lat, od lewej: Jakub Bujak, Adam Karpiński, Stefan Bernadzikiewicz.

nym"): „Nocy tej usłyszeliśmy w bazie przeraźliwy łoskot lawiny z kierunku szczytów Tirsuli. Hałas był taki, jakby dwadzieścia pociągów wpadło jednocześnie na stację Victorii, a powietrze drżało ponad naszymi namiotami".

Poszukiwania na lawinisku nie przyniosły efektów. Masy śniegu pogrzebały obu polskich himalaistów. „Młody alpinizm polski drogo opłacił swój pierwszy wspaniały sukces w Himalajach" – pisała „Gazeta Lwowska" w wydaniu z 30 lipca 1939 r.

Wielka historia przysypała wkrótce na dekady małą historię, tę górską. A śnieżna lawina uruchomiła dopiero lawinę dramatycznych zdarzeń, która – jak spełnienie klątwy Nanda Devi – przypieczętowała losy wracających do kraju himalaistów.

Bez żadnych śladów

Znowu było za późno. Dopiero 23 sierpnia wypłynęli z Bombaju. Wiadomość o wybuchu wojny zastała ich w Kanale Sueskim na pokładzie włoskiego statku „Victoria". Musieli go opuścić. Na innym okręcie udali się przez Dardanele do rumuńskiej Konstancy. Stamtąd udało się im przedrzeć – rzecz niezwykła – do Lwowa. Dotarli tam 12 września, gdy rozpoczęła się już obrona miasta przez Wojsko Polskie.

„Janusz Klarner z ciszy i bieli Himalajów błyskawicznie wskoczył w huk i szkarłat wojny" – pisze w wydanej niedawno książce „Polscy himalaiści" Dariusz Jaroń. Zgodnie z obietnicą złożoną przed wyprawą ojcu, ledwie zrzucili sprzęt wyprawowy u rodziców Bujaka we Lwowie, Klarner – podporucznik rezerwy – wsiadł na rower i udał się na front.

Bujak najpierw postanowił czekać we Lwowie na żonę, która wraz z dwójką dzieci uciekła z Warszawy. Przybyła jednak do miasta za późno. Wcześniej Bujak zdecydował się na ucieczkę ze Lwowa, który – w ramach podziału Polski – przypadł Związkowi Sowieckiemu, i w którym narastał już sowiecki terror. Wraz ze szwagrem i czwórką innych mężczyzn poszli przez zieloną granicę na Węgry (przez masyw Gorganów).

Stamtąd dołączył do Wojska Polskiego we Francji, skąd z kolei w lutym 1940 r. przeniesiono go do Londynu. Najpierw służył jako mechanik w ośrodku polskiego lotnictwa w Blackpool, a następnie zaczął pracować w brytyjskich zakładach lotniczych (zajmował się silnikami wysokoprężnymi), aż w końcu trafił do wojskowych zakładów Rolls-Royce'a w Derby. Zarówno z Budapesztu, jak i z Anglii pisał do pozostawionej w Polsce rodziny, zawsze jednak pod zmienionym imieniem.

Po zakończeniu II wojny światowej chciał wrócić do Polski, ale ze względu na tajny charakter jego pracy w Anglii w przemyśle zbrojeniowym nie było to możliwe. W komunistycznym już kraju czekałoby go zapewne co najmniej aresztowanie i śledztwo.

Zapisał się do miejscowego Klubu Alpejskiego, jeździł na wycieczki i wspinaczki do Peak District i innych skalnych rejonów Anglii. Tak też postanowił spędzić urlop latem 1945 r. Wraz z zaprzyjaźnioną Lorną Wilkinson biwakował i wędrował po wzgórzach i klifach Kornwalii. Po raz ostatni widział ich 5 lipca znajomy lotnik, stacjonujący w pobliżu. Według niego relacja Bujaka i Wilkinson nie wyglądała na romantyczną. Tego dnia wysłali też do znajomych kartkę z miejscowości Penzance. W tym miejscu ich ślad się urywa.

Według najpoważniejszej hipotezy poszli kąpać się lub wspinać na klifach i utonęli, porwani przez silne morskie prądy. Według innych zaginięcie mogło mieć związek z tajną pracą Bujaka dla brytyjskiego wojska. Tak czy inaczej, historia Jakuba Bujaka urwała się gwałtownie.

We mgle

Równie tajemniczy jest finał życia Janusza Klarnera.

Przeżył wojnę na terenie okupowanej Polski. Wcześniej w kampanii wrześniowej dowodził baterią artylerii. Walczył u boku brata Jerzego, który popełnił później samobójstwo, po pojmaniu go przez gestapo. Janusz z kolegami inżynierami otworzyli w okupowanej Warszawie warsztat samochodowy. Wziął udział w powstaniu warszawskim. Został poważnie ranny: kula przeszła przez czaszkę, nie uszkadzając jednak mózgu. Zdążył zostać jeszcze ojcem.

Ale przynależność do Armii Krajowej w komunistycznej Polsce stała się brzemieniem. Żadne wydawnictwo nie chciało opublikować książki „Nanda Devi", którą napisał jeszcze pod koniec wojny.

W sobotę 17 września 1949 r. wyszedł z mieszkania przy ul. Lipskiej i rozpłynął się w warszawskich ruinach. Tak jak po wielu jego kolegach, nie pozostał po nim nawet ślad w dostępnych dziś archiwach. Za jego zaginięciem – według najsilniejszej hipotezy – mógł stać Urząd Bezpieczeństwa, polujący na oficerów AK. Czy został zamęczony w katowni UB i pogrzebany anonimowo? Jednak wtedy powinien zostać w archiwach jakiś ślad. Czy może trafił w ręce sowieckiego NKWD i zmarł w syberyjskim łagrze?

Podobnie jak ostatnie chwile wszystkich uczestników wyprawy, także los Janusza Klarnera rozmył się niczym w monsunowej himalajskiej mgle.

© BARTEK DOBROCH

Korzystałem z książek: Dariusza Jaronia „Polscy himalaiści", Janusza Klarnera „Nanda Devi" oraz z „Dziennika himalajskiego i innych opowieści Jakuba Bujaka" w opracowaniu Magdaleny Bujak-Lenczowskiej.

NAUKA

SYGNAŁ ZETKNIĘCIA

Pięćdziesiąt lat temu człowiek po raz pierwszy stanął na Księżycu. To było najważniejsze zadanie całego programu Apollo. Choć nie jedyne.

PIOTR STANKIEWICZ

Sześć lądowań, dziewięć lotów w sąsiedztwo Księżyca, lotów załogowych w programie jedenaście, a załogowych lotów na statkach Apollo aż piętnaście (doliczyć trzeba misje Skylab i Apollo-Sojuz). Do historii przeszedł Apollo 11, ale program Apollo ma swoją własną historię, od tragicznego pożaru Apolla 1 po doskonale bezawaryjny lot Apolla 17. Tych sześć lądowań też było zupełnie różnych: od Apolla 11, z jego krótkim i jednorazowym wyjściem na powierzchnię (Buzz Aldrin chodził po Księżycu niecałe dwie godziny), po Apollo 15, 16 i 17, które były całymi wyprawami geologicznymi, każda z nich z trzema pełnymi dniami roboczymi na powierzchni (astronauci Eugene Cernan i Harrison Schmitt z Apolla 17 spędzili w sumie 22 godziny i 4 minuty poza statkiem).

Bez systemu zapasowego

Jak właściwie do tego doszło? Jak to się udało? Najkrótsze streszczenie jest takie: Apollo był piramidą, drabiną, gdzie żaden krok nie jest możliwy bez tych poprzednich. Pozwólmy sobie na odrobinę poetyki encyklopedycznej. Apollo 7 to był dziewiczy lot statku Apollo, a Apollo 8 to pierwszy lot na Księżyc i wejście na orbitę wokół niego. Apollo 9 to dziewiczy lot lądownika, a Apollo 10 to połączenie ich wszystkich i próba generalna – lot statku razem z lądownikiem na orbitę Księżyca plus zejście z orbity aż do wysokości 14,4 km. Apollo 11, wiadomo, pierwsze lądowanie (ale też, co nie mniej istotne, pierwszy start z powierzchni Księżyca). Apollo 12 – pierwsze precyzyjne lądowanie (Charles Conrad i Alan Bean wylądowali tuż obok automatycznej sondy Surveyor 3), a Apollo 14 to pierwsze lądowanie poza płaskimi morzami księżyco-

SCIENCE & SOCIETY PICTURE LIBRARY / GETTY IMAGE

wymi. Apollo 15 to pierwsza misja w najbardziej ambitnej konfiguracji, z trzydniowym pobytem na powierzchni, z użyciem słynnego „łazika" do jazdy po niej, z poprawionymi parametrami statku i dodatkowym spacerem w głębokim kosmosie w drodze powrotnej. A także pierwszy raz, kiedy astronauci zdjęli skafandry, kładąc się na Księżycu do snu.

Z punktu widzenia planowania misji i psychologii decyzji najtrudniejszym krokiem programu był Apollo 8, pierwszy lot do Księżyca. To była, jak wspominali menedżerowie NASA, najtrudniejsza decyzja do podjęcia. Bo był to skok wiary w otchłań, i to całkiem dosłownie: to pierwszy raz, kiedy ludzka załoga opuściła niską orbitę okołoziemską, udając się w podróż tysiąc razy dalszą. Był to też pierwszy raz, kiedy załogowy statek wszedł na orbitę wokół Księżyca i pierwszy raz, kiedy ją opuścił. A wszystko to przy pomocy jednego tylko silnika rakietowego. Cały Apollo kręcił się wokół minimalizowania ciężaru, a rzecz tak wielka i ciężka jak silnik nie mogła mieć systemu zapasowego. Mógł być tylko jeden i on musiał zadziałać. Gdyby nie zadziałał lub zadziałał źle, załoga rozbiłaby się o Księżyc albo zostałaby uwięziona na jego orbicie na zawsze, bez żadnej, choćby teoretycznej, możliwości ratunku. Nic więc dziwnego, że choć silnik miał swoją nazwę – Service Propulsion System – i oczywiście zgrabny skrót SPS, to mówiono o nim po prostu: The Engine. Przez wielkie „T" i z głębokim szacunkiem w rodzajniku.

Seria pierwszych razów

Drugim najtrudniejszym krokiem – psychicznie i technologicznie – było oczywiście samo lądowanie. Był to cały bukiet „pierwszych razów": pierwsze lądowanie na innym ciele niebieskim, ale również pierwsze podejście do lądowania, którego nie dało się wypróbować na Ziemi. Lądownik był stworzony do działań wyłącznie poza atmosferą ziemską i przy grawitacji księżycowej, więc jedyne, na co mogli liczyć Neil Armstrong i wspomniany już Conrad (dowódcy Apolla 11 i 12), to próbne loty na LLRV i LLTV, dziwacznych pojazdach nazywanych „latającymi ramami od łóżka". Z czasem okazało się, że to całkiem dobre symulatory, a doświadczenie nabyte nad teksańskimi nieużytkami sprawdza się nad powierzchnią Księżyca.

Ale nie było tego wiadomo zawczasu. Natomiast było wiadomo, że w maju 1968 r. jeden LLRV się rozbił, a Armstrong katapultował się zeń w ostatniej chwili.

Apollo 11 to również pierwszy kontakt człowieka z gruntem księżycowym... ale nie tylko w tym historycznym, *quasi*-metafizycznym znaczeniu, że oto spełniono marzenie Konstantina Ciołkowskiego, podnosząc kamyk z powierzchni Srebrnego ↦

Rakieta Apollo 11 na mobilnej platformie zmierza w kierunku miejsca startowego, Cape Canaveral, Floryda. 16 lipca 1969 r. Neil Armstrong, Edwin Buzz Aldrin i Michael Collins wystartowali w kierunku Księżyca. Poniżej: Buzz Aldrin przygotowuje sprzęt badawczy.

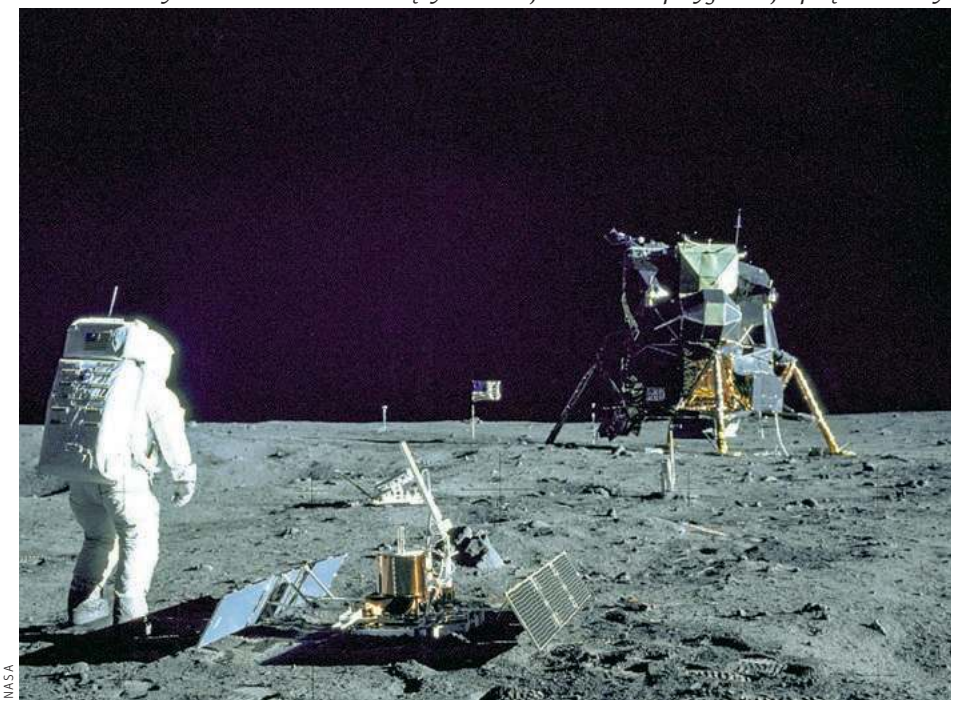

NASA

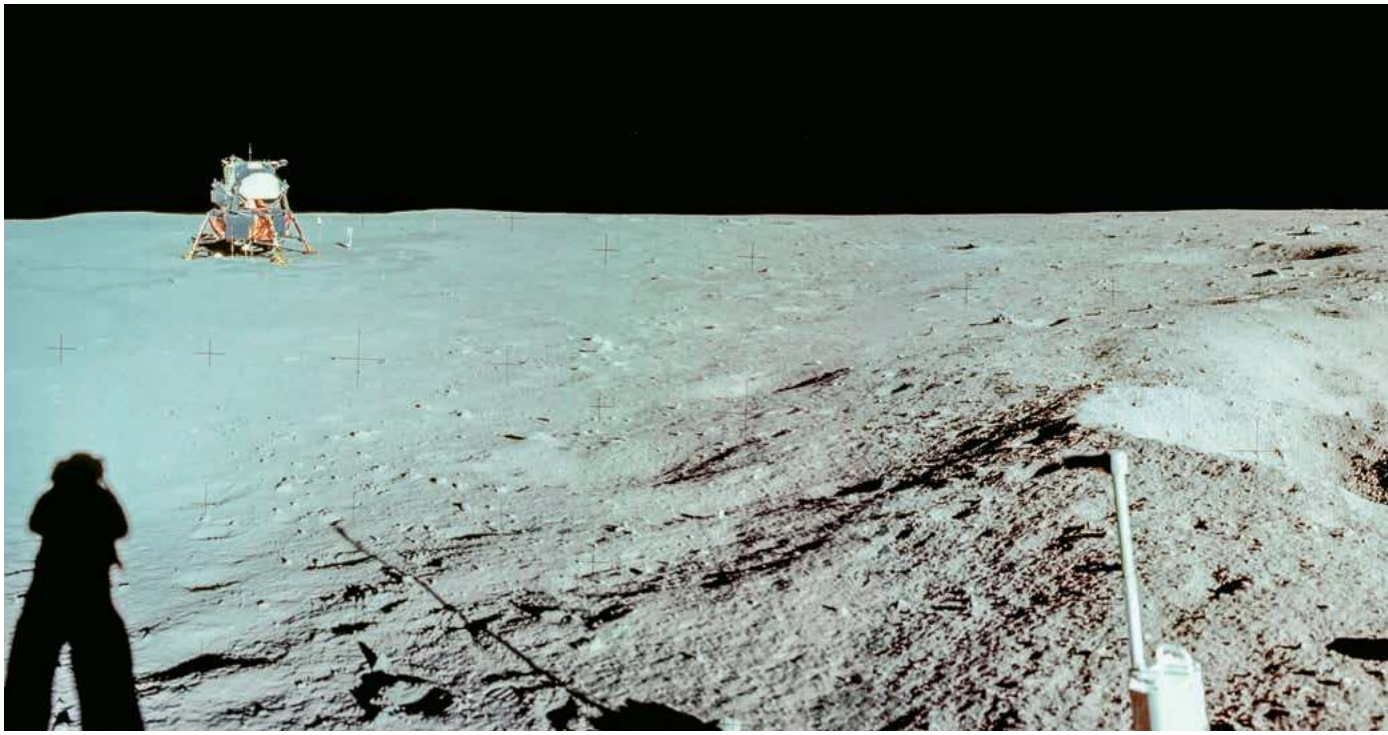

NASA X2

Moduł księżycowy LM po lewej stronie kadru zdjęcia, które robi Neil Armstrong (widać jego cień) podczas spaceru po Księżycu. Po prawej: Buzz Aldrin, w wizjerze jego hełmu widać odbicie fotografującego Neila Armstronga.

↦ Globu. Dla inżynierów i planistów Apolla miało to znaczenie bardzo konkretne, namacalne. Co się właściwie stanie, gdy Armstrong i Aldrin wrócą do kabiny, napełnią ją tlenem i otworzą hełmy skafandrów? Czy nie zaatakują ich jakieś księżycowe mikroby? Co więcej, były obawy, że pył księżycowy na ich butach i skafandrach... się zapali. Dziś brzmi to absurdalnie, ale 50 lat temu była to niebezpodstawna obawa. Materiał zalegający powierzchnię Księżyca nie był przecież nigdy, przez całe miliardy lat, wystawiony na działanie tlenu. Jaka więc będzie reakcja? Na szczęście, jak wiemy, obyło się bez pożaru. I wiemy już, że powierzchnia Księżyca ma wyraźny, intensywny zapach, podobny do prochu strzelniczego.

A po tym wszystkim: start z powierzchni, kolejny z momentów krytycznych. Dwójka astronautów na powierzchni Księżyca, a więc na wysokości zero i przy zerowej prędkości, nie miała żadnego pola manewru. Jej życie zależało wyłącznie od kolejnego napędu – silnika stopnia wzlotowego. Gdyby nie zadziałał, gdyby nie zdołał unieść statku na orbitę księżycową, oznaczałoby to śmierć, bez taryfy ulgowej i wariantu pośredniego. Tu również nie było i nie mogło być silnika rezerwowego, nie było możliwości wysłania misji ratunkowej, nic z tych rzeczy. Wóz albo przewóz.

Silnik zadziałał bezbłędnie, przy każdym z sześciu startów z Księżyca.

Trzy ofiary

Ale wszystko zaczęło się od tragedii. 27 stycznia 1967 r. w pożarze statku Apollo 1 podczas próbnego odliczania na wyrzutni zginęli astronauci Virgil Grissom, Edward White i Roger Chaffee. Bezpośrednią przyczyną było przetarcie się izolacji na przewodach elektrycznych, przeskok iskry i *auto da fé* w czystym tlenie. Przy budowie statku starano się zapobiec pożarowi podczas lotu, a zaniedbano ryzyko pożaru na Ziemi. Co więcej – paradoksy zimnej wojny – w NASA nikt nie miał pojęcia, że w marcu 1961 r. dokładnie

WRACAMY NA KSIĘŻYC

Artemida

NASA SWÓJ SŁYNNY PROGRAM kosmiczny sprzed pół wieku nazwała imieniem greckiego boga Słońca. Program powrotu USA na Księżyc będzie nosił nazwę Artemis – mitologicznej siostry Apolla i bogini Księżyca. W 2024 r. ma na nim stanąć pierwsza kobieta.
W pierwszym etapie NASA zaprojektuje i przetestuje nową, ciężką rakietę. Znana pod skrótem SLS (Space Launch System) będzie korzystać z niektórych rozwiązań obecnych w wahadłowcach. Jej napęd stanowią silnik główny na wodór spalany w czystym tlenie (w wyniku czego powstaje wyłącznie para wodna) oraz silniki pomocnicze (tzw. boostery), wykorzystywane w promach kosmicznych. Nad przygotowaniem całej rakiety pod nadzorem inżynierów z NASA pracuje około tysiąca amerykańskich firm. Pierwszy start testowy zaplanowano na czerwiec 2020 r.
Sama rakieta to oczywiście tylko część projektu. Drugą jest Orion – statek kosmiczny, który docelowo ma wylądować na Księżycu. Znajdzie się w nim miejsce dla dwóch osób. W maju tego roku zaprezentowano projekt stworzony przez firmę Blue Origin, należącą do Jeffa Bezosa – do niedawna najbogatszego człowieka świata. Lądownik nazwany Blue Moon, wyposażony w silnik na ciekły wodór, nie jest jedynym, który startuje w konkursie. Swój projekt zaprezentowała też znana firma lotnicza Lockheed Martin. Wyścig na Księżyc już trwa w najlepsze – tu, na Ziemi.

© MIROSŁAW DWORNICZAK

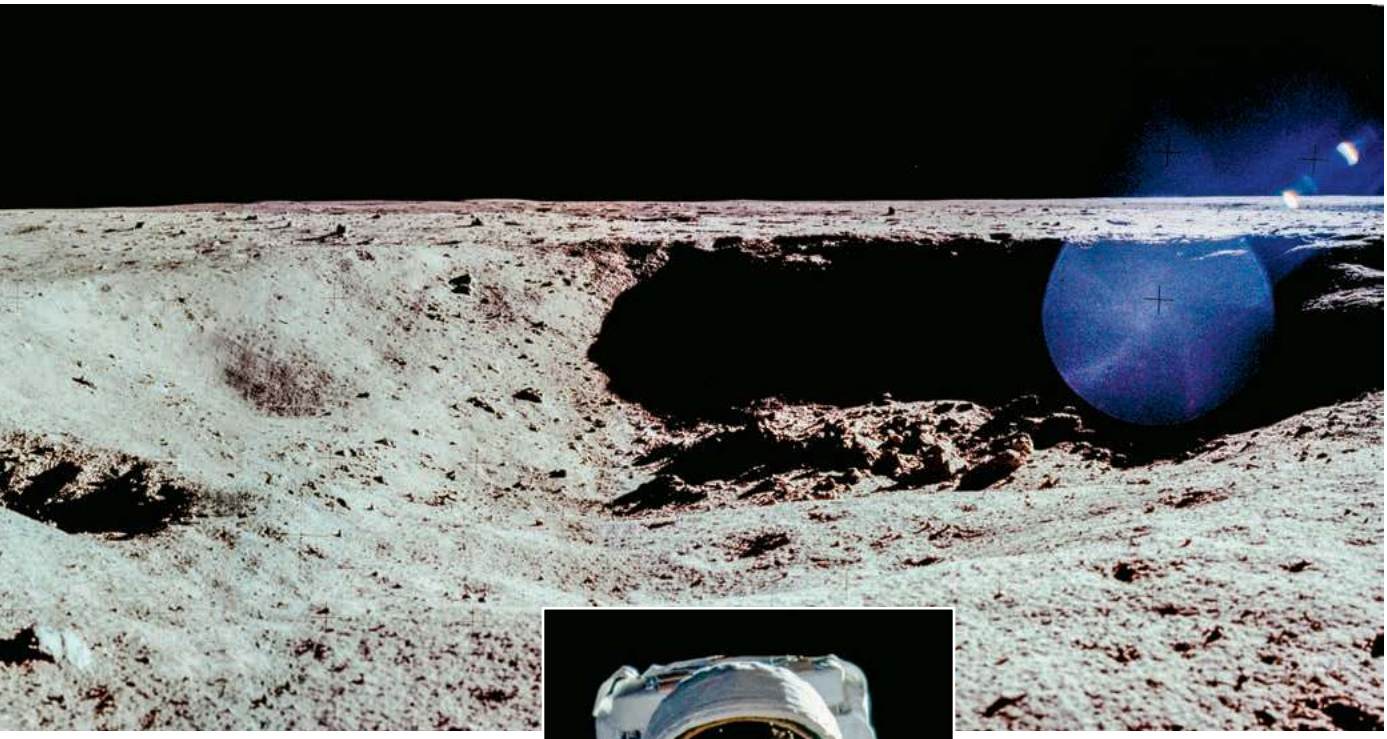

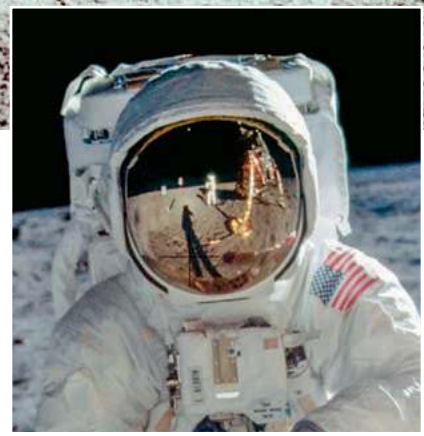

z tej samej przyczyny (pożar w atmosferze wysokotlenowej) spłonął w czasie testów kosmonauta Walentin Bondarenko.

Co było głębszą przyczyną? Dzisiaj w Polsce powiedzielibyśmy pewnie „tupolewizm", ale wtedy mówiło się *go fever* (gorączka pośpiechu). Zbliżał się wyznaczony przez prezydenta Kennedy'ego termin końca dekady, Amerykanie chcieli prześcignąć Rosjan i wszystko to sprawiało, że procedowano zgodnie z planem, choć wiadomo było, że technika nie jest do końca dopracowana. Tragiczną ironią losu pozostaje, że Grissom, który w 1961 r. niemal utopił się przy wodowaniu swojego statku Mercury, bo z nieznanych przyczyn właz otworzył się samoczynnie, zginął przez właz Apolla, który był zabezpieczony jak szafa pancerna i nie dało się go szybko otworzyć, by uciec z płomieni.

Jeśli jednak za pożar odpowiadał „tupolewizm", to NASA umiała go przezwyciężyć i wyjść na prostą. Choć, oczywiście, większe czy mniejsze problemy pojawiały się nadal – największe oczywiście w Apollo 13, ale przecież nie tylko wtedy. Samo przeprojektowywanie Apolla trwało długo, a dziewiczy lot Apolla 7 odbył się dopiero półtora roku po pożarze. Był on pełnym sukcesem od strony technicznej, pojawiły się za to konflikty na froncie ludzkim. Załoga protestowała przeciwko przeładowanemu grafikowi, stawiała opór kontrolerom, a do tego cała trójka (Walter Schirra, Donn Eisele, Walter Cunningham) się przeziębiła – i zbuntowała przeciwko obowiązkowi założenia hełmów do lądowania (chodziło o to, żeby móc wyrównywać ciśnienie w uszach). Pół roku później nieopatrzne przełączenie trybu nawigacyjnego sprawiło, że lądownik Apolla 10 wpadł w niekontrolowane obroty kilkanaście kilometrów nad powierzchnią Księżyca. Analizy wskazały, że brakowało sekund do ostatecznej utraty kontroli, a przekleństwo wypowiedziane wtedy przez Cernana stało się dla NASA sporym problemem PR-owym.

To, co działo się w czasie podejścia Apolla 11 do lądowania, jest opowieścią dość znaną. Jedenastokrotnie rozlegały się alarmy 1201 i 1202 o przeciążeniu pamięci operacyjnej komputera (o co nie było trudno – ten komputer miał pamięć mniejszą niż dzisiejszy kalkulator). Jak wiemy, udało się wylądować szczęśliwie. Apollo 12 również wylądował bez przeszkód, choć tym razem to start z Ziemi był dramatyczny. W drugiej minucie lotu w rakietę nośną uderzył piorun i wszystkie systemy statku padły. Wydawało się, że start musi zostać przerwany i że tym razem Apollo nigdzie nie doleci. Ale doleciał, bo John Aaron, 26-latek z kontroli lotu w ciągu kilku krytycznych sekund wymyślił, że można przywrócić zasilanie mało komu znaną komendą „SCE to AUX". I zadziałało.

Wyciek soku pomarańczowego

Niedoszłe trzecie lądowanie, czyli Apollo 13, to znów historia znana, z filmu z Tomem Hanksem oczywiście. Eksplozja zbiornika z tlenem w dwóch trzecich drogi do Księżyca wyłączyła z użytku główne moduły Apolla, a załoga przeżyła tylko dlatego, że schroniła się w lądowniku, który stał się jej „szalupą ratunkową". Niecały rok później Apollo 14 miał przywrócić cały program na odpowiedni kurs, a społeczeństwu wiarę w podbój kosmosu. I to się udało, ale nie bez poważnych problemów. Najpierw, wkrótce po opuszczeniu orbity okołoziemskiej, załoga nie mogła połączyć się z lądownikiem i wyciągnąć go z „garażu" na szczycie rakiety Saturn. Połączenie udało się dopiero po szóstej próbie. Później okazało się, że w systemie lądownika uporczywie pojawia się błędny sygnał odejścia – trzeba było przeprogramować komputer, żeby „obejść" ten sygnał. Kolejny problem pojawił się już przy samym podejściu do lądowania: nie chciał się uruchomić radar podający wysokość ↦

nad powierzchnią Księżyca. Nie było jasne, czy Alan Shephard nie zdecyduje się na złamanie reguł i lądowanie bez radaru. Na szczęście ktoś w Houston zauważył, że radar jest włączony i działa, tylko jest nastawiony na nieskończoność – szybka rekalibracja uratowała sytuację i wszystko potoczyło się zgodnie z procedurą.

Chyba jedynym stuprocentowo bezawaryjnym był ostatni lot, czyli Apollo 17. Apollo 16 miał bowiem zasadniczy problem na orbicie Księżyca: pojawiły się wątpliwości co do samego silnika SPS. Awaria oznaczałaby oczywiście odwołanie lądowania, ale skończyło się na jego opóźnieniu o sześć godzin. Bywały też problemy natury medycznej. Frank Borman w Apollu 8 dostał ostrych wymiotów i biegunki, co oczywiście było nieprzyjemne w nieważkości i maleńkiej kapsule bez urządzeń sanitarnych, ale też sprawiło, że w Houston zaczęto rozważać zawrócenie statku w pół drogi do Księżyca (czy to choroba lokomocyjna, promieniowanie kosmiczne, wirus? A co, jeśli zarazi się cała załoga?). Z kolei u astronautów Apolla 15 pojawiły się zaburzenia rytmu serca w czasie, gdy byli na Księżycu. Nic się złego nie stało (jak skomentował jeden z lekarzy: przebywają w zmniejszonej grawitacji, w czystym tlenie i pod stałą kontrolą – nic lepszego nie można rekomendować), za to ustalono, że to na skutek niedoboru potasu. Stąd też, w następnym locie, Apolla 16, zarządzono, że astronauci mają pić mnóstwo bogatego w potas soku pomarańczowego. Co miało reperkusje natury nieco humorystycznej, bo John Young, dowódca wyprawy, podczas pobytu na powierzchni Księżyca skarżył się na ciągłe puszczanie wiatrów, a podajnik tego soku w skafandrze Charlesa Duke'a był źle ustawiony, co sprawiło, że przez całe lądowanie sok na niego wyciekał. Nie było mu jednak do śmiechu, bo każdy problem ze skafandrem próżniowym oznaczał ryzyko.

NASA

W stanie nieważkości. Buzz Aldrin ćwiczy na pokładzie KC-135, 1969 r.

Mechanizm z Antykithiry

Historia Apolla jest więc historią wielkiego powrotu. Najpierw Apollo zabił trzech astronautów, jeszcze zanim się oderwał od Ziemi, a ostatecznie stał się pewnym i wiarygodnym statkiem kosmicznym. Silnik SPS – The Engine – ośmiokrotnie wprowadzał Apolla na orbitę księżycową i ośmiokrotnie kierował go z powrotem ku Ziemi, zawsze bezbłędnie. Jeszcze wyraźniej to widać z lądownikiem. Ten kruchy, pokryty złotą folią stateczek, który jesienią 1968 r. opóźniał cały program, bo ciągle był niegotowy (przy jednej z prób ciśnieniowych rozleciało się okno, innym razem części, które w teorii miały idealnie do siebie pasować, w ogóle nie chciały się połączyć), stał się ostatecznie jego najsolidniejszym elementem i ani razu nie spowodował większego

WRACAMY NA KSIĘŻYC

Chińskie ambicje

WŁASNY PROGRAM BADAŃ

Księżyca – Chang'e – ogłosiły w 2003 r. Chiny. Nazwa pochodzi z kolei od chińskiej bogini Księżyca. W pierwszej fazie (w 2007 i 2010 r.) na orbitę księżycową wprowadzono sondy, których zadaniem było wykonanie map oraz pomiarów naukowych. Kolejne misje miały na celu lądowanie na powierzchni, co udało się dokonać Chang'e 3 w 2013 r. Na pokładzie lądownika znajdowała się pierwsza wersja łazika Yutu (po chińsku: jadeitowy królik). Był to pierwszy bezzałogowy łazik od czasu radzieckich łunochodów. Niestety, szybko doszło do awarii mechanicznej, wskutek której nie wykonał on zaplanowanych zadań. Pod koniec 2018 r. Chinom udało się nie tylko dostarczyć na Księżyc lądownik z łazikiem Yutu-2, było to też pierwsze w historii lądowanie po niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca. Nowy łazik rozpoczął eksplorację powierzchni zgodnie z zaplanowanym harmonogramem. Na pokładzie sondy znajdowały się ziarna bawełny, z których jedno wykiełkowało.
W bieżącym roku planowane jest kolejne lądowanie – tym razem zadaniem sondy będzie m.in. pobranie ok. 2 kg regolitu księżycowego (skalnego pyłu zalegającego powierzchnię) i dostarczenie go na Ziemię. Dalsze plany Chin obejmują m.in. lądowanie statku załogowego, ale dopiero po 2030 r. Chińczycy planują w tym zakresie współpracę z Rosjanami, choć jej szczegóły nie są na razie znane. © MD

problemu. Ba, w locie Apolla 13 uratował życie załogi, wykonując cały szereg manewrów, do których w ogóle nie był przeznaczony.

Program Apollo jest dzisiaj legendą, a stał się nią, jeszcze zanim się skończył. Jest też anomalią, XX-wiecznym mechanizmem z Antykithiry, zjawiskiem, które nie pasuje do epoki. Był też bardzo krótki, o czym się rzadko dzisiaj pamięta. Prezydent Nixon, witając astronautów Apolla 11 na lotniskowcu Hornet, powiedział, że tydzień tego lotu to był najwspanialszy tydzień w historii świata, od czasu jego stworzenia. Dobrze napisane przemówienie, ale prawda była nieco inna. To było najwspanialsze dziewięć miesięcy. Zaledwie 9 miesięcy i 9 dni upłynęło między startem pierwszego Apolla z człowiekiem na pokładzie do chwili, gdy Armstrong i Aldrin wylądowali na Morzu Spokojnym. Czas trwania ludzkiej ciąży – zaledwie 282 dni!

A jednak sukces programu Apollo nie przełożył się na projekty bardziej długofalowe. Od prawie pół wieku nikt nie był na Księżycu, o Marsie nie mówiąc. Nazwa Apollo pochodzi z mitologii i trochę wraca do mitu. Powoli umierają ostatni uczestnicy. Do dziś żyje tylko czterech „apollinów", którzy chodzili po Księżycu – Aldrin ma 89 lat, Scott – 87, Duke 83, Schmitt 84. A my patrzymy wstecz i zastanawiamy się, czym właściwie był ten Apollo i skąd się wziął. Apollo, czyli transcendencja. Na miarę naszych czasów.

Szczypta patosu jest tu na miejscu. Człowiek podniósł kamyk z powierzchni Księżyca, tego samego, do którego wzdychały pokolenia zakochanych, który towarzyszył nam od zawsze, począwszy od afrykańskiej sawanny, kołysał się hen, nad drzewami. Był też symbolem czegoś absolutnie nieosiągalnego, nie z naszego świata. To widać do dzisiaj w języku, w takich frazach jak „urwać się z Księżyca", „księżycowe żądania" czy *to promise the moon* (obiecywać niemożliwe, dosł. „obiecywać księżyc"). Pół wieku temu to się zmieniło – człowiek sięgnął po to, co nieosiągalne.

Między światami

Mówi się – przynajmniej w Stanach – że fajnie było żyć w latach 60., żeby oglądać to wszystko na własne oczy. Dzięki cudom fotografii, filmu i internetu również i my możemy dokładnie to śledzić. A nawet dokładniej. Na YouTube są nagrania z lądowania Apolla 11 zestawione z obrazami z Google Moon i nagranym komentarzem Armstronga. Użytkowniczka Amy Shira Teitel (polecam!) będzie prowadzić na Twitterze relację z pierwszego lądowania – wszystko z opóźnieniem równo 50 lat, co do minuty. To wszystko jest cały czas dostępne. I będzie dostępne.

Ale jedno doświadczenie powoli znika: za jakiś czas nie będziemy już wiedzieć, jak to było przejść ze świata, w którym Księżyc jest symbolem nieosiągalnego, do świata, w którym ludzie po nim chodzili. A to się przecież zmieniło w przeciągu jednego pokolenia! Dla młodych ślad stopy na Księżycu jest oczywistością.

O Apollu opowiada się z reguły przez pryzmat wyścigu USA z ZSRR, ale dziś coraz bardziej widać, że inny kontekst jest tu nie mniej istotny. Jeff Tiedrich ujął to tak: „Cześć dzieciaki! Jestem po sześćdziesiątce. Wy nigdy nie mieszkaliście w Ameryce, w której bogaci płacili na państwo tyle, ile powinni płacić. Ale ja żyłem. Pozwólcie, że wam powiem, jak to wyglądało. Zbudowaliśmy nowe szkoły i autostrady, było mniej biednych, byliśmy technologiczną awangardą świata. No i – do cholery – polecieliśmy na Księżyc".

■■■

Sama końcówka lądowania to moment krytyczny, bo nie ma już ani zapasu wysokości, ani czasu, żeby przerwać podejście. Na ostatnich metrach pozostaje już tylko bezpieczne lądowanie albo śmierć, bo silnik stopnia wzlotowego nie zdąży już awaryjnie poderwać statku na tyle szybko, żeby uchronić go przed rozbiciem.

„60 sekund" – Charles Duke nadaje przez radio z Houston. Pozostaje równo minuta do punktu „bingo", regulaminowej granicy, po której trzeba posadzić statek w ciągu 20 sekund albo przerwać podejście. Ale to już naprawdę ostatnie metry. Przez okna widać już tuman pyłu, który podnoszą z powierzchni gazy wylotowe. Widać cień statku rzucany bezpośrednio na powierzchnię. „Podnosi się pył... Widać cień" – donosi Aldrin.

„Trzydzieści sekund" – lakonicznie informuje Duke. Chwilę później jedna z trzech sond umieszczonych na spodzie lądownika wchodzi w grunt. Zapala się kontrolka *lunar contact*.

„Sygnał zetknięcia" – słychać słowa Aldrina z Księżyca. Jest godzina 20:17:40 czasu Greenwich. 20 lipca 1969 r.

© PIOTR STANKIEWICZ

WRACAMY NA KSIĘŻYC

Nauka, kopalnie i turystyka

W CIĄGU DEKADY LUDZIE prawdopodobnie będą się pojawiać na Księżycu w celach rekonesansowych. Istnieją też plany założenia tam stałej bazy. To z kolei wstęp do eksploracji Marsa, a może także księżyców Jowisza lub Saturna. Stała baza księżycowa pozwoli na testowanie rozwiązań, które będzie można wykorzystać w dalszych misjach.

Księżyc kusi także potencjalnymi zasobami. Wiemy, że w tamtejszym regolicie znajdują się spore ilości m.in. helu-3 – izotopu (jego jądro składa się z dwóch protonów i jednego neutronu), który mógłby być wykorzystywany do prowadzenia kontrolowanej reakcji termojądrowej, dostarczającej czystej energii. Na Ziemi helu jest niewiele, występuje głównie w postaci izotopu hel-4, o dwóch protonach i neutronach w jądrze. Jednak jak na razie skórka nie jest warta wyprawki. Koszty stworzenia odpowiedniej bazy wydobywczej, ekstrakcji helu-3 z regolitu i dostarczenia go na Ziemię są gigantyczne. Nie udało się również dotąd stworzyć działającej instalacji do fuzji jądrowej korzystającej z tego izotopu.

Można już za to zapisywać się na komercyjną wycieczkę na Księżyc. Kilka prywatnych firm oferuje miejsca w statkach kosmicznych, które mają zabrać turystów w podróż wokół Księżyca, albo też wprost na powierzchnię naszego satelity. Koszty takich wakacji również będą olbrzymie, liczone w setkach milionów dolarów. Kandydaci będą oczywiście musieli przejść intensywne szkolenie na Ziemi i dopiero potem będą mogli wygodnie zasiąść w fotelach, aby podziwiać kosmiczne widoki. Pierwotny projekt, który znany jest pod nazwą #dearMoon, przewiduje, że pierwszy lot turystyczny powinien się odbyć już w 2023 r. © MD

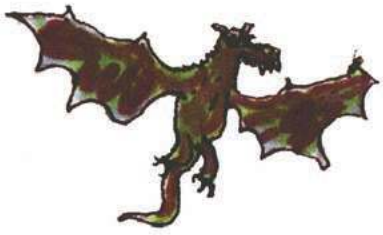

WIOSNA ŚREDNIOWIECZA

Wieki średnie zrobiły się ostatnio nadzwyczaj aktualne. Zarzut „cofania do średniowiecza” podnosi się przeciw politykom, duchownym i wielkim korporacjom. Do tego mamy jeszcze karierę „Wiedźmina” albo „Gry o tron”.

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI
ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Słychać to nieustannie: „nie żyjemy przecież w średniowieczu!", „pan ma średniowieczną mentalność!", „tu panują w pracy stosunki feudalne!". Oskarżeni zwykle się bronią, ale nie brak też takich, którzy tę obelgę przekuwają w oręż, utożsamiając się z ideą powrotu do średniowiecza. Jak na przykład ksiądz Jacek Grzybkowski, filozof i wykładowca UKSW, który na łamach tygodnika „Idziemy" pisał kilka miesięcy temu: „Dzisiejsi niewierni to nie Saraceni, którzy atakują chrześcijański fundament Europy, ale migranci, którzy, jak się wydaje, chcą ostatecznie zanegować zdobycze liberalnej demokracji, pragnąc urządzić w środku Europy nowy świat, poddany plemiennej i religijnej narracji z ducha islamu – takie tezy odnajdziemy obecnie w publicznej debacie. Europa broni się jak średniowieczne rycerstwo, podejmując krucjaty w imię wolności i bezpieczeństwa – to wojna w Iraku i Afganistanie, konflikt w Syrii, permanentny stan wyjątkowy we Francji".

Podobnie wydaje się myśleć ponad stu mężczyzn, którzy na początku czerwca złożyli „Ślubowanie miecza", wstępując w szeregi Wojowników Maryi. Film przedstawiający „współczesnych rycerzy" przyjmujących z mieczami w dłoniach komunię świętą robi furorę w internecie, u jednych wywołując skojarzenia z krucjatami, u innych zaś – ze zlotem miłośników *fantasy*.

A przecież poza sporem tych, co się średniowiecza boją, i tych, co do niego tęsknią, nie brak jeszcze takich, co z chłodną obojętnością wskazują na neomediewalny charakter konkretnych współczesnych zjawisk. Wzrasta autonomiczność miast. Uniwersytet szuka powrotu do idei wspólnoty uczących się i uczonych. Migracje obejmują nie tylko szerokie rzesze ludności przemierzające kontynenty we współczesnych wędrówkach ludów, lecz także poszczególne zawody – na przykład wspomnianych akademików, którzy, powiada się, coraz bardziej przypominają średniowiecznych wędrownych uczonych albo skazanych na tułaczkę i tymczasowość kontraktów goliardów.

Całości obrazu dopełnia kariera „Wiedźmina", „Gry o tron", niesłabnąca popularność powieści Tolkiena czy gier RPG osadzonych w quasi-mediewalnych realiach.

Co właściwie miałby oznaczać powrót średniowiecza?

Most nad ciemną doliną

Średniowiecze nigdy nie istniało. Nie było, nie ma i nie będzie czegoś podobnego. Wieki średnie nie są bowiem bytem autonomicznym (faktem czy przedmiotem), lecz raczej czymś na kształt złudzenia optycznego. Jeżeli na szarej powierzchni narysujemy równolegle dwie jasne kreski, to – na zasadzie kontrastu – przestrzeń między nimi wyda się ciemniejsza, niż jest w rzeczywistości. W ten sam sposób rodzi się w naszej wyobraźni idea średniowiecza.

Koncepcja wieków średnich opiera się na prostym pomyśle nakreślenia dwóch wzgórz („starożytność" i „odrodzenie"), pomiędzy którymi przerzucony zostaje most nad ciemną doliną. Średniowiecze to właśnie owa dolina – okres zawieszenia drogich nam wartości rozciągający się między współczesnością (powrót tego, co dobre) i równie współczesną fantazją na temat dobrej przeszłości, która potem jednak poszła w zapomnienie (tak właśnie zbudowana jest koncepcja starożytności, komplementarna wobec średniowiecza).

Każdy polski uczeń zna ten obraz doskonale z tak zwanej sinusoidy Krzyżanowskiego. Przedstawia ona naprzemienne następowanie po sobie epok „jasnych", związanych z rozumem, porządkiem i nauką, oraz „ciemnych", w których dominowały irracjonalizm, emocjonalna przesada i pierwiastek wiary. W ten sposób na lekcjach języka polskiego można było pokazać odwieczne prawo rzekomo organizujące historię świata od Heraklita z Efezu aż po Młodą Polskę. Mniejsza o to, że zestawia się tu okresy rozciągnięte na stulecia (antyk) z prądami literackimi trwającymi dwie-trzy dekady (pozytywizm), zjawiska ogólnoeuropejskie czy wręcz światowe (barok) z lokalnymi (wspomniana Młoda Polska)... Koncept „epok kulturowych", którego produktem, być może najwspanialszym, jest średniowiecze, miewa się dobrze, pomimo ostentacyjnego wręcz ignorowania realiów historycznych i geograficznych. A może nie pomimo, a właśnie dzięki tej pogardzie dla faktów?

Choć na szkolnych sprawdzianach epoki literackie wymieniamy jednym tchem, to nazwy, które tak łatwo zestawiamy w uporządkowany ciąg, mają bardzo różną genezę i w gruncie rzeczy oznaczają całkiem różne zjawiska – także z punktu widzenia świadomości ludzi, którym przyklejamy te upraszczające etykietki. Na przykład twórcy epoki oświecenia sami używali określenia „oświecenie" (choć wcale niekoniecznie w znaczeniu chronologicznym), a pisarze doby romantyzmu posługiwali się określeniem „romantyczny" lub jego pochodnymi.

Ze średniowieczem jest zupełnie inaczej. Ludzie średniowiecza nie wiedzieli, że żyją w średniowieczu. To truizm, ale warto od niego zacząć.

Maszyna zabiła człowieka

Z punktu widzenia historiozofii nowe średniowiecze to po prostu opowieść o tym, że nowoczesność się skończyła. Oto zbliża się koniec cywilizacji nauki, demokracji i postępu. Co więcej, źródłem jej upadku nie są jakieś zewnętrzne siły, lecz wyczerpanie się paradygmatu. Nowoczesność nie została zgaszona, lecz wypaliła się do cna.

Opowieści o powrocie mrocznych wieków zwykle zaczyna się dziś od wzmiankowania wydanej w roku 1924 książki Mikołaja Bierdiajewa „Nowe średniowiecze". Jedni przywołują ją jako źródło całego prądu intelektualnego, inni – jako negatywny punkt odniesienia. Bierdiajew był bowiem filozofem specyficznym – raczej czekał na nowe średniowiecze, niż się go obawiał, wierzył też w dziejową misję narodu rosyjskiego, którego powołaniem „powinna być praca nad światowym zjednoczeniem, stworzenie jedynego chrześcijańskiego kosmosu duchowego".

„Nowe średniowiecze" przedstawia wizję świata podzielonego na trzy epoki: starożytność – średniowiecze – nowożytność. Kołem zamachowym tej ostatniej był humanizm ufundowany na pochwale indywidualizmu i poszukiwaniu prawdy metodami rozumu. Niestety, jak pisze Bierdiajew, „humanizm nie dotrzymał obietnic". Zamiast wywyższyć człowieka, sprowadził go do roli inteligentnego zwierzęcia (materializm), podmiotu praw obywatelskich (rewolucja francuska) czy biernego przedmiotu procesów gospodarczych (kapitalizm, socjalizm). Jednak ostatecznie, pisze Bierdiajew, renesans zabiła dopiero technologia. „Maszyna zburzyła całą odwieczną ↦

strukturę życia ludzkiego, organicznie związanego z życiem natury. Mechanizacja życia zabiła radosny nastrój Renesansu i uniemożliwiła dalszy twórczy rozwój życia".

Dlatego właśnie, jak twierdził Bierdiajew wkrótce po horrorze I wojny światowej i rewolucji bolszewickiej: „stajemy się świadkami barbaryzacji świata europejskiego. Po wyrafinowanej dekadencji, cechującej apogeum kultury europejskiej, następuje z kolei inwazja barbarzyństwa. (...) Mrok ogarnia Europę. Społeczeństwa europejskie wchodzą w okres starczej niemocy i zgrzybiałości".

Nietrudno się w tych słowach dopatrzeć bliskości konceptu nowego średniowiecza z wydanym w podobnym czasie „Zmierzchem Zachodu" Oswalda Spenglera i spopularyzowaną przez niego koncepcją, jakoby cywilizacje – podobnie jak organizmy – miały przeżywać kolejno młodość, dojrzałość i nieuniknioną starość zakończoną śmiercią. Bo fantazja o nowym średniowieczu to przede wszystkim fantazja o schyłku „naszej kultury" (czymkolwiek ma ona być), odbywającym się wedle uniwersalnego scenariusza: rozkład wartości, upadek imperium, inwazja barbarzyńców. Wiara w nowe średniowiecze zakłada więc przede wszystkim, że historia się powtarza. Jako takie nowe średniowiecze zaliczyć można do szerszego grona zjawisk nazywanych przez Zygmunta Baumana „retrotopiami". Utopijna wizja radykalnie odmienionej przyszłości zostaje tu zastąpiona opowieścią o powrocie tego, co już było.

Nim jednak zbędziemy Bierdiajewa pogardliwym wzruszeniem ramion, warto za zasłoną specyficznego mistycyzmu dostrzec także kształty niespodziewanie świeżych diagnoz. Bierdiajew przeczytany po niemal stu latach na chłodno, uważnie, okazuje się mówić rzeczy zaskakująco aktualne. Jego krytyka kapitalizmu albo związków między wyczerpującym się humanizmem a nową cywilizacją maszyny wygląda jak przepisana żywcem z najnowszych superbestsellerów.

„Cały system gospodarstwa kapitalistycznego jest dzieckiem wszystko niszczącej i pożerającej żądzy – pisze w prorockim uniesieniu Bierdiajew. – Autonomia życia gospodarczego doprowadziła do panowania gospodarstwa nad całym życiem społeczeństw ludzkich. Mamonizm stał się określającą siłą naszego wieku, w którym przede wszystkim kwitnie kult złotego cielca. I najokropniejsze jest to, że w tym niczym nie zamaskowanym mamonizmie wiek nasz widzi oznakę wyższości, zbliżenie do poznania prawdy, wyzwolenie od wszelkich złudzeń".

Kapitalizm jest religią wzrostu – przestrzega Yuval Noah Harari w książce „Homo deus" (2016): „Większości kapitalistów etykietka religii prawdopodobnie by się nie spodobała, ale w porównaniu z innymi religiami kapitalizm może przynajmniej podnieść dumnie głowę. (...) Z tej wiary w najwyższą wartość wzrostu kapitalizm wyprowadza swoje pierwsze przykazanie: zyski swe będziesz inwestował w powiększanie rozwoju".

W „Nowym średniowieczu" (mimo przeciwnego rozkładu akcentów) można też znaleźć podobne paralele do najnowszej książki Stevena Pinkera czy aktywistów ekologicznych zwracających uwagę na konsekwencje bezwzględnej polityki wzrostu gospodarczego. Niezależnie od tego, jakie jest nasze zdanie o Hararim, Pinkerze czy innych myślicielach głoszących koniec nowoczesności lub wręcz koniec człowieka, paralele te pokazują, że warto sięgnąć po Bierdiajewa, bo jego słowa po stu latach wciąż odbijają się echem w murach bibliotek, uniwersytetów i parlamentów.

Nowe wojny krzyżowe

Średniowieczni historycy muzułmańscy nie posługiwali się pojęciem wojen krzyżowych – zwraca uwagę Paul Connerton, jeden z twórców współczesnych badań nad pamięcią zbiorową, autor książki „Jak społeczeństwa pamiętają". Z ich punktu widzenia nie było to żadne starcie cywilizacji, lecz po prostu kolejna z licznych wojen z niewiernymi. Sytuacja zmienia się nieoczekiwanie po roku 1945, kiedy to wyprawy krzyżowe stają się pojęciem-kluczem służącym do opisania niecnych intencji zachodnich mocarstw. Stają się analogią historyczną dla europejskiego imperializmu obejmującego wyprawy Napoleona, podbój Egiptu, system mandatowy, ale też – co ważne – powołanie państwa Izrael i najnowszą historię wojen prowadzonych przeciw niemu przez państwa arabskie. Z tego punktu widzenia nowe średniowiecze okazuje się wręcz prawdziwsze niż to „stare"!

To doskonały przykład na to, że nowe średniowiecze ma także wymiar polityczny czy geopolityczny. Bruce Holsinger w dającej do myślenia książce „Neomedievalism, Neoconservatism, and the War on Terror" pokazuje, jak po zamachach z 11 września retoryka nowego średniowiecza służy do mobilizacji wojennego potencjału. W niepokojąco symetryczny sposób wykorzystują ją obydwie strony konfliktu. Osama Bin Laden twierdził, że to nie wojna Al-Kaidy przeciw USA, lecz „muzułmanów [całego świata] przeciw globalnym krzyżowcom". W tym samym czasie o „światowej krucjacie przeciw terrorystom" mówili prezydent George W. Bush i jego zwolennicy. Nowe średniowiecze można postrzegać właśnie jako czas krucjat. Nowych wojen, których podmiotami nie są już państwa narodowe, lecz religie czy cywilizacje uwikłane w proces nieustannego negocjowania własnych tożsamości i wielkie, obejmujące cały świat podziały na Wschód i Zachód czy Północ i Południe.

Pisząc o powrocie średniowiecza w myśli politycznej, zwykle przywołuje się nazwisko Hedleya Bulla, autora „The Anarchical Society". Ja na liście wraz z nim umieściłbym jeszcze George'a Kaplana („The Coming Anarchy") i Martina van Crevelda, którego „The Transformation of War" zastąpiło wytarte tomy von Clausewitza, stając się obowiązującym podręcznikiem każdego, kto chciałby zrozumieć, co w zasadzie dzieje się dziś na Bliskim Wschodzie, w Afryce Środkowej czy na Ukrainie.

Wszyscy oni za punkt wyjścia obierają rozpad czy zmianę roli państwa narodowego, stanowiącego jeden z kluczowych konceptów nowożytności. Państwo traci dziś monopol na użycie przemocy, prowadzenie wojen czy stanowienie prawa. Swoją suwerennością musi się dzielić z innymi podmiotami – globalnymi korporacjami, organizacjami międzynarodowymi czy religiami. Do łask wraca pojęcie „cywilizacji" jako podmiotu praw i obowiązków znacznie szerszego niż państwo narodowe. Sprawia to, że tożsamość poszczególnych ludzi staje się wypadkową ich współuczestnictwa w wielu grupach, a każda z nich – w tym państwo – bierze udział w skomplikowanych negocjacjach granic suwerenności i wpływów (pomyślmy tylko o przykładzie z ostatnich dni, gdy zderzyły się nieoczekiwanie domeny suwerenności państwa, Kościoła

i firmy IKEA. Pola bitew nowego średniowiecza są bliżej, niż nam się wydaje!).

Kaplan zwraca uwagę, że rozpad nowoczesności prowadzi do wytworzenia się w wielu miejscach globu „stref chaosu", w których przestają obowiązywać stare prawa ufundowane jeszcze na zasadach pokoju westfalskiego i monopolach państw narodowych. Nowożytny porządek opierał się na wierze (często naiwnej i nieznajdującej pokrycia w faktach), że cały świat da się podzielić granicami i pomalować na różne kolory układające się w mapę państw. Nie ma ziemi niczyjej, wszelkie spory o terytorium muszą w pewnym momencie znaleźć rozstrzygnięcie. Współczesne terytoria afrykańskich warlordów, oligarchizacja w państwach byłego ZSRR czy coraz bardziej niezależne od państw imperia wielkich korporacji wymykają się temu schematowi.

Van Creveld opisuje przemiany wojny, podążając tym samym tropem. Wojna konwencjonalna opierała się na triadzie państwo-wojsko-ludność cywilna. Nowożytny porządek świata zakładał, że wojny prowadziły między sobą wyłącznie państwa przy użyciu wojska. Łamanie tej zasady było przedmiotem potępienia i źródłem definicji pojęć takich jak „ludobójstwo", „rewolucja", „wojna domowa" czy „wojna totalna". Dziś, pisze van Creveld, te podziały się zacierają, a świat znacznie bardziej przypomina feudalny model sprzed epoki nowożytnej. Dominującą formą wojny staje się konflikt o niskiej intensywności (*low intensity conflict)* – trwająca nierzadko latami „dziwna wojna", w której nie ma zwycięzców i przegranych, zaciera się granica między cywilami i wojskiem, uaktywniają się podmioty inne niż państwa narodowe.

Co ciekawe, choć z punktu widzenia geopolityki nowe średniowiecze opiera się w znacznej mierze na upadku państw narodowych, to epoką, do której sięgają nacjonalizmy w obliczu groźby rozkładu, jest często właśnie średniowiecze. Od nazistowskiego kultu germańskich eposów po współczesne produkcje telewizyjne rozciągają się próby odnalezienia średniowiecznych korzeni nowoczesnych narodów i ich legitymacji.

Średniowiecze jest dziś określane przez miejsce w porządku dziejów. **Rycerze, damy i smoki** są drogowskazami, które odsyłają naszą wyobraźnię do czasów, gdy rozpadło się imperium.

Kraina cyfrowych mieczy

„Gdyby Darth Vader, Jacques Fournier i Parsifal spotkali się pewnego razu na pokładzie niezidentyfikowanego obiektu latającego gdzieś w pobliżu Montaillou – pyta Umberto Eco w eseju „Dreaming of Middle Ages" – czy mówiliby tym samym językiem? Jeżeli tak, czy byłby to galaktyczny *pidgin*, czy raczej łacina zaczerpnięta z ewangelii wg świętego Luke'a Skywalkera?". To wbrew pozorom nie początek dowcipu ani zapis naprawdę dziwnego snu, jaki nawiedził genialnego Włocha, lecz esencja jednej z jego najważniejszych koncepcji naukowych, która stała także u źródeł spektakularnego sukcesu, jakim okazało się „Imię róży". Głosi ona, że średniowiecze prześladuje współczesność niczym duch niepomszczonego ojca. Przybiera przy tym różne, nierzadko trudne do zidentyfikowania postacie. Nawiedza nasze sny jako negatywny punkt odniesienia, źródło romantycznych fantazji, ironicznego dystansu czy narodowych mitów. Jest wszędzie. Wystarczy wiedzieć, czego szukać.

W eseju Matthew M. Reeve'a „Nowe nowe średniowiecze" („Living in the New, New Middle Ages") możemy przeczytać między innymi: „Każda epoka wymyśla sobie takie średniowiecze, jakiego pragnie i potrzebuje. (...) Zachwyt średniowieczem mówi nam więcej o nas samych niż o »prawdziwym« średniowieczu. Średniowiecze gier RPG, Dana Browna i pseudonaukowej filologii, celtyckiego odrodzenia i kultury tatuaży – wszystko to zasługuje na uwagę".

W swoich poszukiwaniach współczesnych odczytań średniowiecza Reeve porusza też pewien szczególnie interesujący trop – ścisły związek najnowszych kulturowych odczytań średniowiecza z możliwościami, jakich dostarcza nam technologia. Cyfrowe efekty specjalne, multimedialne ekspozycje muzealne i gry komputerowe stają się wehikułami czasu, które przenoszą nas w światy rycerzy, zamków i smoków. Każda epoka ma więc nie tylko takie średniowiecze, o jakim marzy, lecz także takie, jakie jest w stanie wykreować.

Reeve wspomina, że gdy pierwszy raz oglądał w kinie „Władcę Pierścieni" Petera Jacksona, był pod wrażeniem nie tego, jak dobrze reżyser zdołał oddać książkę, lecz tego, jak dobrze przeniósł na ekran wyobrażenia, które miał o niej sam Reeve. Nie było tam pustej przestrzeni dla wyobraźni, umowności, teatralnych dekoracji. Realistyczni byli rycerze i zamki, a także elfy i gobliny. Nawet to, co nieprawdziwe, było jak prawdziwe. Dzięki komputerowym efektom specjalnym najnowsze nowe średniowiecze jest hiperrealistyczne również w odsłonie *fantasy*.

Być może stąd – dodaję już od siebie – wyraźna tendencja, by od modelu heroicznego odchodzić ku średniowieczu brudnemu, niedogolonemu, pełnemu przemocy, gwałtu i biedy. Z tektury i gipsu łatwiej odtworzyć ciągniętą przez łabędzia łódź Lohengrina niż sceny gwałtów, pożarów i podrzynania gardeł. Średniowiecze było kiedyś piękniejsze i bardziej wygładzone, bo przedstawiane było w słabszej jakości i mniejszej rozdzielczości. To jak ze starymi fotografiami. Wszyscy wyglądają na nich na ładniejszych, przystojniejszych ↦

↦ i gładszych. Im bardziej zaawansowana technologia przedstawiania, tym więcej brzydoty dostrzega widz.

Średniowiecze jako koncept kulturowy nie jest dziś określane przez miecze, zamki czy relacje feudalne, lecz przez miejsce w porządku dziejów. Jest okresem upadku, rozpadu, powrotu chaotycznego żywiołu, wypartego wcześniej poza granice imperium ufundowanego na umiarze i rozumie. Rycerze, damy i smoki są drogowskazami, które bezbłędnie odsyłają naszą wyobraźnię do czasów, gdy imperium się rozpadło, a bezdroża przemierzali odważni śmiałkowie stawiający czoło potworom chaosu i ustanawiający prawo na nowo swoimi bohaterskimi czynami.

Dlatego właśnie fantazje o powrocie średniowiecza tak dobrze się łączą nie tylko z estetyką filmów historycznych czy osadzonego w „alternatywnym średniowieczu" *fantasy*, lecz także z westernem (tu zamiast upadku imperium mamy świat poza jego granicami), *science fiction* czy nawet nurtami postapokaliptycznymi. Wiedźmin, Mad Max i samotny szeryf swymi czynami odtwarzają porządek w świecie zdominowanym przez chaos. Bo nowe średniowiecze to przede wszystkim fantazja o tym, że świat się nie zawali po upadku imperiów. Że prawo i porządek przetrwają, podtrzymywane czynami bohaterów.

Żyjemy w ciekawych czasach

Średniowiecze nigdy nie istniało, więc nie może powrócić. Nie jest materialnym przedmiotem ani faktem jak drzewo, stół albo kaczka, tylko abstrakcyjną koncepcją, ideą. Ale idee mają swoje konsekwencje. Nie należy ich lekceważyć.

Relacje władzy, polityka, etyka, estetyka i struktury zależności międzyludzkich zależą od tego, w co wierzymy i co uznajemy za dobre, prawdziwe czy nieuniknione. Jeżeli dostatecznie wielu ludzi – polityków, wyborców, twórców, widzów – uwierzy w ideę powrotu ciemnych wieków, zacznie się do niego przygotowywać, planować go, czynić zakłady, inwestować weń. Jeżeli zamiast przeciwdziałać rozpadowi struktur społecznych, katastrofom i barbarzyństwu, uznamy ich nadejście za nieuniknione prawo przyrody, to pewnego ranka faktycznie możemy się obudzić w świecie nowego średniowiecza.

Nie sądzę, żeby mi się tam podobało.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Babski wzrok

TEKST MAGDA HEYDEL ZDJĘCIA JOANNA HELANDER

Joanna Helander potrafi uchwycić potężną moc życiową swoich bohaterek. Jej fotografie emanują energią afirmacji, choć stanowią zarazem ważny projekt krytyczny.

Tytułowe zdjęcie albumu „Baby patrzą". Na pierwszym planie pięć bab z Rudy Śląskiej: tęgie, w ciemnych płaszczach, jedna w kwiecistej podomce, dwom rąbki podomek widać spod płaszczy; na głowach włóczkowe berety, jedna ma chustkę; na nogach grube pończochy i grube buty, choć jedna jest w rozdeptanych domowych laczkach, a jedna w nowiutkich lakierowanych półbutach, pewnie je musi rozchodzić. Patrzą w głąb kadru – w uliczkę kończącą się drewnianym płotem i chlewikami, dalej chyba łąka i jakiś lasek. Po bokach familoki, prawą stronę zdjęcia zajmuje ceglana ściana na kamiennej podmurówce, spięta stalową kotwą. Po lewej połać szaroburego tynku z zaciekami, dwa okna, jedno pod drugim, rynna urywa się na wysokości pierwszej kondygnacji.

Baby patrzą: coś się tam dalej dzieje, coś wywołało je z domu, zatrzymało w drodze po sprawunki. Jest rok 1977. Na baby i na gęstą materię świata wokoło nich patrzy fotografka – też baba, też z Rudy Śląskiej, też zaciekawiona, przyjechała tu po paru latach nieobecności. Dzięki temu spojrzeniu – zadomowionemu w fotografowanej przestrzeni, a zarazem wobec niej zewnętrznemu – w gęstych, zmysłowych fotografiach ocalał świat, którego dzisiaj już nie ma, zniknął niemal bez śladu.

JOANNA HELANDER, urodzona w 1948 r. w śląsko-polsko-niemiecko-żydowskiej rodzinie Koszyków, od 40 lat mieszka w Szwecji, tam ukończyła studia fotograficzne i tam w połowie lat 70. rozpoczęła pracę artystyczną. Od początku jednak inspirację i tematy czerpie z polskiej rzeczywistości. Wyjechała z kraju w 1971 r., po „wielokrotnym otrzymaniu odmowy wydania paszportu" (jak to ujmuje kalendarium zamieszczone w albumie „Baby patrzą").

Joanna Koszyk ma wtedy 23 lata. Za nią jest nie tylko doświadczenie życia w tradycyjnej śląskiej społeczności, gdzie codziennością rządzi odwieczny rytuał, z konieczności zaadaptowany do warunków realnego socjalizmu, trwa świadomość skomplikowanej wielonarodowej i wielojęzycznej historii, życie zaś toczy się na tle zdumiewającego, niemal surrealnego pejzażu oraz charakterystycznej architektury i estetyki. Joanna ma za sobą także trzy lata studiów romanistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim – do Krakowa uciekła z duszącej wówczas jej rogatą duszę atmosfery Śląska.

W 1968 r., po wywieszeniu z okna akademika plakatu głoszącego: „Moskale! Ręce precz od Czechosłowacji!", zostaje aresztowana i spędza dziesięć miesięcy w więzieniu w Myślenicach. Nie ma już powrotu na uniwersytet.

WYJAZD Z RUDY ŚLĄSKIEJ DO SZWECJI był wyjazdem do innego świata, ale nie ucieczką. Od 1976 r. fotografka nieustannie powraca do Polski i na Śląsk, z którym łączą ją nieproste, a przez to tak silne więzi. Jej pierwszy duży projekt artystyczny to album „Kobieta: en bok om kvinnor i Polen" („Kobieta: książka o kobietach w Polsce", 1978). Już w dwujęzycznym tytule napisanej po szwedzku książki, na którą składają się fotografie bab z Polski i ich historie, znać szczególną perspektywę. Podobnie jest w kolejnej szwedzko-polskiej książce, „Gerard K: bereven från Polen" („Gerard K: listy z Polski", 1986) złożonej z listów, które wysyłał jej do Szwecji ojciec, oraz fotografii powstających od 1976 r. w trakcie powrotów do domu.

Myślę o tych projektach Joanny Helander, a także o obejmującej niemal cztery dekady jej twórczości książce „Baby patrzą" jako o szczególnego ro-

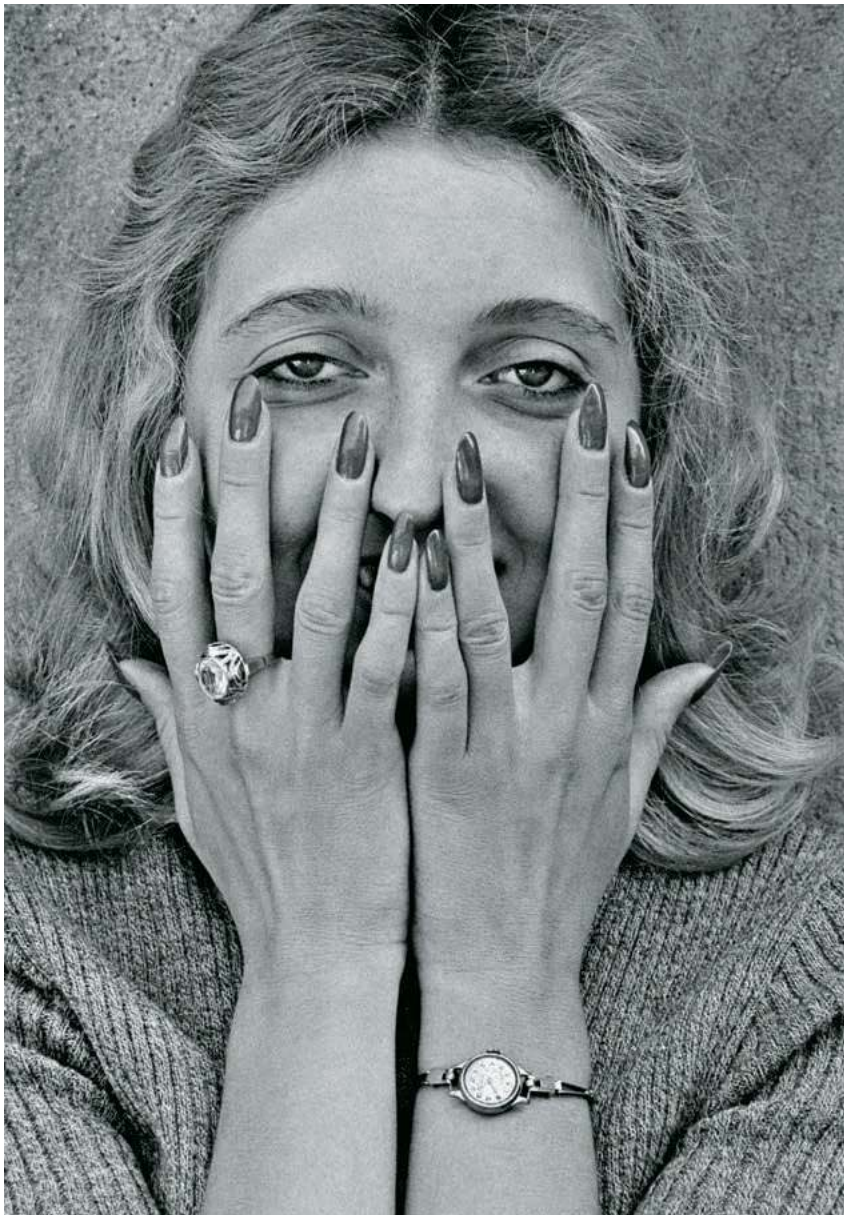

Magda, Ruda Śląska, Orzegów, 1977 r.

dzaju przekładzie, czyli takiej twórczości, która swojego centrum nie sytuuje ani tu, ani tam, a raczej i tu, i tam jednocześnie, w miejscu, któremu istnienie zapewnia jedynie sama artystka: jej pamięć i wrażliwość zakorzeniona w obu światach. Emigracja, bezdomność i wynikające z nich spojrzenie na to, co swoje i do bólu znane, okiem innego, kogoś, kto nie może tak znać i czuć, nadają fotografiom Joanny szczególną siłę i wymowę.

PORTRETY ROZEŚMIANYCH DZIEWCZYN z fabryki cukierków, fryzjerek przed oknem zakładu, „listonorki" przed blokiem, Moczygembiny i Kołodziejczyczki z wizytą u ciotki Gryjty, „damy z pieskiem" przy familoku na „karmańskiem", dwóch kobiet wpatrzonych w siebie w tańcu na urodzinach Kulikowej, to stop-klatki z codzienności, sprawiające jednocześnie wrażenie surrealistycznych obrazów teatralnych. Zwyczajność sytuacji i scenerii, którą nietrudno byłoby uznać za zdegradowaną – te liszajowate ściany i krzywe bruki, kupa węgla na dziurawym chodniku, powyginane płoty, błoto – wybucha w czarno-białych kadrach Joanny Helander porywającą intensywnością. Jej aparat przychwytuje tę niepozorną rzeczywistość w chwilach, kiedy wymyka się ona samej sobie, w momentach niepodległości, uwolnienia od własnego ciężaru.

Na czym to polega? Nie chodzi o estetyzację brzydoty (jaka brzydota, skoro to rodzony świat?); z całą pewnością nie jest to spojrzenie egzotyzujące i kolonizujące (jaka egzotyka, skoro tak się tu po prostu żyje?); nie jest to zapis etnograficzny czy socjologiczny (przecież to kobiety z rodziny, sąsiadki, znajome, a nie przedstawicielki społeczeństwa). Choć zdjęcia Joanny Helander mają ogromny potencjał krytyczny i skutecznie go wykorzystują, ich siła się w nim nie wyczerpuje.

Przyglądając się portretom bab, szukam klucza do ich niezwykłej emocjonalnej temperatury. Jest w sfotografowanych scenach coś, co nie pozwala mi patrzyć na nie jak na obrazy rzeczywistości, która była gdzieś i kiedyś, daleko stąd. Chociaż nie mam wątpliwości, że świata, z którego pochodzą, już nie ma. Te zdjęcia uruchamiają pamięć: moje dzieciństwo na katowickim Wełnowcu to lata 70. i 80., kiedy Joanna powraca z aparatem do Rudy. W jej obrazach widzę zapis świata, który wtedy przyjmowałam po dziecięcemu, przed-krytycznie, jako oczywistość, która jest dobra dlatego, że jest. Oczywistemu światu nie stawia się pytań, bo wypełnia on sobą szczelnie całą przestrzeń. W takiej właśnie przestrzeni mają swoje miejsce bohaterki fotografii Joanny i z niej na nas patrzą.

NIE CHCĘ ZOSTAĆ ŹLE ZROZUMIANA: kobiety z tych fotografii są świadome siebie, mówią o swojej pracy, rodzinie, otoczeniu; sceny, w jakich zostały sportretowane, nie pozostawiają wątpliwości, w jakich warunkach żyją i z jakimi codziennymi przeciwnościami się zmagają. Te zdjęcia dają wyraz ich marzeniom i aspiracjom, wysiłkowi budowania siebie na przekór temu wszystkiemu. Mówią o ich fenomenalnej sile i niepodległości. Joanna Helander potrafi uchwycić potężną moc życiową bohaterek, dlatego jej fotografie, choć, o czym nieraz pisano, stanowią ważny projekt krytyczny, emanują energią afirmacji.

To nie tak, że jej baby mają w sobie pogodzenie z rzeczywistością wynikające z rezygnacji; czuję w nich siłę, by tę rzeczywistość intensywnie przeżywać. Ani one, ani ich portrecistka nie mają złudzeń co do tego, w jaki świat zostały wrzucone, ale też ani one, ani ich portrecistka nie tracą czasu na formułowanie oskarżeń i gorycz. Wytworna Gabusia przed swoim butikiem w Rudzie Śląskiej, elegancka Dora z pieskiem Misią w Czerwionce, Magda z Orzegowa ze zrobionymi na glanc długimi paznokciami, Barbara pozująca w stanie wojennym z bułką w kształcie V, cudowne ↦

Matilda, Magda, Hana, Gaba, Bacha. Fagerhult, Szwecja, 1996 r.

Ciotka Gryjta z Dominikiem, Moczygembino i Kołodziejczyczka. Ruda Śląska, Orzegów, 1977 r.

Druga podróż do Szwecji, z cyklu Bliźniaczki z Krakowa, 1988 r.

↦ trzypokoleniowe „gracje" w Stillingsön i Babcia w Sztokholmie dumnie stojąca przed napisem „*Lev Nu!*" („Żyj Teraz!") – wszystkie one patrzą na nas ze środka życia, którego nie mają zamiaru poddać, choć wiedzą, że ich nie pogłaszcze. One to życie żyją.

HELANDER PATRZY NA BABY z podziwem i czułością, nigdy ze zdumieniem czy brakiem zrozumienia. Że można by w jej spojrzeniu dostrzec czczą ciekawość, współczucie czy poczucie wyższości, nawet nie przychodzi mi do głowy. Te fotografie niczego nie ilustrują, nie mają tezy. Ich energia rodzi się w geście wskazania, który nadaje bohaterkom podmiotowość, oddaje im głos, dostrzega i docenia ich cielesność.

Obok portretów bab i babek z Rudy w albumie znalazły się zdjęcia kobiet z innych światów. Cudowna Cyganicha z Żywca, liryczna i zadziorna, okryte czarnymi chustami-opończami baby z Sassari na Sardynii, Karolina i Joanna, bliźniaczki z Krakowa, które Helander fotografowała od pierwszych dni życia przy krakowskiej ulicy Pędzichów aż do ich dorosłych, oddzielnych żywotów. Ale są także artystki, pisarki, aktorki, intelektualistki, między wielu innymi Carol Miłosz, Anna Barańczak, Krystyna Krynicka, Maja Zagajewska, Alicja Kornhauser, Monika Tranströmer z mężami, Hanna Krall, Liv Ullmann, Jane Hirshfield, Ewa Kuryluk, a nawet Virginia Woolf z babcią (fotografki).

Joanna Helander to jedna z najważniejszych dokumentalistek życia artystycznego i literackiego w Polsce i w Szwecji. Jej praca z Teatrem Ósmego Dnia ma kapitalne znaczenie w historii polskiej kultury końca XX wieku. Album o Wisławie Szymborskiej to klasyk. Ale nie mniejszym klasykiem jest zdjęcie kucharek z krakowskiej jadłodajni „U Stasi" i Babci przed klatką ze szczygłem. Wszystkie one razem, na równych prawach, patrzą na nas.

„BABY PATRZĄ" – JEST KŁOPOT z przekładem tego świetnego, energicznego tytułu na angielski. Baba (we wszystkich sensach) to zjawisko uniwersalne, ale słowo lokalne. „Jestem baba" Anny Świrszczyńskiej, poetki przywołanej w albumie przez Iwonę Kurz, przetłumaczone na „I am a woman" brzmi bledziutko. Po angielsku książka nosi tytuł „Ladies Looking". To bardzo trafny wybór, z subtelnym poczuciem humoru, ale bez śladu ironii rozgrywający to, co w sztuce fotograficznej Joanny Helander jest tak istotne – głęboko demokratyczny gest szacunku i ciepłej sympatii dla bohaterek – dla bab, pań, dam – i poczucie wspólnego losu.

Warto wspomnieć na koniec o jeszcze jednym wymiarze babskiego patrzenia. Album powstał przy okazji wystawy prac Joanny Helander w ramach tegorocznego Miesiąca Fotografii w Krakowie i jest elementem współpracy, którą z fotografką podjęła Fundacja Kultura Obrazu z Katowic. Śladem tej współpracy na krakowskiej wystawie była sala poświęcona wglądom w przepastne archiwum artystki.

Jesienią 2017 r. w Katowicach miała miejsce wystawa „Joanna Helander. Archiwum otwarte", na której również pokazano prace z archiwum. Fundacja Kultura Obrazu to młode kobiety, niemogące pamiętać Śląska, który sfotografowała Joanna, i żyjące w innym świecie. Teraz tamte i te baby patrzą na siebie nawzajem.

© MAGDA HEYDEL

Joanna Helander, **BABY PATRZĄ / LADIES LOOKING. FOTOGRAFIE 1976-2012.** *Fundacja Kultura Obrazu, Katowice 2019*

Telewizja, która podzieliła Amerykę

JAKUB MAJMUREK

Fox News jest w USA opiniotwórczą potęgą. Poglądy jej widzów zbudowane są na wspólnocie emocji.

Fox News, zwłaszcza w opinii liberalno-lewicowych komentatorów, odpowiada za intensywność podziałów w amerykańskim społeczeństwie, jak i za zepchnięcie Partii Republikańskiej pod prawą ścianę – co skończyło się wyborem Donalda Trumpa na najwyższy urząd w państwie.

Dla konserwatystów, zwłaszcza tych bardziej populistycznych, historia stacji to krzepiąca opowieść o przełamaniu monopolu liberalnych mediów, reprezentujących wyłącznie punkt widzenia wielkomiejskiej, wykształconej Ameryki. W tej narracji Fox News jest przede wszystkim siłą, która wreszcie dała głos i przywróciła polityczną sprawczość przywiązanej do tradycyjnych, amerykańskich wartości „milczącej większości" obywateli spoza wielkich ośrodków wschodniego i zachodniego wybrzeża.

Na pewno Fox News okazał się wielkim sukcesem, nie tylko politycznym, ale również biznesowym. Choć kanał stanowi część News Corporation, biznesowego imperium Ruperta Murdocha, to prawdziwym ojcem sukcesów stacji był jej pomysłodawca i długoletni dyrektor programowy, Roger Ailes.

Drapieżnik o wielu twarzach

Właśnie na postaci Ailesa skupia się wyprodukowany przez Showmax – w Polsce dostępny na HBO – serial fabularny „Na cały głos". Nic dziwnego, że twórcy wybrali właśnie Ailesa na swojego bohatera – jego biografia to historia wyjęta z filmowego lub telewizyjnego dramatu.

Urodzony w robotniczej rodzinie, w jednym z setek anonimowych miasteczek przemysłowych Środkowego Zachodu, Ailes przed trzydziestką zostaje jednym z najważniejszych doradców medialnych Richarda Nixona w wygranej kampanii wyborczej z 1968 r. Po ćwierć wieku kariery politycznego doradcy i pracy z takimi tuzami jak Ronald Reagan Ailes zaczyna na początku lat 90. pracować dla telewizji – na początku dla dość mainstreamowej, na pewno nie tożsamościowo konserwatywnej CNBC. Murdoch zatrudnia go w lutym 1996 r. W październiku, po niecałym roku przygotowań, Ailes, startując praktycznie od zera, uruchamia Fox News.

Jako szef stacji Ailes zarabia setki milionów dolarów. Staje się też jednym z najbardziej wpływowych graczy w amerykańskiej polityce – zwłaszcza na prawicy. Biały Dom Busha, kolejni kandydaci na republikańskich prezydentów, przywództwo Republikanów w obu izbach Kongresu, kandydaci na gubernatorów i burmistrzów – wszyscy szybko uczą się, że jeśli chce się robić polityczną karierę w Partii Republikańskiej, trzeba przynajmniej zapewnić sobie neutralność Ailesa.

Tę błyskotliwą karierę zakończyły oskarżenia o molestowanie seksualne. Rok przed sprawą Harveya Weinsteina, w lipcu 2016 r., Ailesa pogrążył artykuł w czasopiśmie „New York". Zebrane oskarżenia były na tyle obciążające, że kierownictwo News Corporation, bez względu na zasługi i wypływy Ailesa, nie miało wyboru: szef Fox News został zmuszony do natychmiastowej dymisji. Rok później umarł na wylew krwi do mózgu w swojej rezydencji na Florydzie.

W serialu Ailes przykuwa od początku naszą uwagę także ze względu na niezwykłą kreację Russella Crowe'a (na zdjęciu wyżej). W zwalistym, łysiejącym, wiecznie wymiętym i zmęczonym, poruszającym się z trudem Ailesie niełatwo rozpoznać tego samego aktora, którego pamiętamy z tytułowej roli w „Gladiatorze".

Ailes jest jednak równie – jeśli nie bardziej – niebezpieczny, co rzymski wojownik z filmu Ridleya Scotta. To drapieżnik, doświadczony polityczny i biznesowy gracz. Każdy pozornie ociężały ruch, jaki wykonuje, ma swój strategiczny cel,

JOJO WHILDEN / SHOWTIME / MAT. PRASOWE

Russell Crowe jako Roger Ailes

każde słowo i gest obliczone są na dominację: maksymalizację władzy i wpływu. Ailes idzie do przodu, nie oglądając się na nic, i ostatecznie prawie zawsze dostaje to, czego chce.

W jednej ze scen widzimy go, gdy w pokoju hotelowym, w towarzystwie podwładnej, z której – nie bardzo zostawiając jej prawo do sprzeciwu – zrobił swoją kochankę, odbiera telefon od żony. Kochanka czuje się winna, Ailes pewnym głosem ucisza jej wątpliwości: „Jestem człowiekiem o wielu twarzach. Moja rodzina to tylko jedna z nich".

Serial nie przesądza, która z twarzy Ailesa – jeśli jakakolwiek – jest prawdziwa. Widzimy z jednej strony jego niewątpliwą inteligencję oraz wprost genialny polityczny i biznesowy słuch. Z drugiej towarzyszy im bigoteria, rasistowskie uprzedzenia czy skłonność do iście wariackich spiskowych teorii – jakby Ailes sam wierzył w najbardziej niedorzeczne treści sprzedawane przez jego stację.

Jako szef Ailes z jednej strony wydaje się całkowicie stać po stronie swoich pracowników, z drugiej nieustannie ich mobbinguje: rządzi przy pomocy gróźb i krzyków, nie znosi najmniejszego sprzeciwu. Jest też przekonany, że pracujące w stacji kobiety stanowią coś w rodzaju jego prywatnego haremu – co nie przeszkadza mu głosić konserwatywnych „wartości rodzinnych".

Husajn i Hussein

Żadnych wieloznaczności nie było za to nigdy w produkowanej przez Ailesa telewizji. Mówi ona do dziś prostym, twardo tożsamościowym językiem. Na polityczne *credo* Fox News składają się kulturowy konserwatyzm, przywiązanie do tradycjonalistycznie rozumianych chrześcijańskich wartości, amerykański nacjonalizm, szacunek dla takich instytucji jak policja i armia, przekonanie, że prawo powinno być surowe, wreszcie wiara w możliwie zrównoważony budżet i wolny rynek. Wszystko to podlane autentyczną nienawiścią do liberalnych elit, które zapomniały – jeśli kiedykolwiek wiedziały – czym powinna być Ameryka: wolnorynkowym, przywiązanym do swojej flagi i historii krajem potrafiących zadbać o siebie obywateli, bez pomocy rozdętego rządu. W domyśle – czego Fox News nigdy nie mógł wprost powiedzieć – przede wszystkim białych i chrześcijańskich.

Twórcy „Na cały głos" sugerują, że dla medialnego konglomeratu Murdocha decyzja o budowie stacji o takim, a nie innym profilu wynikała przede wszystkim z biznesowych przesłanek. W pierwszym odcinku serialowy Ailes przekonuje szefów News Corp. do swojego pomysłu na kanał w następujący sposób: „Ameryka jest podzielona politycznie na pół. Wszystkie inne stacje walczą o liberalną połowę tortu. My weźmiemy całą konserwatywną – nikt inny nie jest nią zainteresowany".

Zajęcie tego segmentu rynku przez stację niesie jednak nie tylko biznesowe, ale także polityczne skutki. Każdy odcinek „Na cały głos" skupia się na kolejnym wydarzeniu, za sprawą którego Fox News wzmacnia swoją pozycję jako kluczowe medium populistyczno-prawicowej polityki w Stanach. Drugi odcinek zaczyna się od ataków na World Trade Center. Ailes, podobnie jak administracja Busha, traktuje je jako szansę na radykalną przebudowę Bliskiego Wschodu, zgodnie z amerykańskimi interesami. Fox News jako pierwsze medium wskazuje na Irak i Saddama Husajna, jako na głównego sponsora zamachów i islamskiego terroryzmu w ogóle. Bliska współpraca ze stacją i jej szefem jest kluczowa dla administracji Busha. Bez jej wsparcia entuzjazm dla opartej na fałszywych przesłankach wojny z irackim dyktatorem nie byłby tak wielki i bezwarunkowy.

Trzeci odcinek rozgrywa się w 2008 r. Młody senator z Illinois, Barack Obama, zapewnia sobie nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich, a następnie je wygrywa. Dla Ailesa to katastrofa. „Wygrana Obamy jest sprzeczna z konstytucją" – krzyczy, nie wyjaśniając, co dokładnie ma na myśli. Kierowana przez niego stacja wściekle atakuje walczącego o Biały Dom polityka. Jej prezenterzy stawiają mu najbardziej kuriozalne zarzuty, zawsze też pamiętają, by przedstawić go pełnym imieniem i nazwiskiem: Barack Hussein Obama.

Twórcy serialu pokazują, że Ailes i Fox News nigdy nie zaakceptowali prawomocności wyboru Obamy – a za nimi duża część prawicowego elektoratu. Istotna część tego obozu odmawiała uznania go za kogokolwiek innego niż uzurpatora na najwyższym stanowisku w państwie.

Linię Fox News wobec Obamy próbuje złagodzić w serialu sam Murdoch. Jest przedsiębiorcą, nie ideologiem, w imię sentymentów widowni jednej ze swojej stacji nie chce psuć relacji całej korporacji z nową administracją. Ailes wygrywa jednak walkę o niezależność z medialnym magnatem, dostaje od niego pełną kontrolę nad stacją. Tak długo, jak Fox News przynosi News Corp. zyski, Ailes ma *carte blanche* na nietrzymające się żadnych reguł ataki na rządy Obamy i na dalsze umacnianie coraz bardziej zabójczej dla amerykańskiej demokracji polaryzacji.

Oddający mu kontrolę nad stacją telefon od Murdocha serialowy Ailes otrzymuje w rodzinnym miasteczku na Środkowym Zachodzie, gdzie ma przemawiać na wydarzeniu poświęconym pamięci weteranów. Wygłasza silnie polityczną mowę, atakującą liberalne elity, które nie tylko zapomniały o patriotycznych wartościach, ale także doprowadziły do tego, że dobrze płatne, stabilne miejsca pracy w przemyśle z miejsc takich jak Ohio, Wisconsin czy Michigan przeniosły się do Chin i Meksyku.

Nietrudno dostrzec w tej scenie zapowiedź tego, co stanie się w Ameryce osiem lat później, w 2016 r. Donald Trump, posługując się bardzo podobnymi argumentami, wygra wtedy w tradycyjnie głosujących na Demokratów niegdyś przemysłowych stanach tzw. Pasa Rdzy – zapewniając sobie prezydenturę. Bez wsparcia Fox News i linii redakcyjnej tej stacji, konsekwentnie przesuwającej Republikanów ku ekstremom, nie byłoby to możliwe.

Demokracja klientów

Russell Crowe w jednym z wywiadów po premierze serialu celnie zauważył, że siła Ailesa polegała na tym, iż jako jeden ↦

z pierwszych ludzi w branży zrozumiał, że telewizyjne informacje przestały być służbą publiczną, a stały się biznesem. I zachowują się jak każdy biznes na silnie konkurencyjnym rynku, gdzie toczy się bezwzględna walka o klienta. W czasach gdy dostępnych źródeł informacji jest zbyt dużo, uwagę widza mają szanse przykuć nie te najbardziej rzetelne, lecz najbardziej krzykliwe i sensacyjne. Fox News został sformatowany, by w ten sposób walczyć o widza. Bo „ludzie wcale nie chcą być poinformowani, chcą czuć się poinformowani" – powtarza w kółko serialowy Ailes.

Nawet jeśli taki przepis na media sprawdza się jako recepta na biznes czy polityczny sukces jednej partii, to dla demokracji jest on zabójczy. W przestrzeni medialnej podzielonej między kolejne klony Fox News – zarówno konserwatywne, jak i liberalno-lewicowe – zanikłoby centrum debaty publicznej: pozostałyby tylko niezdolne ze sobą rozmawiać, współpracować czy nawet zawierać czysto pragmatyczne kompromisy „bańki" umacniające się w poczuciu własnej słuszności. Media społecznościowe tylko wzmacniają podobną logikę. Na to wszystko nakładają się narastające nierówności, załamywanie się oswojonej w XX wieku formy kapitalizmu oraz powodowany przez wszystkie te zjawiska często uzasadniony gniew na elity.

Amerykański serial nie oferuje pomysłu, co z tym wszystkim zrobić. Nie ma go zresztą chyba nikt. Europejczycy zwykli patrzeć na zjawiska typu Fox News z góry, przekonani, że na naszym kontynencie, z silnymi mediami publicznymi, takie spolaryzowanie polityki przez jedną agresywną stację nie byłoby możliwe. Jak jednak przekonujemy się ostatnio w Polsce, logikę Fox News można spokojnie zaaplikować nominalnie ciągle publicznym mediom.

Na pewno „Na cały głos" trafnie diagnozuje to, że jednym z problemów demokracji liberalnej w XXI wieku będzie to, jak poradzić sobie z mediami zdominowanymi przez skrajnie polaryzujący *infotainment*. Niezależnie od tego, czy produkuje go finansowo motywowany Robert Murdoch, czy publiczna telewizja kontrolowana przez jedną partię. © JAKUB MAJMUREK

Diego kontra Maradona

ANITA PIOTROWSKA

Oto dokument o wielkim geniuszu i wielkim oszuście, o królu życia i pospolitym grzeszniku, wiecznym dzieciaku i nieuleczalnym macho.

Po Amy Winehouse i kierowcy rajdowym Ayrtonie Sennie uznany brytyjski dokumentalista, Asif Kapadia, wziął na warsztat postać co najmniej równie popularną, choć już nie tak tragiczną – i przede wszystkim żyjącą. Mowa o Diego Armando Maradonie, uważanym przez wielu za największego piłkarza wszech czasów. Przedrostek „naj" powtarza się w filmie z dużą częstotliwością, bo ponownie mamy do czynienia z ekstremistą w swojej kategorii. I to zarówno na boisku, jak i w życiu prywatnym.

Mając w świeżej pamięci głośne fakty oraz chętnie upubliczniane zdjęcia piłkarza – otyłego, postarzałego, zmęczonego – łatwo przewidzieć pochyłą trajektorię tej opowieści. Oto cudowne dziecko ze slumsów Buenos Aires, które już w wieku 15 lat stało się głównym żywicielem swojej licznej rodziny. Oto Argentyńczyk, który został obwołany następcą Pelégo, zrobił błyskotliwą karierę w europejskich klubach piłkarskich, zyskując status półboski, ale schodził z murawy pośród gwizdów, w niesławie, pozbawiony dawnego nimbu. Kapadia usiłuje oddać mu po latach sprawiedliwość, rezygnując zarówno z filmowej hagiografii czy powierzchownego mitotwórstwa (patrz: „Maradona według Kusturicy" sprzed dekady), jak i bezwzględnej demitologizacji. Montuje „Diego" wyłącznie z materiałów archiwalnych, bez współczesnych dokrętek, i jedynie poza kadrem oddaje dzisiaj głos tytułowemu bohaterowi czy różnym jego satelitom: rodzinie, trenerom, dziennikarzom.

Najbardziej interesuje go burzliwy włoski okres w biografii argentyńskiego napastnika, kiedy to w 1984 r. został sprzedany za rekordową wówczas sumę 13 milionów dolarów i przeszedł z klubu FC Barcelona do SSC Napoli. Reżyser odtwarza zatem trwający siedem lat proces intronizacji, po czym gwałtownej detronizacji piłkarskiej gwiazdy. Kino, również dokumentalne, uwielbia tak widowiskowe wzloty i upadki.

Przez cały film dokonuje się jednak symboliczne rozdzielenie tytułowej postaci – na „Diega" i „Maradonę", czyli dwie zupełnie różne twarze tego samego człowieka. Pierwsza ma rysy wiecznie głodnego, niepewnego siebie chłopaka, którego warunki fizyczne (krępa postura, zaledwie 165 centymetrów wzrostu) zmusiły do znacznie intensywniejszego wysiłku na boisku niż w przypadku większości jego kolegów. Drugie wcielenie to twarz bezczelnie uśmiechnięta, spozierająca z okładek nie tylko sportowych magazynów. W jednej i tej samej osobie kryje się równocześnie naiwniak, który po transferze do Neapolu nie zauważył nawet, że znalazł się w mateczniku camorry, oraz wybitny piłkarski strateg, który swymi sukcesami w tamtejszym klubie pozwolił neapolitańczykom odzyskać na moment poczucie dumy i godności.

To jeden z bardziej frapujących wątków filmu „Diego". Przyczyniwszy się w kolejnych meczach ligowych do pokonania uprzywilejowanej Północy, wspieranej przez wyraźnie rasistowskich kibiców, chłopak z Argentyny nie tylko umożliwia mistrzowski awans drużyny tkwiącej z początkiem lat 80. gdzieś na dole tabeli. Staje się bohaterem włoskiego Południa, „społecznym odkupieniem dla miasta", nowym wcieleniem świętego Januarego, patrona Neapolu. Aż do momentu, kiedy w 1990 r., podczas półfinału mistrzostw świata na neapolitańskim stadionie San Paolo, założy koszulkę reprezentacji Argentyny i zagra przeciwko Włochom. Ów „tożsamościowy" dramat Maradony, a zna go dobrze wielu piłkarzy grających na

M2 FILMS / MAT. PRASOWE

przemian w barwach narodowych i klubowych, okazuje się na ekranie o wiele ciekawszy niż osobiste perypetie Diega, zamienione przez media w magiel towarzyski i pitawal: nieodpowiedzialne związki z kobietami, wyparcie się pierwszego dziecka, wreszcie – uzależnienie od kokainy i flirt z przestępczym klanem Giuliano, którego piłkarz stał się w pewnym momencie symbolicznym zakładnikiem.

Dla tych, których nie podniecają ani bulwarowe sensacje, ani epickie dryblingi Maradony, reżyser przygotował równie epicką opowieść o herosie, który sprzeniewierzył się boskim planom. Przed nami coś na kształt nowożytnego eposu o plebejskim bohaterze namaszczonym ongiś na zbawcę, który w pewnym momencie zawiódł, choć na jesieni życia będzie próbował, z różnym skutkiem, odkupić swoje błędy. Kapadia nie ustrzegł się w tej heroicznej narracji efekciarskich uproszczeń czy nut moralizatorskich, jednakże do samego końca unika pompatycznych tonów. Powstał bowiem film o Maradonie, który na powrót przeistacza się w Diega. I właśnie jako rzecz o upadłym idolu, który znów próbuje stać się człowiekiem, ma szansę przemówić mocniej aniżeli film o człowieku, który został kiedyś bożyszczem stadionowych tłumów.

Oglądamy więc dokument o wielkim geniuszu i wielkim oszuście, o królu życia i pospolitym grzeszniku, wiecznym dzieciaku i nieuleczalnym macho, o istocie cielesnej, z krwi i kości, w dodatku nadal aktywnej na różnych polach. To ostatnie było zapewne sporym wyzwaniem dla twórców filmu – łatwiej wszak „sprzedaje się" życie już domknięte, zakończone podwójnym gwizdkiem. Kapadia stara się tu wejść w rolę trzeźwego arbitra i nie narzuca się ze swoją osobą. Dynamicznie składa w całość materiały znane i mniej znane, przywołuje wizerunek niby już po wielokroć opisany i sfilmowany, wzbogaca go jednak o nowe szczegóły, zagęszcza fakturę, całość zaś oprawia w ramy biografii dramatycznej, budowanej na kluczowych wydarzeniach z życia. Mimo licznych zawirowań nie stała się ona jednak – i nie chce się stać również na ekranie – kolejną biografią przeklętą, choć wiele w niej rys, pęknięć i ciągle pustych miejsc. ©

DIEGO *(Diego Maradona) – reż. Asif Kapadia. Prod. Wielka Brytania 2019. Dystryb. M2 Films. W kinach od 19 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [20 – 26 VII]

1. Polegaj na mnie

Dramat, reż. Andrew Haigh, Wielka Brytania 2017, Canal+ Film, 20 VII, 13.10

Twórca „Zupełnie innego weekendu" i „45 lat" tym razem portretuje prowincjonalną Amerykę. Jest to jednak przede wszystkim uczciwa i wnikliwa opowieść o dorastaniu. Jej bohaterem jest kochający konie 16-latek, który w pewnym momencie życia może liczyć już tylko na siebie i nie zawaha się podjąć ryzyka.

2. Lyubov – miłość po rosyjsku

Dokumentalny, reż. Staffan Julén, Szwecja 2017, Canal+ Dokument, 20 VII, 21.15

Swietłana Aleksijewicz rozmawia ze współczesnymi Rosjanami na temat tego, czym jest miłość. Jak się ma bogata tradycja literacka w tym temacie do przeżyć i doświadczeń zwykłych ludzi? Dlaczego mówiąc o miłości, mimowolnie stają się oni artystami? Przy okazji białoruska noblistka próbuje dociec, czym tak naprawdę jest osławiona „rosyjska dusza".

3. Obcy na mojej kanapie

Dokumentalny, reż. Grzegorz Brzozowski, Polska 2017, Ale kino+, 22 VII, 10.50

Czasami dzieli ich wszystko: wiek, płeć, kolor skóry czy kraj pochodzenia, a jednak są w stanie nawiązać ze sobą bliższe porozumienie – choćby tylko na chwilę. Bohaterami nagradzanego dokumentu są ludzie uprawiający coachsurfing, czyli korzystający z darmowego noclegu u zupełnie nieznanych osób bądź udzielający go we własnym domu.

4. W imię sprawiedliwości

Dokumentalny, reż. Peter W. Kunhardt, Teddy Kunhardt, George Kunhardt, USA 2019, HBO, 25 VII, 22.00, HBO 2, 26 VII, 22.50

Już podtytuł filmu „Walka Bryana Stevensona o równouprawnienie" – wskazuje na zaangażowany charakter dokumentu Kunhardtów. Przedstawia sylwetkę niezłomnego prawnika z Alabamy, który od ponad 30 lat walczy z dyskryminacją na tle rasowym w amerykańskim sądownictwie karnym.

Lektor:
Twarz Marii Jaremy

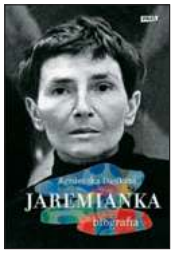

▪ *Agnieszka Dauksza*
JAREMIANKA. BIOGRAFIA
Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, ss. 624.

Niedawna wystawa w Cricotece („Jaremianka. Zostaję w tym teatrze. Podoba mi się tu") przypomniała, jak wielką i oryginalną artystką była Maria Jarema (1908–1958). Uczennica Xawerego Dunikowskiego, malarka, rzeźbiarka, scenografka i aktorka, współtwórczyni I Grupy Krakowskiej i jej powojennej mutacji, a także teatrów Cricot i Cricot 2, jedna z najważniejszych postaci lewicowej awangardy. Bezkompromisowa w życiu i w pracy artystycznej, niezdolna ulec naciskom, za co w latach zadekretowanego socrealizmu zapłaciła cenę milczenia – i wtedy właśnie stworzyła swoje słynne prace w technice monotypii. „Byłam pewna jedynie, kiedy malowałam" – powiedziała Mieczysławowi Porębskiemu, „Słowem malarza jest jego obraz" – napisała gdzie indziej. W książce znajdziemy barwne reprodukcje jej dzieł. Agnieszka Dauksza skupiła się jednak na życiu bohaterki, na skrupulatnym odtworzeniu jej biografii i próbie naszkicowania jej portretu psychologicznego. Na tym, co kryło się za niezwykłą, niesłychanie wyrazistą twarzą uchwyconą obiektywem Tadeusza Rolkego.
Ktoś napisał, że zbyt wiele tu szczegółów – ale to właśnie one pozwalają dotknąć tamtej rzeczywistości albo rozjaśnić relacje między Jaremianką i miłościami jej życia, Henrykiem Wicińskim, Gabrielem Gottliebem i Kornelem Filipowiczem. Ech, ta dyskusja między Kornelem i Marią o wyższości borowika szlachetnego nad kozakiem czerwonym (czy, jak chciała Maria, odwrotnie)... Wspaniała jest opowieść o domach Jaremów – najpierw w Starym Samborze, potem w Krakowie na Woli Justowskiej. O Stefanii Jaremowej, matce rodu, dającej oparcie licznemu i nietuzinkowemu potomstwu. O okupacyjnych losach Kornela i pacyfikacji Woli Justowskiej, gdy Maria, w zaawansowanej ciąży, przeleżała wiele godzin twarzą do ziemi. O związku Marii z siostrą bliźniaczką Nuną (Bronisławą) i o jego dramatycznym finale: chorą na białaczkę Marię prof. Julian Aleksandrowicz próbował ratować przeszczepem szpiku od Nuny, operacja jednak nie pomogła, a Nuna zmarła wkrótce po Marii.
Pisząc tę książkę, Agnieszka Dauksza korzystała z pomocy syna Marii i Kornela, Aleksandra Filipowicza, który wraz z rodziną mieszka nadal w krakowskim domu Jaremów. I najbardziej chyba lubię scenę, gdy autorka wraz z Filipowiczami w domu na Woli odpakowuje z kartonu rzeźbę Marii – podobiznę głowy Nuny, a operacji tej przyglądają się trzy kotki. Kotki – strażniczki archiwum. ©℗

Świętuj z nami wolność!

Wydanie specjalne na 30-lecie nowej Polski

„Smak wolności" to zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców: s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Karol Modzelewski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk, Danuta Wałęsa, Adam Wajrak.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności" dostępne w salonach prasowych i w punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PAWEŁ

Bravo:
Pożegnanie z Berlinem

Dziewięć euro w tę i z powrotem dla pary. Dowolnej. Ten z tyłu na zdjęciu mocno obejmuje chłopaka na pierwszym planie, zaciska dłoń na jego nadgarstku, czule się uśmiecha. Plakat zachęcający do weekendowych wypadów na zieloną trawkę wtapia się w tło brudnawych kafelków, które zresztą były niewymownie brzydkie i bure od nowości, w przejściu pod peronami berlińskiego dworca zoo. Urzeka mnie sposób, w jaki zaniedbane jest to miasto – nie dość zamiecione trotuary, krzywe zresztą i to nawet przy prestiżowych ulicach, zarośnięte zielskiem trawniki, zardzewiałe wiaty przystankowe i ten wszechobecny, ożywczy zapach konopi na ulicy – znak, że prawo potrafi się dogadać ze zdrowym rozsądkiem. Bo Berlin to takie nie całkiem Niemcy – zresztą trudno w metropolii utrzymać zabójczy dla ducha ład, przeraźliwą czystość i nieludzko święty spokój.

Przy czym przybysz jednak czuje, że pod spodem, pod tym pozorem lekkiego bałaganu i niedośrubowanego luzu tętni diabelsko efektywna maszyna. Angela Merkel mieszka w kamienicy przy Kupfergraben tuż obok domu, gdzie 200 lat wcześniej mieszkał Hegel, i o pięć minut spacerem od budynku, gdzie głosił wykłady, aż nazbyt porywające, jeśli sądzić po zamieszaniu, jakie rozsiał po głowach różnych młodych Marksów. Ciągłość została zachowana, oćwiczony dziejową koniecznością państwowy rozum tak samo jak wtedy dba, by utrzymać kontrolę nad rozciągniętą przez dziesiątki kilometrów pośród jezior i lasów przestrzenią.

No więc ci dwaj chłopcy na reklamie podmiejskich biletów S-Bahnu właśnie wyskoczyli pohasać nad wodę – przypomina mi się Christopher Isherwood uganiający się po plaży z młodym Nowakiem, synem robotniczym, u którego rodziny podnajmował pokój, przetworzona literacko wersja tej znajomości tworzy jedną z osi „Pożegnania z Berlinem", powieści wziętej za podstawę scenariusza „Kabaretu". Prawie przeoczyłem tych dwóch szczęściarzy, których kilka stacji dzieli od kąpieli w zimnej wodzie pachnącej sosną – a przecież ten sam plakat w każdym z polskich miast wystawałby jaskrawo z tła. Zresztą mógłby nie zdążyć, bo zanim by panowie z firmy plakatowej zatrzasnęli listewki w podświetlanej ramce, na miejscu byłby już patrol milicji obywatelskiej Ordo Iuris z nakazem zatrzymania za rozbijanie polskiej rodziny. Z pewnością o swoją rodzinę nie bała się matka siódemki dzieci Ursula von der Leyen, minister obrony, desygnowana ostatnio przez koncert mocarstw na nową szefową Komisji Europejskiej – otóż chadecka polityczka głosowała, być może bez entuzjazmu, ale jednak, za ustawą zwaną tu „małżeństwo dla wszystkich".

Za krótko żyję i świata za mało widziałem, żeby cokolwiek kategorycznie sądzić, gdzie jest granica między zbawienną tolerancją wobec cudzego stylu życia a niebezpieczną obojętnością na naruszanie społecznych norm. Ale z pewnością widziałem dość, żeby docenić inny aspekt berlińskiej otwartości na wszystko – gastronomiczny. Jak ja tu lubię się pogubić i zapomnieć na jeden dzień, gdzie leży jaka strona świata. Nie, nie chodzi o to tylko, że jest dość miejsc, gdzie można dobrze zjeść na sposób lewantyński, perski, indyjski, etiopski czy banalnie włoski. Pojedyncze, hipsterskie ulice z „etnicznymi" knajpkami to rzecz spotykana także nad Wisłą. Moje radosne zdumienie budzi stopień wtopienia się tej etniczności w codzienność zwyczajnych okolic, budek na przystanku i barków na rogu. W wydaniu z rzadka wybitnym, częściej wręcz przeciętnym i ciężkim dla wątroby. I jeszcze to, że w tej kosmopolitycznej zupie pływa na równych prawach etniczność lokalna. Niekiedy przybiera z lekka orientalny kostium, ale niekoniecznie – w setkach imbissów, zwłaszcza pod wiaduktami metra i kolei, sprzedają nie tylko Currywursta, ale też po prostu kiełbasę z musztardą (z Budziszyna, nie z Dijonu), a sałatka kartoflana nie siedziała nigdy w ławce z żadną koleżanką z Indii.

Kto wie, może to jest właśnie droga do zachowania tego, co naprawdę w polskim smaku zostało żywe z tradycji i jest nadal zjadliwe. Kiedy wpuścimy w naszą codzienność taką ilość obcych zarazków i drobnoustrojów, że tylko to, co naprawdę krzepkie i dobrze ukorzenione, przetrwa. Są takie pseudotradycyjne potrawy, które bym z chęcią widział, jak toną w imigranckiej fali. Schabowy na przykład, ten symbol peerelowskiego dostatku, z plastrem ananasa, niech przepadnie! Może przy okazji pozbędziemy się nieco lęków o to, że świat się powoli zmienia – i w wagonach podwarszawskiej wukadki para chłopaków będzie reklamować sobotni wypad nad Utratę, a po drodze do muzeum w Stawisku. ©℗

Niemcy mają lepsze autostrady, ale my za to bijemy ich czarnymi porzeczkami, wiem to po latach myszkowania po ich sklepach, a ponieważ namiętnie lubię ten owoc, to sprawdzam wszystko, co mi wpadnie w ręce. Porzeczki są pracochłonne, kiedy się je skubie z szypułek, ale za to dzięki ich pektynie błyskawicznie, po kwadransie smażenia, powstaje dżem. A co zrobić, jeśli chcemy mieć syrop, który zostanie płynny w butelce? Oskubujemy 1,5 kg porzeczek, wrzucamy do dużego garnka, zalewamy wodą, żeby tylko je przykryć, podgrzewamy, aż owoce zaczną pękać, wyłączamy ogień. Po 10 minutach przekładamy na wielki durszlak wyłożony gazą ustawiony nad miską, zostawiamy na kilkanaście godzin – nie dociskamy, to ważne, dzięki temu większość pektyny zostanie w skórkach. Powinniśmy uzyskać ok. litra soku. Przelewamy go do garnka, dodajemy kilo cukru, pięć rozgniecionych lekko jagód jałowca i parę liści porzeczki. Zagotowujemy i utrzymujemy we wrzeniu pół godziny, odławiamy jałowiec i liście i jeszcze wrzący przelewamy do wyparzonych butelek lub słoików. Dobrym alternatywnym dodatkiem aromatycznym do czarnych porzeczek jest też, obok jałowca, kardamon.

ADOBE STOCK

Tłoczenie winogron w winnicy Vargelas. Douro, Portugalia.

PORZUCONY W DOURO

Powiedz, jakie porto lubisz, powiem ci, kim jesteś. Jeśli jesteś redaktorem „Tygodnika Powszechnego” z działu Świat albo Kraj, wybierzesz przeciwieństwo prostoduszności i łatwego optymizmu, czyli porto w stylu tawny.

MAREK BIEŃCZYK

Najpierw trzeba napić się kawy. A potem drugiej i za chwilę trzeciej. Skoro espresso kosztuje tu pół euro. Czasami 60 centymów. 2 złote z groszami. Tyle co w Polsce. Przed 25 laty. I skoro jest takie dobre. Tak trudno pojąć, dlaczego w Hiszpanii i w Portugalii, nie mówiąc o Włoszech, kawa ma smak, a we Francji i u nas straszy pustą czernią. Dobre ziarna są dostępne wszędzie. Maszyny zdają się podobne, równo niklowane (choć nic tak nie błyszczy jak najpiękniejszy kawowy ekspres świata, opisany w „Złym" Tyrmanda). Może decyduje duch barokowy, jego miłość do pianki: w Pradze kawa też jest lepsza.

Następnie, w stanie trzykrotnego pobudzenia, należy opisać ten pejzaż. Zamienić ekscytację na przenośnię – bo teraz na kopie arabiki jesteśmy w stanie przenieść wszystko – zanim popołudniowe słońce nie wpędzi nas w cień, nie zatka słów słonym potem. Pejzaż, a właściwie dwa pejzaże. Pierwszy, z Cima Corgo, sto kilometrów od Porto, i ten drugi, z Douro Superior, podchodzący już pod granicę hiszpańską. Geografia wydaje się wśród tych rzeźb z łupków i granitu królową nauk; poezja jej służącą.

Ten pierwszy pejzaż: ogromne kotliny, w środku których płynie rzeka. Winnice są wszędzie, każda jest jak echo sąsiedniej; zdają się ułożone według matematycznych wzorów w rodzaju multiplikacji, która wyszła spod ręki Eschera czy zrodziła się we śnie Piranesiego: za jednym tarasem kolejny taras, kolejny taras, kolejny taras, każde zbocze to gigantyczne schody z jednym ledwie rzędem krzewów na jeden stopień. Prosto i płasko już w naszym życiu było; tu wszystko tkwi w pochyleniu, we wzlocie lub w skręcie; kierownica w aucie obraca się szybciej niż złota moneta w palcach szulera.

Głębia kotliny uwodzi najbardziej; w pobliżu Lamego i Regua, winiarskiej stolicy Douro, jesteśmy w brzuchu wieloryba. Tyle że Jonaszom zostawiono dużo miejsca. Warto wybrać jedną z kilkudziesięciu wiosek i dać się tam poprowadzić nawigacji. Z Sygic Car mamy pewność, że przejedziemy najkrócej, ale przez najgorsze dróżki, wspinając się po kocim bruku na granie albo przecinając podwórza domostw i zaburzając ludziom kolację. Najlepiej w godzinie zmierzchu; wysypka świateł infekuje ciemność, jest pięknie, półswojsko, półobco i niemal wzniośle.

W surowszym Douro Superior domostw nie widać, cofają się w interior. Zbocza nad rzeką, zbyt ostre, w jałowych barwach, niczego solidnego tu nie przyjmują, można – przy wielkim wysiłku – uprawiać winorośl, lecz trudno postawić ścianę. Rzeźbiarska robota ludzkiej ręki jest bardziej widoczna; nie tylko tarasy, lecz duże krzewy i drzewka oliwkowe nakrapiane na stromizny: nieprzystępne, ale z daleka wyglądają na ogrody idealne, wstawione w muzeum; pejzaże doskonałe, wyśnione, jakie malowano w XVIII wieku.

Inna perspektywa, ale też trzeba patrzeć szeroko. Panoramy są tu największym dobrodziejstwem dla oczu. Portugalia, mały kraj, lecz niczym w zabawce optycznej łudzącej wielkościami rozległy od środka, uwodzi punktami widzenia. UNESCO już dawno temu w Douro przyłożyło pieczątkę, którą Burgundia wychodziła sobie zaledwie przed czterema laty.

Porto

Efekt kawy mija, pozostaje porto. Dziwne wino, wszyscy o nim słyszeli, mało kto je pije. W tych pejzażach wszystko zdaje się pod nie wymyślone: słońce, które wciska w grona cukier jak orzechy w gardło kaczki, wielka rzeka, którą transportuje się wino nad ocean, i długie tam – w Vila Nova de Gaia, naprzeciwko miasta Porto – dojrzewanie w wilgotniejszym i chłodniejszym powietrzu.

Tysiące książek i albumów opowiadają o czterech wiekach dziejów porto. Faksymile XVII-wiecznych dokumentów, pierwsze czarno-białe fotografie barek płynących z beczkami w stronę morza (dziś płyną w drugą stronę z turystami). Rzeka jest przemożna, władcza, piszą o niej rozprawy-peany jak inni o Dunaju. Porto to bodaj najbardziej udokumentowane, najlepiej osadzone w opowieści – łączącej geografię, ekonomię i sztukę – wino świata.

Gdy zapadnie noc, z nabrzeża w mieście – które w polszczyźnie jest od razu nazwą wina – widać po drugiej stronie rzeki neony. Biją, zdaje się, światłem wewnętrznym, jakby były święte i od zawsze. Całe niewielkie wzgórze pokryte nazwiskami. Odnieść można wrażenie, że na gigantycznej trybunie świetliste szaliki wznoszą wierni kibice, rozpościerając dumnie – szczęśliwe ukrzyżowanie – ręce. Myśli się: ile czasu musiało upłynąć od zarania, gdy pierwsi tu ludzie nazwali siebie, wymyślili, że mogą mieć imiona, aż do chwili, gdy nazwiska zaczęły pysznie wystawać ze wzgórza niczym jego czułki, jego rozliczne oczy rozświetlone nocą? Ten apel na wzgórzu ma coś intrygującego; doza światła, barwiąca ciemność, zalotnie ją rozprasza, Bóg dał imiona wszystkim zwierzętom (jak śpiewał Dylan), człowiek dał swe imiona winu. Dow's, Niepoort, Graham's, Cockburn, Kopke, Delaforce, Osborne, Churchill, Taylor, Fonseca, Ramos Pinto. Kluby są angielskie, rzadziej holenderskie lub portugalskie.

Bo też – podobna historia co z sherry czy z maderą – porto wymyślili i narzucili światu, czyli najpierw sobie, Anglicy. Nie trzeba zaglądać do różnych -pedii, wystarczy poczytać angielskie powieści XVIII- i XIX-wieczne. Bohaterowie Dickensa i Galsworthy'ego wysiadują teraz w nadrzecznych barach, ci pierwsi sączą *ruby porto* (bo najtańsze), ci drudzy, rzadziej, jakieś *tawny* (bo lepsze). Swoje pije swoje, niemal wszystkie nazwy dla określenia różnych kategorii porto są angielskie. Niemało domów porto nadal należy do potomków Imperium (zróbmy mu tym określeniem ostatnią nostalgiczną przyjemność), choć rody są już raczej kosmpolityczne czy paneuropejskie.

Rozmawiam ze współwłaścicielem największego z nich, rodu Symingtonów. Mogę wybrać język konwersacji: urodził się i spędził dzieciństwo na Lazurowym Wybrzeżu, nauki pobierał w Anglii, pracuje i mieszka w Porto, w dzielnicy angielskiej; bardzo poprawnie wymawia też słowo „Biedronka".

– Niech pan tylko mnie nie pyta o brexit – prosi w pierwszym zdaniu.

Też mam prośbę: – Niech pan mnie nie pyta o Polskę.

Pytam więc o deklarację. Czyli o to, czy rocznik 2018 zostanie zadeklarowany. Rocznik 2017 zadeklarowany został przez wszystkich producentów, prasa i winiarze trąbią wokół, że wybitny. Rocznik 2016 też zadeklarowano; dwie deklaracje pod rząd to rzadkość. To trochę tak, jak śmiać się dwa razy z tego samego dowcipu – podczas gdy radość ma być tu racjonowana, raz, dwa razy na dekadę. Rocznik 2018 prawie na pewno nie będzie deklarowany. ↦

REUTERS / FORUM

A wszystko to znaczy: jeśli zbiory okażą się wspaniałe, powstanie wyjątkowo porto rocznikowe, zwane *vintage*. Wina po mniej więcej 20-24 miesiącach trafią do butelek, na etykietce pojawi się ta nazwa, *vintage* i rocznik, teraz 2017. *Vintage* uchodzi na ogół za najwspanialszą ekspresję porto, niektórzy piją je młode, najlepsze będzie po 30-40 latach. Jego namiastką (czytaj: połowa lub jedna trzecia ceny) jest *late bottled vintage*, wino butelkowane jak na porto też dość szybko, po czterech do sześciu lat leżakowania, ale pochodzące z gron nieco gorszej jakości.

Powiedz, jakie porto lubisz, powiem ci, kim jesteś. Na przykład redaktorem „Tygodnika Powszechnego". Bo redaktor „Tygodnika Powszechnego", wściekle oczytany w dziale Świat oraz Kraj, słowem, przeciwieństwo prostoduszności i łatwego optymizmu, będzie preferował raczej inny – kompletnie inny – styl porto, zwany *tawny*. To znaczy porto, którego butelkowanie, podobnie jak nadzieję, odkłada się na długie lata. W tym czasie wino spokojnie starzeje się w beczkach i łyka tlen. W efekcie jego barwa jaśnieje, wpada w niuanse ceglaste, a aromaty z atrakcyjnie świeżych i mocno owocowych przekształcają się w bardziej skonfiturowane, orzechowe, kawowe, piernikowe i jeszcze nieskończenie inne, skomplikowane i niejednoznaczne – będzie ich więcej, lecz nie będą tak mile oczywiste, tak tańczące, soczyste i optymistyczne jak w przypadku *vintage*.

Porządne *tawny* zaczynają się od dziesięcioletnich (*ten years old*, średnia wieku użytych do ich produkcji win to minimum dziesięć lat), i dalej lecą dekadami: są *tawny* dwudziestoletnie, trzydziestoletnie, czterdziestoletnie. Skłaniam się do poglądu najstarszych angielskich torysów: królem porto jest *tawny 20 years old*, już mocno rozwinięte, lecz zachowujące wciąż pogłosy młodzieńczej świeżości.

Niewiedzącym podrzucę jeszcze jedną nazwę, tym razem rdzennie portugalską: *colheita*. Oznacza tyle co rocznik, czyli *vintage*. Wino pochodzi zatem z jednego rocznika, lecz starzone jest w beczkach bardzo długo, nawet 20 lat i więcej, i do butelek trafia bardzo późno. W smaku będzie bliskie wspomnianym wyżej *tawny*, tym najlepszym, bo to na ogół bardzo dobre, często wybitne wino.

Czasami można znaleźć na rynku porto kilkudziesięcioletnie, czy nawet ponad stuletnie, wygrzebane z piwnic dziadków i butelkowane na specjalne okazje, dla kolekcjonerów i do najdroższych knajp. Ale lwią część rynku zapycha porto bylejakie, różne *ruby* czy *reserve*, czy *special reserve*; do wszelkich *reserve* podchodzimy z rezerwą.

Jajko

Starczy na chwilę tej nauki, spójrzmy na buty. Nie mogę się oprzeć skłonnościom fetyszystycznym: wysokie obcasy Manueli, skórzane mokasyny jej brata, wesołe trampki jego żwawej żony. Co za kontrast z bosą stopą, której staram się pod nimi domyśleć. Wszystkie te nogi, tak świetnie teraz obute (Portugalia to obuwniczy potentat), jesienią wkroczą gołe do obszernych i płytkich jak basen rekreacyjny granitowych kadzi. Zwą się one *lagares* i należą do serca sekularnej tradycji.

Kiedy grona trafiają do wnętrza, rodzina Manueli i paru przyjaciół wskakuje do środka, wszyscy obejmują się ramionami i zaczyna się ugniatanie. Dzisiaj w wielu miejscach już zaniechane: pojawiły się *lagares* zautomatyzowane, obchodzące się bez bosonogich. Ale mówi się, że na stopy nie ma mocnych; nic tak dokładnie i z taki wyczuciem nie wytłoczy gron.

Manuela, w której posiadłości (czyli *quinta*) mieszkam, wytwarza z rodziną niewielkie ilości wina; siedząc twarzą w twarz z rodzinką, odnajduje się radość smakowania, zatartą w anonimowych degustacjach. Nazajutrz na biurku Manueli widzę otwarte eseje Miłosza po portugalsku, pewnie znak dla mnie. Po chwili pojawia się maszynopis książki; dom ma trzysta lat, historia rodu niewiele mniej, teraz Manuela szuka wydawcy. Trochę jej zazdroszczę, tych trzystu lat.

Jeszcze bardziej zazdroszczę innej *quinta*, gdzie króluje Fernanda, bożyszcze bookingu. Historia służy tu za dekorację, wszędzie mnóstwo obrazów, XVIII-wiecznych grafik francuskich i portugalskich, bibelotów zajmujących każdy centymetr blatów i bibliotek ze starodrukami tak ciężkimi, że trzeba wyjmować je oburącz. Fernanda otwiera szklane drzwiczki na oścież; skoro mam coś z książkami wspólnego, to przecież wszystko zrozumiem. Nie zrozumiałem; woluminy są nie tylko po portugalsku, także w łacinie. Ale i po francusku; jeden przyciąga uwagę.

Młodziutki, z 1919 r. Kiedy Marcel Proust wydawał nie bez trudności kolejny tom, na rynku ukazało się 14., ozdobione 40 rycinami, wydanie dzieła Eugène'a Gayota „Kury i jajka". Na stronie tytułowej motto rzecze: „Kurnik jest dla wieśniaczki rogiem obfitości; jeśli tylko umiemy go prowadzić, nigdy nie zawita w nim pustka: jest niczym różaniec bez przerwy obracany w dłoniach; końca nigdy nie widać". Na stronie 106 dowiaduję się, że największe kury nie rodzą się z największych jajek, ale to dopiero początek dociekań. 400 stron o jajkach, Proust by to zrozumiał. Wieczorem w knajpie podają deser w barokowym poszyciu: jakaś malowana kura z plastiku, po której zdjęciu ujawnia się na podstawce białe jajko posadzone na gniazdeczku ze złotego chrustu. W środku skorupki z białej czekolady czeka krem jajeczny, coś między *crème brûlée* a koglem-moglem. Sma-

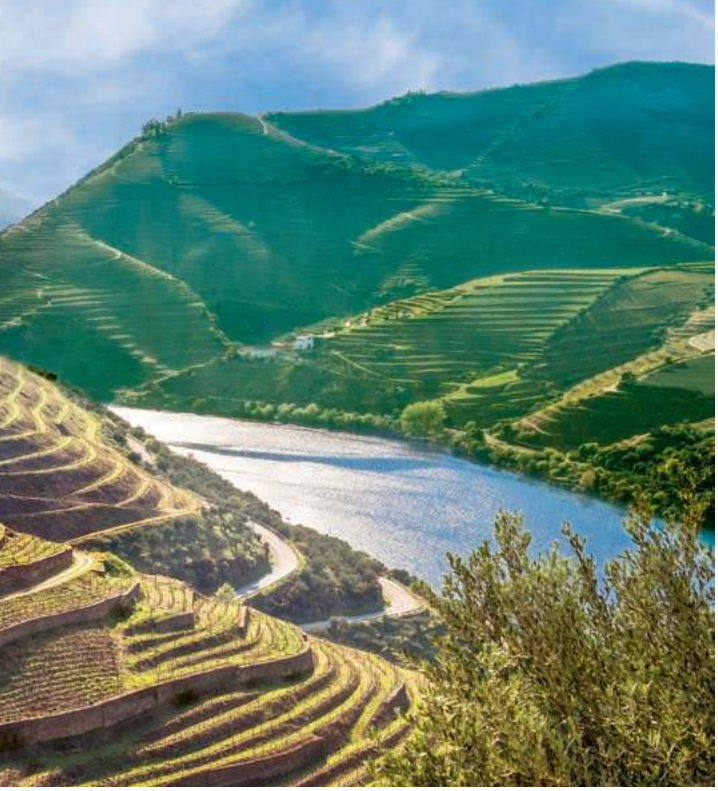

APEXPHOTOS

Dolina Douro, Portugalia

kuje bardzo umiarkowanie. Ale przecież kogut jest emblematem Portugalii.

Takim kremem w różnych postaciach zajadają się tu wszyscy; na święcie czereśni (byczki ciągną na wozach ogromne gipsowe owoce; nazywają to alegorią, podobnie jak wielkie wozy karnawałowe w Rio) rój kobiet sprzedaje aż żółte od jajek ciasta z lukrem, o wiele za słodkie. Powszechna miłość do słodkiego, najczęściej przesłodzonego, przynosi niesłodką myśl: jak nigdzie indziej zasłodzić znaczy tu zamaskować.

Pomarańcze

Ale zamaskować co, biedę? Fernanda (państwo siedzą w Lizbonie, ona, wieśniaczka z sąsiedztwa, gotuje, sprząta, podlewa, księguje i zabawia gości) pokazuje ręką dookoła. Szeroka perspektywa, kropki wiosek wokół.

– Wszyscy wyjechali – mówi. – Nie było pracy.

Resztę opowieści znamy, łączą nas z Portugalią nie tylko nosowe samogłoski. Ostatni z tysięcznych kryzysów trwał tu kilkanaście lat – by ograniczyć się do obecnego stulecia. Najświeższe lata są lepsze, mówią statystyki i pisze prasa. Jak w mało którym kraju europejskim, rządzi teraz pragmatycznie zjednoczona lewica, zmniejszono deficyt budżetowy, inwestycje poszły ostro w górę (kapitał angielski zwłaszcza, więcej kapitału rodzimego, ale też sporo chińskiego, co wzbudza niekiedy kontrowersje), zwiększyła się siła nabywcza, stopa wzrostu mocno przebija średnią europejską, bezrobocie wybitnie spadło, ale też zadbano o socjal (wyższe emerytury, wyższa o 20 proc. płaca minimalna – 600-650 euro, udana reforma zdrowia, darmowe podręczniki i przedszkola), w roku 2017 (dobry rocznik) po raz pierwszy więcej Portugalczyków wróciło do kraju, niż wyjechało, zyskując duże ulgi inwestycyjne. Socjalistyczny premier António Costa cieszy się sporą popularnością, podobnie jak prawicowy (umiarkowanie) prezydent Marcelo Rebelo de Sousa. Także na zewnątrz, wśród „macronistów", czyli zwolenników silnej i zreformowanej Europy; ruch jej „renesansu" i sam Macron znajduje tu bardzo mocne wsparcie. Szkoda tylko, że nie jest to Portugalia za czasów Vasco da Gamy.

Fernanda jest zadowolona, uśmiecha się, jak żongler podrzuca dojrzałe pomarańcze. Ale pewnie dlatego, że taki ma charakter.

Abandonado

Więc mówię: porto, dziwne wino. Francuzi nigdy go nie zrozumieli, gdyż zawsze byli zamknięci na kulturę angielską. Najwięksi na świecie konsumenci jego najtańszych wersji serwują je na aperitif w najmniejszych kieliszkach, jakie wygrzebią. Dzięki angielskiej tradycji porto stało się z kolei aż nadto winem dżentelmenów, którzy zamykają się po kolacji w gabinecie pachnącym cygarami i wymieniają plotki, postponują Joyce'a albo planują imperialną ekspansję. Słodycz dla wytrawnych, eleganckich mężczyzn, której alibi daje wysoki jak na wino – od 19 do 20 proc. – poziom alkoholu.

Spirytus (w stężeniu 77 proc.) – czy raczej winiak – jest istotnym składnikiem porto. Od jego jakości i od umiejętnego połączenia z moszczem już w trzecim dniu fermentacji bardzo wiele zależy. W najlepszych porto nie czujemy jego mocy w ustach, co najwyżej później w nogach. Te gorsze mogą gryźć jak wóda.

Dobre porto jest bardzo drogie (*tawny 20 years old* to już 45 euro za butelkę, *vintage* od 45 do 100 w przypadku najsłynniejszych marek), ale jednocześnie tanie. W tym sensie, że może po otwarciu długo stać w lodówce i, smakowane – skoro nie jesteśmy Anglikami i na Kowno już się raczej nie wybieramy – drobnymi łyczkami, wystarczyć może nawet na parę tygodni. Podczas gdy wino wytrawne przeżyje po otwarciu średnio trzy dni.

Jednakże wina słodkie od dawna przeżywają kryzys, nawet tokaje, nawet sauternesy; mniej się ich pije i kupuje. W Douro przewidziano ten trend i od początku stulecia postawiono na wina wytrawne, wcześniej wytwarzane tu w niewielkich ilościach na lokalne potrzeby. A teraz powolutku wypiera porto; portexit, chciałoby się powiedzieć. Powiodła się tu największa akcja marketingowa w najnowszym winiarstwie: świat w ciągu dwóch lat – 2002-03 – uwierzył, że powstawać tu mogą największe czerwone wina świata. A wszystko dzięki Douro Boys, pięciu posiadłościom, które spiknęły się w celach promocyjnych. Na fotografii, która zmieniła najnowsze dzieje Douro, widać pięciu roześmianych facetów, którzy podskakują i w tym podskoku zostali uchwyceni – idealne zdjęcie na kampanię wyborczą Koalicji, serio, gdyby tylko miał kto podskakiwać.

Douro Boys lewitują do dzisiaj; w Douro ogłoszono nieco zbyt szybko, że stać ich na rekordy świata, i przez wiele lat czołowe wina z regionu były w większości tak dobre (to znaczy tak pełne i cieliste), że nie nadawały się do picia. Teraz wróciły do szeregu i jest lepiej.

Jest wśród nich moje ukochane Abandonado z wybitnej posiadłości Alves de Sousa. Abandonado, czyli Porzucony. To mój inny fetysz, bo jego nazwa przypomina tytuł najpiękniejszego sonetu melancholii, „El Desdichado" (czyli: Wydziedziczony) Gérarda de Nervala. Pochodzi z porzuconej niegdyś winnicy, na której rosną blisko stuletnie krzewy. Porzuceni będą pierwszymi, lecz tylko w świecie wina.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Zygzak

Pan Schetyna przeprosił umiłowane masy za podniesienie wieku emerytalnego przez rząd jego partii, a zaraz potem dodał, że jego Platforma – jeśli oczywiście będzie miała kiedykolwiek cokolwiek do gadania – nie będzie prowadzić polityki transakcyjnej. Niniejszym uznajemy, że w rozległej kategorii nieudolnych prezentacji swych żelaznych racji, wypluwaniu języka, klęsk w globalnym świecie transakcji, pan Schetyna solidnie umościł się na podium. Skoro już jesteśmy przy opozycji, to rzec trzeba, że człowiek czeka, aż ktoś tam, ktokolwiek, powie wreszcie coś z sensem. Jest to oczekiwanie beznadziejne.

Uwaga ta, zważmy, szalenie delikatna, liliowo-różowa, aksamitna w dotyku, zważywszy na język, którym na ogół operujemy, w oczach wielu jest ogromnie szkodliwa. Sprzyja po prostu reżymowi. Będziemy dziś zatem mniemać w dwu sprawach. Po pierwsze, spróbujemy omówić punktowo to, co dziś uchodzi za szkodliwe, a po drugie – podejmiemy minimalny trud, czyli ujmiemy w dwu słowach znaczenie słowa „sens".

Synonimem szkodliwości jest dziś dyskusja, bo każda – zważmy – sprzyja oczywiście reżymowi. Wedle wielu nie można dziś rozmawiać na żaden temat, prócz oczywiście jednego: kogo, kiedy i na jak długo wsadzić do więzienia po zdobyciu władzy. Ten rodzaj podejścia do dyskusji jest w polskich warunkach bardzo normalny, ma prastarą tradycję i obowiązuje bez względu na poglądy, wiarę czy jakąkolwiek różnicę. Jest to umiłowany tu temat, należący prócz rozmów o zdrowym odżywianiu czy odtruwaniu organizmu do towarzyskiego kanonu. Nigdy i nikomu się nie nudził, nie nudzi i nie znudzi.

Snucie wizji siedzącego w celi bliźniego, najlepiej w łachmanach, o suchym pysku, z czerstwą skórką chleba uczynionego z trocin w dłoni, daje uczucie relaksu, który można by porównać z wizytą na egzotycznych wakacjach *all inclusive*. Kto nie ma forsy na wczasy, siada i wyobraża sobie znajomych i nieznajomych w celi. Trzeba docenić przenikliwość i przystawanie do masowych gustów wielu pokoleń dyrektorów naszej telewizji, która z zaangażowaniem i talentem specjalizuje się w transmisjach realizujących te fantazje. Magazyn taśm z nagraniami pokazującymi ludzi wleczonych do aresztu wymaga bezustannej rozbudowy. Od lat.

Szkodliwe jest w zasadzie wszystko, co może mieć ręce i nogi, mamy tu na myśli rozważania dogłębne i ambitniejsze, oderwane od karania, osadzania, skuwania bądź eliminowania. Dotyczy – jako rzekliśmy – wszystkich, tzn. pisowców i niepisowców, i nie ma co dzielić włosa na czworo, której z tych grup idzie to raźniej. Wszyscy są w tym świetni. Nie musimy chyba dodawać, że i ten tekst jest ogromnie szkodliwy, nie ma w nim bowiem słowa o tym, kogo wsadzić, a kompromitująco miękko symetryzuje i zwraca, uwagę, że bezustanne marzenia penalizacyjne to – owszem osobliwa – ale tylko rozrywka.

Gdy przyjrzymy się pojmowaniu szkodliwości u dzisiaj rządzących, też widzimy zygzaki. Zygzaki zasłaniające sprawy niejako raz na zawsze przecież zdefiniowane. Tak się wydawało. Wywalenie z roboty wiceministra nauki jest osobliwą niekonsekwencją i oczywistą krzywdą wobec człowieka ufnego. Przecież jednym z ważnych elementów propagitki jest sugerowanie wrogom partii i rządu, by wyjechali z Polski. Oba słowa „sugerowanie" i „wyjechali", co każdy z nas wie, są eufemizmami. Nie oddają prawdziwego smaku powszechnych poleceń w tym guście. Wiceminister musi być zdziwiony, zmartwiony, chciał dobrze i nie został doceniony. Chciał dobrze mówiąc, by uczniowie kontestujący reformę szkolnictwa poszukali sobie placówek oświatowych za granicą, a okazał się szkodliwy, ale – bądźmy szczerzy – nie wiadomo dla kogo.

Na koniec o sensie. Śmiemy mniemać, że znajdowanie dziś sensu stało się trudem dla wszystkich zbyt odstręczającym. Jest czynnością ogromnie szkodliwą. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

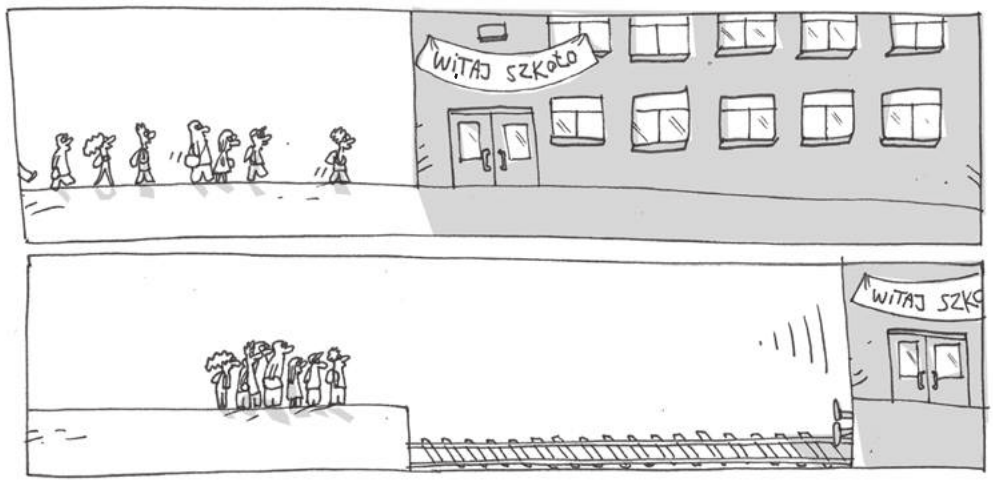

To zaszczyt mieć na niego monopol!

PIOTR MUCHARSKI
REDAKTOR NACZELNY „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

NIE PRZEGAP! Kup wydanie jubileuszowe – dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/historia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

REKLAMA

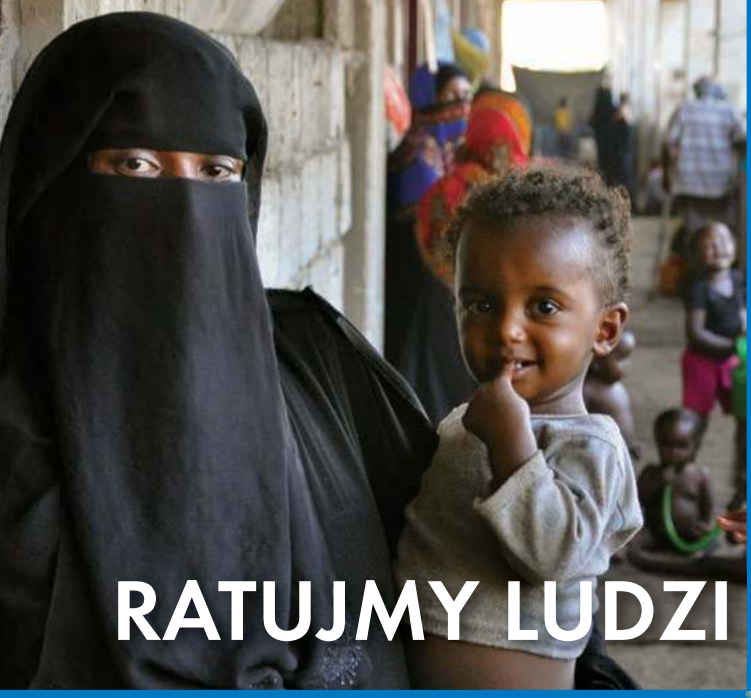

pah

Polska Akcja Humanitarna

RATUJMY LUDZI Z JEMENU

W Jemenie trwa największy kryzys humanitarny na świecie.

Polska Akcja Humanitarna działa na miejscu.

WPŁAĆ:

www.pah.org.pl/wplac

02 2490 0005 0000
4600 8316 8772

z dopiskiem „Jemen"